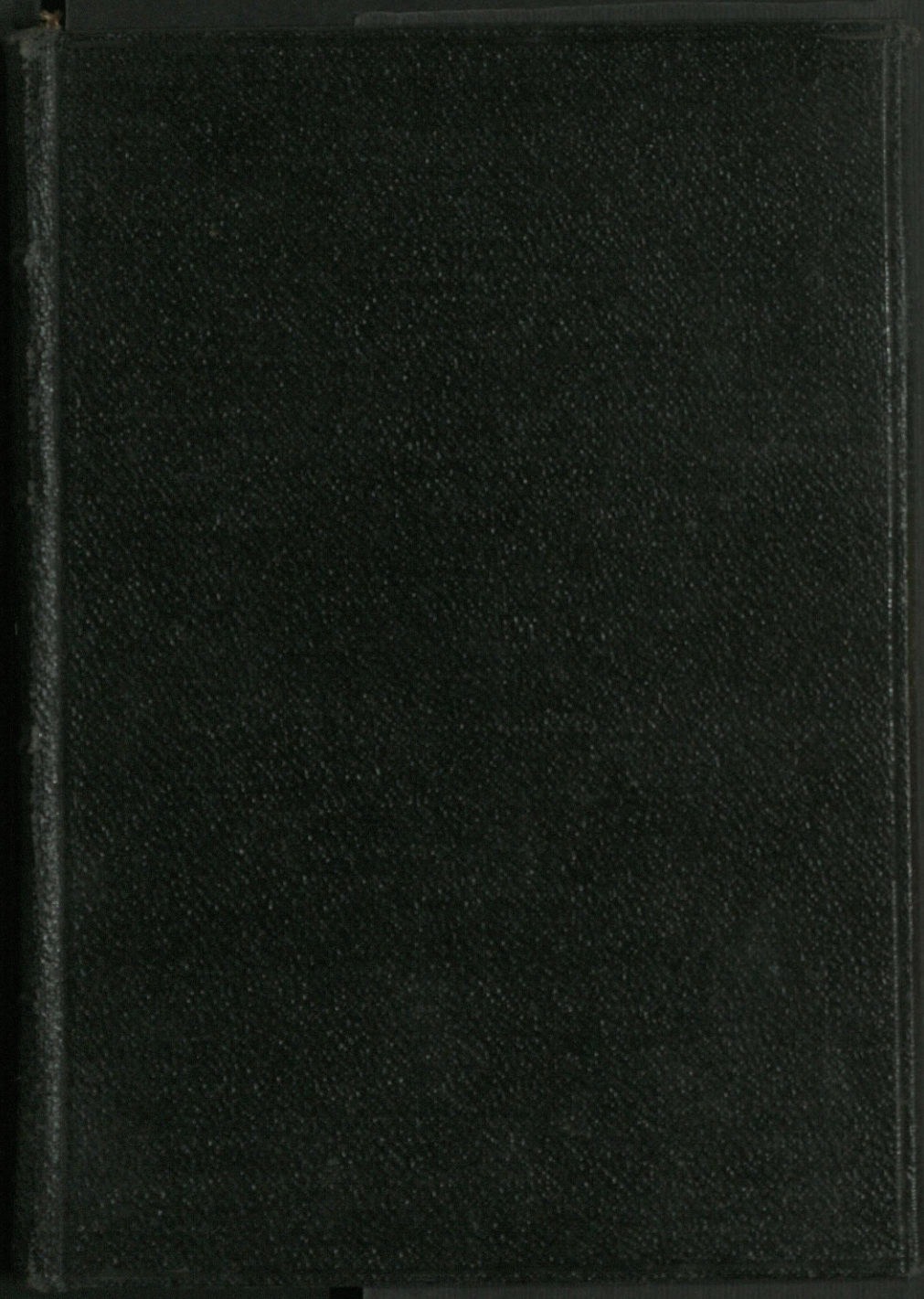




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





Dublet do 313

27 XI-57. join

~~808~~

~~85/VII~~

BIBLIOTEKA KONSULATU GENERALNEGO POLSKIEGO

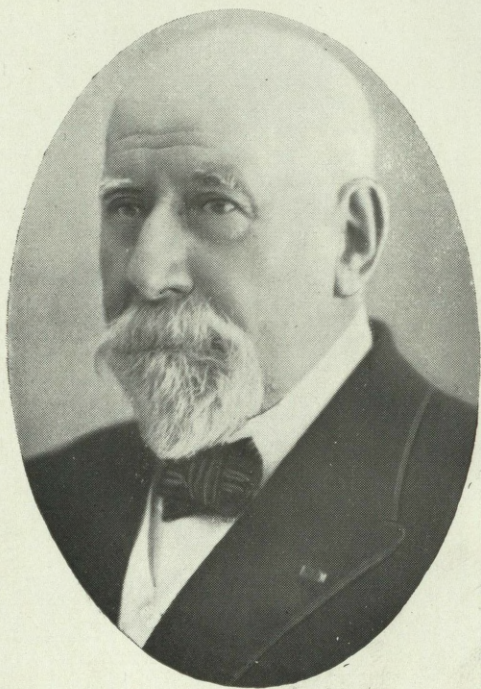
Library of the Consulate General of Poland

1500 NORTH DEARBORN PARKWAY

CHICAGO, ILLINOIS

N^o ~~808~~. 664

DUCH DZIEJÓW FRANCJI



Emile Bourgeois

professeur à l'Université de Paris
 président honoraire du Comité de l'Université de
 Toulouse

Membre de l'Institut de France

EMILE BOURGEOIS

1587.

DUCH DZIEJÓW FRANCJI

Poprzedzone słowem wstępem

D-ra M. SOKOLNICKIEGO

i listem autora do polskiego tłumacza

Przekład D-ra MARJANA HENZLA

dup/1

BIBLIOTEKA KONSULATU GENERALNEGO POLSKIEGO

Library of the Consulate General of Poland

NO 664

CHICAGO, ILLINOIS

WARSZAWA—1931

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

9(44)

EMILE BOURGEOIS

DZIEŁO
DUCH
FRANCJI

9821

1



BIBLIOTEKA KONSULATU GENERALNEGO POLSKIEGO
Library of the Consulate General of Poland
no 664
CHICAGO, ILLINOIS

SŁOWO WSTĘPNE.

Pan Emil Bourgeois nie potrzebuje wprowadzenia w społeczeństwo polskie. Jego imię i jego postać zdawna już weszły w szeregi polskiej pracy naukowej i politycznej i cały szereg Polaków związany jest pamięcią i szacunkiem dla jednego z ludzi najbardziej godnych i zdolnych wyobrażać ducha intelektualnego Francji.

Znany jest przedewszystkiem prof. Emil Bourgeois licznym swoim polskim uczniom, do których i niżej podpisany ma zaszczyt się zaliczać. Paryska Ecole des Sciences Politiques w latach około 1890 — 1900 błyszczała świetnemi nazwiskami: Dyrektor i założyciel, p. Emil Boutmy, nietylko znakomity autor książki o psychologii politycznej Anglii, ale wychowawca młodzieży, organizator studjum; p. Albert Sorel, jedna z największych sław dziejopisarskich Francji, a wielki obywatel, porywający mówca z katedry profesorskiej, przyjaciel młodych; profesor Anatol Leroy - Beaulieu, skrzętnie informujący o stosunkach współczesnych międzynarodowych, zawsze uparcie mający na oku interes Francji. Z pośród

tego wielkiego pokolenia nie wszyscy jeszcze, podobnie jak ci, odeszli w królestwo cieniów, które od czasów greckich łagodne i litościwe być musi dla ludzi myśli i ducha. Wśród żyjących jednak pan Emil Bourgeois jest najbliższym i najwierniejszym współpracownikiem tamtych trzech.

Dlatego wymienić wypada, jakim było zadanie, postawione sobie przez założycieli *Ecole des Sciences Politiques* i przez jej świetnych profesorów. Wszyscy oni przeszli tragedję 1871, — zgłębili do gruntu nieszczęście narodowej katastrofy, — wyciągnęli stąd wniosek, iż przyszłość należy do młodzieży, — postanowili w młodych nie tylko przechować ducha patriotycznej ofiarności, co przecież nigdy we Francji nie zagasł, lecz także wychować w nich realną wiedzę stosunków i celowy umiar polityczny. Rezultaty nie zawiodły inicjatorów tej wielkiej pracy. Niewielu z nich danem było dożyć chwili zadośćuczynienia. Emil Boutmy, Albert Sorel, Anatol Leroy Beaulieu, Albert Vandal nie żyli już w 1914 — 1918. Pan Emil Bourgeois dożył i widział, i miał to szczęście, że mógł podsumować wyniki pracy swego pokolenia w czwartym tomie swego znakomitego podręcznika *Manuel Historique de Politique Ettrangère*, przeznaczonego dla polityków Francji, doprowadzającego historję Europy do 1920. Dlatego, że dożył i widział, pogoda jasnego słońca Francji oświećla do dziś dnia jego sędziwą postać, daje jej uśmiech dobroci i wyrozumienia.

Ale pan Emil Bourgeois mimo, a właśnie może z powodu swej pracy nad nauką i nad przeszłością, nie

przestał dbać o rzeczy żywe i o sprawy, mające związek z dniem dzisiejszym. Wśród tych wybrał sobie w szczególności stosunki polsko-francuskie. Na udziale pana Emila Bourgeois w sprawach polsko-francuskich odbiła się psychika pokolenia, do którego należy, zwykłego pracować na daleką metę i stawiać przed sobą wielkie zadania. Zbliżenie kultury francuskiej z polską, zobrazowanie przed Polakami najważniejszych intelektualnych wysiłków Francji, stworzenie wreszcie w Polsce samej silnego łącznika, placówki wiedzy i myśli francuskiej, — oto były zadania, jakie postawili sobie inicjatorzy *Institut Français de Varsovie*. Wśród nich pan Emil Bourgeois jest jednym z najczynniejszych i najmłodszych, gdyż pełnym wiary w to, co czyni.

Stosunki intelektualne francusko-polskie są pracą dokonywaną w równej mierze dla Francji i dla Polski. Dla Francji, dlatego iż szerzą jej piękny język, jasne myślenie, metody i wierzenia tej rasy, a więc budzą dla niej i utrzymują w sercach przyjaźń i entuzjazm. Dla Polski, dlatego, iż wszystko co wzmacnia zachodnie jej, łacińskie, węzły myślenia i wyrażania się jest umocnieniem ducha i intelektu polskiego, który z bardzo dawna zasadzał swą istność odrębną i swoje dążenia zasadnicze na łączności, na duchowem pokrewieństwie z narodami łacińskimi swego języka, cywilizacji, dróg myślenia i czucia.

Dlatego, gdy pan Emil Bourgeois do Polski przybywa, powraca on właściwie do swoich; gdy przynosi ze sobą, co uczynił w swoich wielokrotnych pobytach w Warszawie, ducha francuskiego, metody myślenia

francuskie, słoneczną jasność i prostotę języka, dokładny sposób nauczania, wytkniętą wyraźnie drogę osiągania celów, jakie cechują rzeczy i ludzi w jego łagodnej ojczyźnie — la douce France, to pracuje zgodnie z najistotniejszymi dążnościami Polaków; gdy zaś wnosi ze sobą żywość nieustającą i niepokonaną energję swojej rasy, młodzieńczą choć sędziwą wiarę w celowość swych prac i w możność — bo w konieczność — ich przeprowadzenia, to obudza zarazem najlepszy, choć może nieco w Polsce przygasły, instynkt optymizmu, wiary w przyszłość i w siebie.

Oto co wyobraża dzisiaj pan Emil Bourgeois dla Polski. Książka zaś jego wstępu nie wymaga, gdyż sama jest wstępem do poznania Francji — przyczyni się też napewno do osiągnięcia celów, które pan Emil Bourgeois a wraz z nim jego polscy uczniowie sobie stawiają.

MICHAŁ SOKOLNICKI.

Monsieur

le jet de votre part une aimable pensée que de vous être offert à traduire dans la langue de votre nation l'essai que j'ai consacré, après cinquante ans d'études et d'enseignement, au passé de la nation. Les nations, comme les individus s'aiment parfois d'instinct : c'est le cas de la France et de la Pologne. Mais on s'aime d'autant mieux qu'on tâche à se comprendre en s'entendant.

Aux enfants de Pologne cette traduction répètera, comme un écho fidèle, les vœux de notre pays au cours des âges que j'ai tenté de ramener pour donner à nos enfants, avec la leçon salutaire d'un passé millénaire, la confiance nécessaire à leur avenir.

Et moi traducteur, tel que vous, auditeur assidu et éclairé de l'enseignement que j'ai donné à l'Institut français de Varsovie sur ces mêmes thèmes, je n'avais pas à craindre cette déformation de la langue et de la pensée que la proverbe italien reproche aux traducteurs en général : Traduttore, Traditore. Je suis au contraire assuré que, portée par votre zèle amical des rives de la Seine aux rives de la Vistule, la figure de votre France du passé, déjà si familière à tant de nobles et géniaux esprits de Pologne, sera connue sous ses véritables traits de tous les fils d'une nation à qui la conscience de son passé et sa foi inscristible dans ses destins a permis également de revivre et d'inventer des institutions, peuplées dans la belle prophétie de Sigismond Krasinski

Paris 31 mars 1930

Emile Bourgeois
membre à l'Université de Paris
docteur honoris causa de l'Université de
Varsovie
membre de l'Institut de France

LIST AUTORA DO POLSKIEGO TŁUMACZA.

Szanowny Panie!

Było to z pańskiej strony wielką uprzejmością, gdy się pan ofiarował przetłumaczyć na język swego narodu ten szkic, poświęcony przeze mnie przeszłości naszego narodu, po pięćdziesięciu latach badań i nauczania. Narody, podobnie jak i jednostki, odczuwają często dla siebie instynktowną wprost miłość! Tak się ma rzecz właśnie z Francją i Polską. Miłość staje się jednak tem głębszą, im lepiej staramy się wzajemnie poznać i zrozumieć.

Dla dzieci Polski stanie się to tłumaczenie wier-
nem echem głosów naszego kraju, rozbrzmiewają-
cych poprzez wieki. Staralem się odświeżyć je dla
naszych dzieci, by wraz ze zbawiennymi naukami,
płynącemi z tysiącletniej przeszłości, wzbudzały
w nich niezbędną zaufanie do przyszłości.

Od tłumacza, takiego jak pan, pilnego i oświe-
conego słuchacza nauk, udzielanych przez mnie na
ten sam temat, w Instytucie Francuskim w Warsza-
wie, nie potrzebowałem obawiać się zniekształcenia

języka i myśli, które zarzuca naogół przysłowie włoskie: *traduttore, traditore*. Przeciwnie, jestem pewien, że obraz naszej francuskiej przeszłości, tak dobrze już znanej tylu szlachetnym i wzniosłym umysłom polskim, przeniesiony od brzegów Sekwany do brzegów Wisły, na skrzydłach pańskiej gorliwej przyjaźni, objawi się w swej właściwej postaci wszystkim synom narodu, któremu poczucie własnej przeszłości i niezłomna wiara w swe przeznaczenie, pozwoliły również przeżyć na nowo ową „chwilę chwil”, przepowiedzianą w pięknym prooptywie Zygmunta Krasińskiego.

EMILE BOURGEOIS

*profesor Uniwersytetu Paryskiego,
doktor honorowy Uniwersytetu Warszawskiego,
członek Institut de France.*

Paryż, 31 marca 1930.

PRZEDMOWA.

Do moich wnuków

Franciszka i Klaudjusza Laroche'ów.

Rodziny wasze, które skojarzyły się w Paryżu, wydając was, młodych i dzielnych Francuzów, co nietylko jest zaszczytem, lecz połączone jest także z obowiązkami, przybyły tu kolejno, różnem losów rządzeniem, z przeciwnych krańców Francji. Jesteście potomkami jednej z tych rodzin rolniczych i wieśniaczych, które na kresach Lotaryngji i Szampanji, w krainie Joanny d'Arc, użyźniały polany wogezyjskich lasów, broniąc ich przed rozbojem i napadami wroga. Wśród waszych przodków znaleźć można, z drugiej strony, owych śmiałków z Saint-Malo, „jedynych w swoim rodzaju”, takich jak Duguay-Trouin, Surcouf, czy też La Bourdonnais, którzy zżyli się tak dalece z oceanem i morskimi przygodami, że ich żywot na tej skale, okrytej chwałą i wzbogaconej czynami, siejącymi postrach wśród Anglików, był tylko krótkim postojem między dwiema wyprawami, aż do chwili, kiedy osiedlili się w Réunion, by podjąć później drogę do Francji przez Marsylję.

Nasza Francja trzy ma oblicza i w trzech kierunkach rozwijają się jej losy, jedno oblicze zwrócone ma ku kontynentowi, dwa inne ku Morzu Śródziemnemu i Oceanowi. Przeszłość jej, podobnie jak i przeszłość waszych przodków, zaznaczała się we wszystkich tych kierunkach. Odwieczne wysiłki obrony ziemi ojczystej, wiary swej i ideałów, od wschodu, i rozprzestrzeniania ich w tym kierunku, to znów instynkt potężny, rozsiewający od czasu do czasu, poza morza, na odległe krainy bliskiego Wschodu, lub na Zachód, bujne zarodki swej genialnej przedsiębiorczości i szlachetności. Wszystko to złało się jednak, z czasem, w jedną harmonję narodową, będącą dziełem przyrody i jej sił dobroczynnych, łączących i wyrównujących różnice regionalne, dziełem rządów, często bardzo znamenitych, dziełem wreszcie narodu, który za cenę ciężkiej pracy, długich cierpień i śmiertelnych niemal przełomów, w czasie których nie zwątpił nigdy o swej przyszłości, stworzył samego siebie, w pełni świadomości i woli. Stało się to dewizą stolicy tego narodu, środowiska i symbolu francuskiej twórczości, tej naszej chwalebnej ciaśniejszej ojczyzny, równie niezłomnej jak i szersza.

Tej to francuskiej przeszłości, której żywym jestestwem obrazem, dzięki niewidocznej a wszechobecnej potędze przodków, — z czego może instynktownie tylko zdajecie sobie sprawę, — poświęcam, na waszą intencję, tę pracę, która wyda się może niejednemu zbyt śmiałą.

Będąc bliskim kresu życia, przez lat pięćdziesiąt poświęconego historii, do tej przeszłości zwróciłem

się o radę, chcąc objaśnić wam drogi narodu francuskiego: początki, zdarzenia, trudności i linię przewodnią, etap za etapem, aż do dzień dzisiejszy. W tej pracy stanąłem na progu ostatniego etapu — czasu teraźniejszego. Nasze dzieci oceniają go lepiej od nas samych, znajdując się odeń w dostatecznym odstępie. Wy zaś, spadkobiercy pokoleń, które drogi te przebyły w ciągu wieków, zanim zapuścicie się na nie sami, zawróćcie, po ich zbawienne nauki, płynące z ich wytrwałej pracy, ich odwagi, ich doświadczeń, a wreszcie z ich wiary w przeznaczenie ojczyzny, którą wykuli dla waszego pożytku.

Słuchając tych nauk, usłyszycie głos, odległy czy też bliski, tych skromnych wieśniaków, dzielnych marynarzy, sumiennych sług króla i narodu, przywiązanych do swych zadań i swych ideałów, wreszcie zew wodzów i bohaterów, za którymi szli oni sami. Niema kraju na świecie, gdzieby dusze weszły z ziemią w związek bliższy i mocniejszy. Ten głos przeszłości, to głos urodzajnej francuskiej ziemi, jej łagodnego nieba, jej wybrzeży otwartych na wiatr od morza i na szerokie widnokręgi nadziei. Wierzę w tę ziemię! Wiercie i wy, w ten wiatyk energii, sprawiedliwości i francuskiego rozumu.

E. B.

I.

BRZASK ZAMIERZCHŁEJ PRZESZŁOŚCI. POWSTANIE GALJI RZYMSKIEJ I CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

Widownia dziejowa narodu francuskiego. — Czasy przedhistoryczne. — Plemiona pierwotne. — Ludy historyczne: Ligurów i Iberyjczycy. — Religja Druidów. — Ludy i kraje nadmorskie. — Pierwszy brzask dziejów. — Celtowie i państwo celtyckie. — Terytorjum galijskie. — Stary kraj Gallów i państewka galijskie. — Cywilizacja galijska a Druidowie. — Vercingetorix i Rzym. — Cywilizacja śródziemnomorska w Galji. — Cezar i podbój rzymski. — Zespolenie gallo - rzymskie. — Stanowisko Gallów i ich rola w Imperjum. — Prawo rzymskie i państwo gallo - rzymskie. — Pierwsze wieki chrześcijaństwa w Galji. — Działalność św. Marcina. — Cywilizacja mnichów. — Frankowie i chrzest Kłodwika.

THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON

FROM THE FIRST SETTLEMENT
TO THE PRESENT TIME
BY
JOHN B. HENNING, ESQ.
OF THE BARR

Widownia dzie- Skreślając na życzenie Ernesta La-
jowa narodu visse'a, jako przedmowę do jego *Histoire*
francuskiego *de France*, swoje *Tableau de la Géogra-*
phie de la France, dzieło magistralne, pełne głębokiej
obserwacji, przemyślenia, a często i poezji, wykazał
Vidal de la Blache i uwypuklił, lepiej niż ktokolwiek
inny, ścisłe węzły, łączące od mniej więcej piętnastu
wieków, rozwój moralny i społeczny narodu francu-
skiego z ziemią, na której powstał i na której się
kształtował. Wpływu ziemi i położenia geograficzne-
go nie pojmował jednak mistrz ten w sposób deter-
ministyczny, poddający istotę moralną, jaką jest nasz
naród, fatalizmowi pierwotnych warunków swego ma-
terjalnego bytu. Bystrzejszy od innych i przeciwny
wszelkiemu, zbyt łatwemu uogólnianiu, nakreślił on
obraz terytorjum, na którym się osiedlili i które upra-
wiali nasi przodkowie, aby przedstawić jego zasoby
i korzyści, które zeń ciągnęli a wzajemnem ustosun-
kowaniem tych czynników wyjaśnić ich dzieje.

Powiemy więc, za jego przykładem, że terytorjum
to jest blokiem kontynentalnym, stanowiącym naj-
dalszy odłamek tego wielkiego kontynentu, który nazy-

wano nieraz Eurazją, porównując go z Ameryką Północną, zwróconą jednym obliczem do Atlantyku, drugim zaś do Pacyfiku. Różnica między Francją a jej sąsiadami nie może być dość silnie podkreślona. Anglja stanowi wraz z swemi wyspami archipelag; Wielka Brytanja, Irlandja, Anglesey, Hebrydy, Orkady, Szetland, to cały różaniec wysp, podobny do Japonji. Hiszpanja, Italja, Grecja, Danja i Skandynawja, to półwyspy.

Czasy przed- Jak daleko sięga nasza znajomość prze-
historyczne szłości, oparta na świadectwach, które nie są niczem innem, jak śladami zaginionych cywilizacyj, widzimy, że terytorjum francuskie, zamieszkałe było, podobnie jak i cała Europa, przez ludzi, których dzieje nie zostały spisane. Ich sadyby, które zastąpiły jaskinie lub też palowe osady minionych wieków, groby, w których grzebali pod dolmenami swych umarłych, narzędzia i przyrządy z gładzonego krzemienia, siekiery i noże, pozwalają poznać z pewną dokładnością sposób życia, jakie prowadzili, a które nie było już więcej ograniczone, do polowania i rybołówstwa ludzi pierwotnych. Można się domyślać, że pośród stawów, bagien i lasów, które wystarczały ich poprzednikom przy szukaniu pożywienia, głównem ich zajęciem było użytkowanie wyżyn pokrytych gliną, nadających się do zasiewu i do zbiorów. A czynili to, osławając zwierzęta, pomocne im w pracy i umożliwiające ich egzystencję, używając ziemię mozolnie i uporczywie, przywiązując się na zawsze do tej żywicielki, w miarę swych wysiłków i korzyści.

**Plemiona
pierwotne** To właśnie było prawdopodobnie najstarszem, najowocniejszym i najuporczywszem ze wszystkich naszych nawyków narodowych, przynajmniej na długi okres czasu. Któż odważyłby się twierdzić, że u naszych francuskich pracowników rolnych i ich spadkobierców, których postęp wyposażył w doskonalsze środki użytkowania ziemi, tej „dobrej matki” naszych starych legend, nie można po tylu wiekach, odnaleźć krwi, nawyków i odczuć owych pierwszych *pionierów*, ich upartej cierpliwości, przyzwyczajenia do twardej pracy, przywiązania do kawałka ziemi, który żywi i karmi rodzinę, będącą podobnie jak i jej głowa, źródłem energii, dobrobytu, a nawet i bogactwa, owej obawy przed utraceniem tej ziemi na rzecz nowych przybyszów, niechęci do opuszczania jej w poszukiwaniu przygód, wszystkich tych węzłów materialnych i uczuciowych, które zaczęły jednoczyć człowieka z ziemią: „człowieka poprzestającego na małym i wystarczającą mu ziemię”.

W epoce tej nie spotykamy już owych śladów sztuki, obrazków, posążków i płaskorzeźb, pozostawionych, przez myśliwych polujących na renifery, po grobach w Vézère, Ariège i w Hiszpanji, czy to dlatego, że nie zostały one umieszczone w kryjówkach, tak pewnych, jak tamte, niedostępne późniejszym pokoleniom, czy też dlatego, że cały wysiłek naszych odległych przodków skierowany był ku tej ziemi, ku codziennej pracy wieśniaka, użyźniającego, zasiewającego i zbierającego zboże i len dla pożywienia, przyodziewku lub robienia zapasów.

Ludy historyczne: Już u schyłku owej zamierzcłej przeszłości da się jednak zauważyć i wy-
Ligurowie czuć na tej z trudem zdobytej ziemi, na-
i Iberyjczycy dejscie ludów przybyłych prawdopodobnie od wscho-
du, z krainy bursztynu, od Bałtyku, a które dotarły
dolinami Padu i Rodanu aż do morza Śródziemnego;
ostatnie ich resztki zachowały się w naszej Prowancji
i na wybrzeżu genueńskim. Byli to Ligurowie, rasa
przypuszczalnie aryjska, opisana przez Pozydonjusza,
silna, o małej postawie, zaprawiona do trudów, chci-
wa zysku, w której przechowało się na długo zamiło-
wanie barbarzyńców do rabunku na lądzie i na mo-
rzu. Pracownicy, o wyższej zresztą cywilizacji od lu-
dów, z którymi się mieszała, rozwinęli oni, współ
z Akwitaniami i Iberyjczykami, zasoby terytorjum,
które naszli. Posługując się w walce i przy pracy me-
talami, miedzią i bronzem, osiedlili się na tej ziemi,
nadając nazwy równinom i źródłom. Przy pomocy
swych narzędzi, odporniejszych od kamienia, swych
miedzianych i bronzowych toporów, ludzie ci konty-
nuowali i przyspieszali dzieło uprawy ziemi, podej-
mowali walkę z bagnami, osuszyli Limagne w Auwer-
nii i normandzkie jeziora, zmieniając je w ziemię jak-
najbardziej urodzajną. Grobowce ich świadczą o lud-
ności, gęsto już osiadłej, dokonywującej coraz to
obfitszych zbiorów, zajmującej się hodowlą bydła,
o rasie, która kształtując ziemię i stykając się ze
Wschodem stworzyła własne zwyczaje, według zwy-
czajów ludów osiadłych i cywilizowanych, i przysto-
sowała się do ich nawyków materjalnych i moral-
nych.

Religja Wśród tych plemion rolniczych, zaskle-
Druidów pionych przymusowo w swej ciężkiej
pracy, odosobnionych na swych ziemiach, wskutek
codziennych zadań, zjawia się oto wspólność wierzeń,
głoszonych przez Druidów. Kapłani ci, z którymi za-
poznaje nas Cezar, opisując dużą rolę, jaką grali póź-
niej w społeczeństwie galijskiem, przybyli do Gallów,
jak ci to sobie sami wyobrażali, od ludów, których
byli spadkobiercami. Druidowie skupiali plemiona
i ich przywódców przez uroczystości religijne, którym
towarzyszyły krwawe obrzędy i ofiary, oraz przez
obchody na cześć bohaterów, których zwyczaj docho-
wał się po nich jeszcze przez czas długi. Powaga,
w którą, zdawało się, byli wyposażeni Druidzi, celem
rozstrzygania sporów i wymierzania sprawiedliwości,
miała swe źródło w dawaniu dobrego przykładu
i w głoszeniu praw moralnych, narzucających się już
tym surowym plemionom, zasad jedności a zarazem
i intelektualnego życia. Pierwotnym tym wierzeniom
brak świątyń, brak jakichkolwiek gontyn, poza uro-
czyskami pod gołym niebem, na leśnych polanach
Bretanji, okolic Chartres czy Orleanu. Głębokie za-
rośla, majestatyczne bory, stanowiące sklepienia i ko-
lummy tych naturalnych katedr, owe przybytki sku-
pienia i świętego lęku, budziły u tych wieśniaków, któ-
rym las zacieśniał rolę, broniąc jej zarazem, uczucia
religijne, ułatwiające powstawanie pojęć moralnych
w poczuciu wspólnoty.

Ludy i kraje Bezmiar mórz, zamykających od stro-
nadmorskie ny Atlantyku terytorjum, pokryte je-
szcze w większości swej lasami, stosunki wzajemne

tych wybrzeży między sobą, łatwiejsze częstokroć drogą morską niż lądową, ułatwiały tę wspólnotę uczuć i wierzeń. Zachowała się tradycja, że Gallowie udawali się w czasie późniejszym poza kanał La Manche, by tam u źródeł, na wyspach, szukać nauki Druidów i badać ją w całej jej czystości. Nie można niedoceniać znaczenia tego kontynentalnego istmu, stanowiącego nasze pierwotne terytorjum, posiadającego 3000 kilometrów wybrzeża nad Atlantykiem, nad kanałem La Manche i morzem Północnem, a na południu nad morzem Śródziemnem, pośredniczącem między Europą a wyspami i półwyspami, zamykającemi je od zachodu i od południa. Na tem wybrzeżu żyły od najdawniejszych czasów ludy, wykorzystujące z równą dzielnością, nieskończenie urozmaicone zasoby wspólnego rezerwoaru, który i dziś jeszcze nie odmawia ich nawet najuboższym. U zarania dziejów widzimy ludy te zajęte rybołóstwem i pośrednictwem morskiem przy poszukiwaniu cyny Kassyterydów w Kornwalji lub minerałów hiszpańskich, służących do sporządzania bronzu. Ludy te stworzyły związek plemion morskich, którego ośrodkiem było, zdaje się, Morbihan, utrzymując częstsze stosunki z portami Irlandji, Bretanji i Galicji, niż z plemionami wnętrza kraju. Działalność ich, o której świadczą potężne pomniki z kamienia w Locmariaquer i w Carnac, rozciągała się aż do Skandynawji i Danji. Tak więc, na 2000 lat przed naszą erą, można ustalić promieniowanie cywilizacji atlantyckiej, współczesnej cywilizacji egejskiej z epoki bronzowej, współczesnej bezwątpienia, lecz znacznie różnej co do sposobu życia od ludów i książąt, którzy

wzniesli na Krecie pierwsze pałace w Knossos. Był tych marynarzy atlantyckich był ciężki, pozostał też takim i nadal, lecz przywiązywali się doń, dla jego niebezpieczeństw i zysków, odosabiając się w swych nadmorskich sadybach, jako na terenie, w którego swobodnem użytkowaniu mogły im zagrażać tylko wypady Oceanu, kapryśnego ich dostawcy. Oto przyzwyczajenia i upodobania, które zespoliły ich niejako z morzem i utrzymywały w Bretanji długi czas w odosobnieniu od ludności rolniczej.

Pierwszy brząsk dziejów W oddali wieków, we mgłach mórz zachodnich i pierwotnych lasów, nad brzegami rzek, na użyźnionych polanach i osuszonych dolinach, ujawniają się w ten sposób niewyraźne jeszcze ślady życia naszych przodków, ślady, odsłaniające ich zajęcia, ich walkę o byt, rysy dotyczące ich wyglądu i charakteru, zatarte może, lecz zaszczerpione w życie ich następców. Widzimy ich wysiłki, podobne z wszystkiemi zresztą zastrzeżeniami, do wysiłków pionierów, przybyłych z Europy, którzy, począwszy od wieku XVII dobierali się do wielkich lasów Ameryki Północnej, a stosunki między sobą utrzymywali, w braku dróg, przy pomocy portów wybrzeża atlantyckiego. Widzimy, że, podobnie, jak ci osadnicy, przywiązują się i oni do ziemi, żyjąc równocześnie także i z morza, na brzegu kontynentu, dokonując tam swego niewdzięcznego zadania. Pamięć o nich zaginęła, z końcem wieku VI poczynają jednak kiełkować dzieje, nadając ziemi, która była ich dziełem, nazwę najezdycznych Gallów.

Celtowie
i państwo
celtyckie

Galja, o ile losy jej były związane z dziejami kontynentu europejskiego, ta Galja, rozciągająca się od Alp do Pirenejów, między morzem Śródziemnem a brzegami Oceanu, nie była początkowo niczem innem, jak odłamek państwa celtyckiego. Nazwę Celtów nadali sobie ludzie epoki żelaznej, władający prawem zdobyczy całą Europą, od Karpat aż poza Pireneje i od Bałkanów aż do Bretanii.

Znamy je dobrze, tym razem dzięki historii, „te ludy wojownicze i hałaśliwe”, opisane przez Michelet’a, przebiegające świat cały, z mieczem żelaznym w dłoni, powodowane, zdaje się, nie tyle chciwością, jak raczej nieokreśloną, próżną żądzą oglądania, poznawania, działania, te wielkie postacie, miękkie, o białej cerze i blond włosach, które wprawiały w drżenie Rzym i łupiły Delfi, te dzieci budzącego się świata, hałaśliwe i odważne, uprzejme i gadatliwe, waleczne i towarzyskie, których zalety i wady zaszczerpiły się podobno, na zawsze, całej rasie, zwłaszcza zaś naszej, niezatarte i dające się rozpoznać jeszcze po dwudziestu wiekach. Dziwna psychologia ras, a właściwie żadna, wobec niecofania się jej przed jakąkolwiek sprzecznością!

Dziedziczna nierówność, którą Francuzi mieliby posiadać po niespokojnych i gadatliwych Celtach, to, zdaniem innych krytyków niemieckich, charakterystyczna wada rasy łacińskiej. Dzieje, choć tak ciemne jeszcze w tej epoce, stworzyły właśnie w Galji człowieka i ziemię, przez wzajemne ich do siebie ustosunkowanie.

Od początku wieku IX-ego aż do V przed Chr. nacierali Celtowie Europę, jak burza, uzbrojeni w swe szerokie miecze i żelazne hełmy, uciskając ludy i mieszając je pomiędzy sobą. Huragan, który wywołali Gallowie, Helwetowie i Belgowie zatrzymał się dopiero przed wysiłkiem cywilizowanych Rzymian i barbarzyńskich Germanów. Język ich zaś, zdobył, jak mówi Juljan, na długo przed łaciną, świat cały. Zjawia się też ich cywilizacja, której siedziba znajdowała się przez długi czas, po obu brzegach Renu, między Auvergne, Berry i Czechami, cywilizacja, wykazująca już znaczną jednolitość materialną, olśniewająca, tak jak materje, jedwabie i złoto, w które się stroili, wyposażona w bogactwa i komfort w szatach i mieszkaniu, oparta na zespole wierzeń moralnych i religijnych, uporządkowanych również przez zwyczaje i nawyki pierwowzoru ustawodawstwa. To, co można poznać z ich dziejów, przez przeciąg pięciu wieków, od 700 do 200 przed Chr., z ich grobów i opowieści starożytnych, pozwala jednak domyślać się, że cywilizacja ta, przyobleczona we własny język, nie była wyłącznie ich własnem dziełem. Zbyt nieliczni i często nazbyt ruchliwi, by móc zaabsorbować ludność osiadłą poprzednio na danej ziemi, Ligurów w dolinach Padu i Rodanu, Etrusków w Italji, Iberyjczyków w Akwitanji i w Hiszpanji, Celtowie, lud początkowo raczej pasterski niż rolniczy, palący ciała swych umarłych, żaden walk i przygód, mieszał z pewnością tak, jak później, Normanowie, swe życie z życiem ziem, które siłą nacierali. Zebrali oni zyski pracy bezimiennej, która podniosła wartość tej ziemi, prze-

jeli zwyczaje tamtejsze grzebania umarłych, obrzędy religijne i wierzenia epoki przedceltyckiej. Przynosili zaś z sobą zapał zwycięski i wiarę w siebie, dzięki którym zgrupowali dokoła swych sił i swych zamierzeń, społeczność, zdolną do zajęcia miejsca w historii, wrażliwą na kulturę, jak mówi Strabo, i nauczanie literackie, ceniącą wymowę, przytem bohaterską i rycerską.

Terytorjum gallijskie Kiedy państwo celtyckie, po swem rozbiciu, skoncentrowało się, przed zupełnem zniknięciem pod ciosami Rzymian, w nazwanej tak przez Rzymian, Galji, zarysowały się tam kontury terytorjum, złożonego początkowo z różnych ziem i w różne wyposażonego klimaty. Terytorjum to stało się indywidualnością w świecie ludów dopiero dzięki piętnu, wyciśniętemu na niem przez ludzi, których energia nagięła do swego użytku zasoby natury, wyodrębniając kraj i różniczkując go, jakgdyby medal wybity na swą podobiznę, a na którym są wypisane ich pierwotne dzieje.

Stary kraj Gallów Na urodzajnych płaskowzgórzach, rozciągających się wśród ogromnych lasów, lub też na polanach, lasom tym wydartych, w miejsce bagien, zamienionych w żyzną ziemię, mnożyły się wioski, złożone z chat okrągłych, tworząc ramy tego, co Rzymianie nazwali *pagi*, „nasze odwieczne ziemie”, ośrodki kultury i osiadłej ludności. Podziały religijne lub polityczne wieków następnych, djecezje, prowincje, departamenty, tworzyły na tem podłożu dalsze nawarstwienia, nie niszcząc pierwot-

nych ziem, lub nazw. Wskutek zbliżenia, które, wobec zlania się Gallów z poprzednimi ludami, nastąpiło między ziemiami początkowo od siebie oddzielenymi, powstały szczepy, których nazwa i obyczaje utrwaliły się na przeciąg całych naszych dziejów. Biturygowie (Bourges i Berry), Edueni (Autun), Arwernowie (Auvergne), Sekwanowie (Besançon), Helweci (Szwajcarja), Remowie (Reims), Trewirowie (Trèves), Santonowie (Saintes i Saintonge), Piktonowie (Poitiers), Swessoni (Soissons), Paryzjowie (Paryż i Lutecja), oto zbiorowiska ziem, które stanowiły początkowo wieśniacze państwiska. Ślady ich dadzą się rozpoznać w uporczywie rolniczem usposobieniu spadkobierców tej cywilizacji.

Państwka gallijskie Państwka te, „civitates”, były wówczas małemi odrębnymi monarchjami, sąsiadującymi z sobą, noszącymi nazwę swych stolic a umieszczonemi zazwyczaj u zbiegu dróg, służących do połączenia ich między sobą, około Limagne w Auwernji, u spływu Oise’y i Marny z Sekwaną, Maine’y z Loirą, na drodze łączącej, w stronę Orleanu, obie wielkie rzeki Loirę i Sekwanę. Dokoła tych monarchij, potworzyły się w ciągu II w., jako klientela przywódców i sędziów, rocznych lub przejściowych, oraz dla obrony ziemi, arystokracje wielkich właścicieli ziemskich, energicznych wojaków i myśliwych, wesołych biesiadników, dla których śpiewali bardowie przy zabawach, czy też bitwach. Przyjmując obcych, od których żądali przedmiotów zbytkownych, jedwabnych materyj, ozdób i kosztowności, cywilizo-

wali się przez to zetknięcie z dniem każdym. Między sobą prowadzili jednak spory, lub też powstawali przeciw swym władcom, którzy zmuszeni interesem lub ambicją, uciekali się do pomocy mas ludowych. W ten sposób ludność Galji, zdobywcy celtyccy i belgijscy, lub też pracownicy związani od wieków z ziemią i podbici, budzili się do życia gospodarczego i społecznego, mogącego stanowić zarodek przyszłych losów ich następców, gdyby to życie nie było jeszcze tak cząstkowem tylko, tak niepewnem i niespokojnem, wskutek zbytniego zamięłowania do przyjemności i przygód, kapryśnych zwyczajów wałęsania się i wojowania, konfliktów między ambitnymi władcami, niesforną szlachtą i niezadowolonym ludem.

**Cywilizacja
a druidowie**

Przyszłość tej społeczności byłaby leżała w zacieśnieniu węzłów, które dzięki wymianie rzeczowej i ideowej, poczynaty się tworzyć wzdłuż pierwotnych dróg i rzek, między temi państewkami rozdzielonemi pomiędzy sobą i zwróconemi jedne przeciwko drugim. Działalność religijna, moralna i sędziowska druidów, wyposażonych w prawa policji moralnej, która tak dziwiła Cezara, zdawała się być wprost stworzoną do zbliżania i godzenia, chociaż napotykała na przeszkody, wynikające z dawniejszych wierzeń, przeszkody wyszłe niejako z samej ziemi, a tak różnorodne w swej rozmaitości, jak państewka, na które było wówczas rozbite terytorjum galijskie.

Zdawało się jednak, jakoby ponad pojedynczymi kantonami i rywalizacjami miejscowemi poczy-

nała się tworzyć nieświadomie wspólnota interesów i polityki.

Vercingetorix Był nawet moment, ale jeden moment
a Rzym tylko, kiedy to, wystosowawszy wezwanie dla oparcia się naporowi swych braci, Bojenów i Helwetów, czy też dla załatwienia własnych sporów, dla odparcia obcych, Germanów i Swewów Arjowista, Rzymian Cezara i Labienusa, zdecydowali się Gallowie, Arwernowie i Karnutowie obrać lub też poddać się, jak mówiono, jednemu „narodowemu” przywódcy. Vercingetorix zebrał blisko 100.000 ludzi, dla wypędzenia armji Cezara, a 250.000 dalszych pospieszyło mu z pomocą: był on istotnie przywódcą jedynym, bardziej jeszcze, niż „przywódcą narodowym”. Byłby był bowiem musiał mieć w Galji, na swe usługi naród w sensie politycznym, przede wszystkim zaś państwo, silne poczuciem wspólnoty i organizacją. W związku z bohaterską i tragiczną postacią Vercingetorixa, tego inspiratora tłumów i kierownika zaimprovizowanej armji, wyposażyła legenda Gallów w patryjotyczną wolę, która była w istocie tylko przeblyskiem, przejściowem echem wymownego apelu tego bohatera do wojowniczych wspomnień i instynktów rasy.

Krytyka znów, upodobała sobie złośliwie dopatrywać się w ostatecznem niepowodzeniu tego wielkiego ruchu, który omal nie zdruzgotał Cezara i jego fortuny, skutków nieuleczalnych rozłamów i namiętnych kłótni państwerek galijskich, dowodu niezdolności rasy do ustrzeżenia się, w tem tragicznem zarażeniu, przed wadami, które jakoby przeszły w fatalnym

spadku z naszych przodków na nas samych. Tak, jak-gdyby Grecy, do innej przecież należący rasy i rychlej ucywilizowani, nie byli wykazali, od czasu inwazji perskiej aż do podboju rzymskiego, a i potem także, takich samych sporów i takiej samej obojętności na wspólny interes wszystkich społeczności greckich. A sami Italowie, którzy połączyli się dopiero pod jarzmem narzuconem im przez Rzymian!

Gallowie, podobnie jak i wszystkie inne ludy sta- rożytnego świata nie dali się nagiąć do jedności poli- tycznej, na którą nie zdecydowały się także nigdy i greckie państewka; może nie byli oni bardziej od tamtych oddaleni od urzeczywistnienia, przynajmniej pośród siebie, tej jedności wierzeń i kultury, cywili- zacji i materialnego postępu, który zawdzięczali swej wiekowej pracy? „Musimy pamiętać”, pisał raz Vidal de la Blache, „że nasze pojęcia i nasze przyzwyczaj- nia wyrastały na podłożu o wiele starszem i głębszem, niż się to sobie ogólnie wyobraża”.

Cywilizacja Pochodzą one, zwłaszcza co się tyczy
śródziemno- Gallów wieków V-ego do II-ego, ze sty-
morska w Galli kania się, naśladowania i wzorowania
się, w poszukiwaniu dobrobytu, — również i na cywi-
lizacji wyższej, świata śródziemnomorskiego. Pocią-
gała ich ona oddawna a południowe ich ziemie stały
przed nią zawsze otworem.

Cywilizacja śródziemnomorska, spadkobierczyni
najstarszych społeczności cywilizowanych Nilu i Eu-
fratu, wyposażona w rysy sobie właściwe, umiejscó-
wiła się od wieków, zdala od Europy środkowej i jej

lasów, w klimacie zupełnie odmiennym. Lata bardzo suche, zimy bardzo łagodne, przedzielone okresami mniejszej lub większej wilgoci, wszystko to warunki, w których trudno było człowiekowi zastąpić niedostateczne lub niepewne zbiory, nawet wypasem bydła w lecie na górach a w zimie na równinach, bez uprawy owoców, oliwek i wina, bez zysków, płynących z rybołówstwa i żeglugi przybrzeżnej. Ogrody i sady, podchodzące stokami grzbietów górskich, (tych cennych rezerwuarów wody), aż do akropol miast, zabezpieczonych od piratów, pobraża rozsiane wzdłuż półwyspów, w zakątkach zatok i archipelagów, oto ramy, do dziś istniejące, w których rozwijała się działalność ludów śródziemnomorskich, Fenicjan, Etrusków, Kartagińczyków i Greków. W pierwszym rzędzie Grecy, cudowni pośrednicy handlu, sztuki, myślenia i wiedzy starożytnej, odznaczeni się umiejętnością zbierania i rozpowszechniania po świecie owoców i wynalazków ludzkiego genjuszu, wszystkich tych skarbów, dostarczanych ludzkości przez Egipt, Chaldeję i Kretę a tak nadzwyczajnie wzbogaconych ich własnym genjuszem.

Dobrodziejstwa tego zetknięcia się odczuwały ziemie gallijskie na wybrzeżu Prowancji, Narbonne, aż po Tuluzę i Aix. Grecy focyjscy, założyciele Marsylji, handlowali dolinami Rodanu i Loiry aż do Atlantyku. Nauczyli oni swych odbiorców swego alfabetu, monety i pisma, lecz kształtowanie tychże odbywało się poniekąd przelotnie tylko i powierzchownie. Wpływy te zaledwie dotknęły życia gallijskiego, tak wielką była różnica, stojąca na przeszkodzie ściśle-

szemu zbliżeniu, różnica między życiem pobrzeżnem śródziemnomorskiem a życiem wnętrza kraju, w zwyczajach, sposobie myślenia i odczuwania, które stanowiły istotę tej różnicy.

Cezar i podbój rzymski Zatarły ją dopiero siła, upór i genjusz nieubłaganego wodza, który zjawiał się nieustannie przez lat ośm, na czele swych legionów, również od strony świata śródziemnomorskiego, lecz tym razem rzymskiego.

Zespolenie gallo-rzymskie Nazajutrz po dokonaniu podboju, który pożogami miast, masowemi egzekucjami i zesłaniami karał metodycznie Gallów za to, że chcieli bronić swych sadyb przed italskim najeźdźcą, zarówno zwycięzcy, jak i zwyciężeni uprzytomnili sobie jednak, że można było zrobić lepszy użytek z tych sił, poświęconych dziełu śmierci i tyranji, przedewszystkiem dla wzniesienia wału obronnego przeciw coraz bardziej wzrastającej groźbie germańskiego barbarzyństwa. Gallowie podporządkowali się zamierzeniom Cezara, który zaciągając ich do służby wojskowej, a nawet wprowadzając do Senatu, przygotował przy ich pomocy Imperjum, rozszerzył państwo rzymskie zdobytymi prowincjami, związanemi w jedną, wielką całość polityczną, pierwszą, jaką oglądał świat śródziemnomorski. Dostosowali się oni chętnie do tej cywilizacji, która miała ukoronować wiekowe wysiłki ich najdawniejszych przodków, podjęte na ziemi, której przeznaczeniem było, zdaniem Strabona, stać się jedną z najbardziej kwitnących ziem świata. Zaspokoiwszy swe potrzeby i swe upodobania posługiwali

się Gallowie Rzymem i nowym swym przyjacielem, Cezarem, by podjąwszy z nową ochotą ułatwioną sobie pracę, dokonać dzieła wydobywania wszelkich wartości z tego terenu użytkowania, użycia i cywilizacji, terenu bardziej szarmonizowanego i zaokrąglonego, niż ciasne ramy pierwotnych krajów i rywalizujących z sobą państwewek.

„Patrzenie na tę Galję”, mówił Marek Antonjusz, sławiąc dzieło Cezara, „która nasyłała nam tak groźnych wrogów! Dziś cieszy się ona taką samą kulturą, co Italja. Liczne i bezpieczne drogi komunikacyjne stoją otworem od jednej granicy do drugiej; żegluga swobodna jest i zabezpieczona aż do Oceanu”.

Możnaby powiedzieć, że ojcowie nasi, przyjmując tak szybko prawa zwycięzców, uprzytomnili sobie rychło znaczenie wielkiego zjawiska historycznego, dokonanego za pośrednictwem ich ziem, przez zbliżenie się Oceanu do świata śródziemnomorskiego.

Ośrodkiem tych ziem stał się Ljon, gdzie urodził się cesarz Klaudjusz, skąd promieniowały te wszystkie drogi, budowane przez inżynierów rzymskich na wieki całe, ku okolicom Loiry i Sekwany, ku morzu lub też poprzez Szwajcarję ku Europie środkowej. Stał się on tygłem tej cywilizacji łacińsko-greckiej, której dobrodziejstwa i świadectwa można najlepiej ocenić po nabytym wówczas zwyczaju uprawy nowych owoców, kwiatów i jarzyn, rozwoju ogrodnictwa i sadownictwa, różnorodnych pomnikach wzniesionych na naszej ziemi w ciągu dwóch wieków, świątyniach i bazylikach, mozajkowych posadzkach, dziełach sztuki, higieny i komfortu, mostach, wodociągach i łaźniach.

Stanowisko Gallów i ich rola w Imperjum Dzięki literaturze, językowi, sztuce i polityce znaleźli się Gallowie tak dalece w orbicie starożytnej cywilizacji, że, gdy w III wieku po Chr. anarchja wojskowa zniszczyła Imperjum, stali się niemal jedynymi obrońcami imienia Rzymu przeciw Gotom i Persom. W IV-tym wieku Rzymu nie było już w Rzymie; znajdował się on w Ljonie, w Lutecji, w Bordeaux, z całym właściwym sobie rozmachem życia intelektualnego, wysuwając na pierwsze miejsce swych poetów i swych mówców, w ostatnim blasku dobrobytu i zbytku, przynoszącym zaszczyt obu rasom, które codzienną pracą i twardą dyscypliną stworzyły wspólną ojczyznę, ostoję cywilizacji całego Zachodu.

Nie zapominając o Galji, Gallowie kochali Rzym. Pozostając takimi samymi, jakimi byli ich przodkowie, rozmiłowani w ruchu, słowie i nowostkach, prześląknęli oni tak dalece duchem i obyczajami Rzymu, że ślad tego dochował się po piętnastu wiekach na naszym sposobie myślenia, naszym wychowaniu, naszej mowie i naszych urządzeniach.

Prawo rzymskie i państwo gallo-rzymskie Historycy, i to nienajpośledniejsi, zarzucali Latynom, że byli oni dla naszych ojców zwycięzcami, nieumiejącymi dać zwyciężonym, z którymi się zlali, nic naprawdę nowego, ani w dziedzinie myśli, ani też sztuki, co więcej, historycy ci czynili ich odpowiedzialnymi, za zniszczenie w zarodku dzieła cywilizacji, odmiennej i wyższej, która bez ich brutalnego pośrednictwa, mogła być oprzeć się na stosunkach bezpośrednich Galji z Helle-

nizmem. Znaczy to zapominać może zbyt o dobrodziejstwie, które Rzymianie, uczniowie Greków, wyświadczyli ludowi galijskiemu przedewszystkiem przez umożliwienie mu udziału w postępie materialnym, społecznym i intelektualnym, dokonanym na wybrzeżach morza Śródziemnego, co byłoby inaczej nastąpiło o wiele wolniej, jeśliby wogóle miało miejsce. Otwarcie dróg, skuteczna walka z lasami, bagnami i nieużytkami, zbudowanie licznych miast, zaprowadzenie pokoju, korzystnego dla pracy i handlu, wszystko to zjednoczyło Galję, dało jej żywotność i dobrobyt, a byłoby się bez tego już może nie stało, wobec bliskich najazdów hord barbarzyńskich. Znaczy to dalej zapoznawać zwłaszcza korzyści rzymskiego ustawodawstwa, o tyle wyższego od prymitywnych praw zwyczajowych, że było ono spisaniem i rozwijało się według stałych reguł, zapoznawać wreszcie korzyści stałego rządu, normującego odtąd wzajemne stosunki obywateli Imperjum, obywateli galijskich, zarówno jak i innych. Przy pomocy swych juriskonsultów dopomogło państwo rzymskie, względnie jego władcy do zwycięstwa pojęcia jednolitego porządku wewnętrznego, z którego mogli korzystać w całym Imperjum członkowie tego olbrzymiego państwa, bez różnicy języka i rasy, stając się z kolei sami tego porządku pośrednikami, rozumnymi, słuchanymi i szanowanymi.

Pojęcie to nie zaginęło nigdy; nawet po zniknięciu rzymskiej potęgi, zachowało się ono zwłaszcza w Galji, pozbawionej organizacji państwowej. Ileż to prowincyj francuskich, zamieszkałych jest na podsta-

wie prawa rzymskiego, ileż miast, w których zachowały się tradycje municypjów a w życiu politycznem tego organizmu, który z Galji stał się potem Francją, jak niezwykle znaczenie posiadają przedstawiciele prawa, spadkobiercy owych rzymskich juriskonsultów, począwszy od naszych legistów w. XIII-ego aż do Cujas'a, od konstytuansów aż do doradców prawnych Napoleona, iluż to profesorów, urzędników, wykształconych na pojęciach i stosowaniu prawa rzymskiego, iluż sług porządku publicznego, niezbędnych dla potęgi wszystkich a bezpieczeństwa jednostek!

Jeśli Imperjum, zgrupowawszy mieszkańców ziem gallo-rzymskich w obrębie swego ogromu, nie dostarczyło im jeszcze środków do stworzenia własnego narodu, nabrania poczucia narodowego i zdobycia odpowiednich praw, to w każdym razie przygotowało ich ono do tego, w pierwszym rzędzie przez to, że nie zabsorbowałszy ich, pozwoliło im iść drogą własnego przeznaczenia, zwłaszcza zaś tem, że nadało im organizację społeczną i polityczną, bez której nie mogliby oni sami stać się narodem. Nie zdaje się żeby Grecja, która sama musiała organizacji tej wyczekiwać od Rzymu, była mogła obdarzyć Gallów temi dobrodziejstwami, których pamięć nigdy nie zagięła.

Pierwsze wieki Pośród wszystkich wpływów, przesią-
chrześcijaństwa kających wówczas do mieszkańców
w Galji Galji ze świata śródziemnomorskiego, żaden nie okazał się trwalszym i potężniejszym w swych skutkach, od wpływu ewangelji Chrystuso-

wej. Zjawia się ona tam za czasów Domicjana, przybywając wprost ze wschodu, przez Marsylję, do Ljonu i Vienne. Rozwija się w środowisku kupieckiej kolonji greków azjatyckich i syryjczyków, bardzo licznych w handlowych miastach nad Rodanem, zwłaszcza zaś wśród maluczkich, wśród plebsu i niewolników. Pierwszymi męczennikami i wyznawcami, których skazał Marek Aureljusz w Ljonie w 177, by ich nauczyć poszanowania praw i religji cesarów, podniesionych do godności bóstwa, byli święty Pothin, przybyły z Azji na biskupstwo ljońskie, Athalus z Pergamu i Aleksander z Frygji. Ich męczeństwo oraz ofiara bohaterskiej niewolnicy, św. Blandyny, ukrzyżowanej w amfiteatrze, o czem doniosły wiernym w Azji listy, sławne w dziejach chrześcijaństwa, zdecydowały o wynikach pracy św. Ireneusza, ucznia św. Polykarpa ze Smyrny. Dzięki jego gorliwości, wymowie, a może i męczeństwu, kościół grecki w Ljonie ściągał na siebie oczy całego świata chrześcijańskiego.

Począł on wtedy zbliżać się do stolicy rzymskiej, skąd miała przybyć do Galji, w wieku III, misja apostołska, Trofimus do Arles, Marcejał do Limoges, Saturnin do Tuluzy a Djonizy do Paryża, męczennicy i oni, za Decjusza i Walerjana, ulubieni bohaterowie pobożnego świata galijskiego. Postępy nowej wiary, mało jeszcze znanej, nie przekraczały jednak wówczas w Galji, jak się zdaje obrębu kilku miast i sfer rzymskiej arystokracji. Chrystus nie został jeszcze objawiony najliczniejszemu rzeszom, ludności wiejskiej, *pagani*, z których później zrobiono „pogan”.

Działalność św. Marcina Dopiero w IV wieku rozpoczęło się nawracanie wsi, tej ludności ciemnej i pracującej, pozbawionej dziejów, lecz nie przeszłości, która ostatnia porzuciła galijskich bogów, tak drogiego Gallom Merkurego, kultu Matek i Wrózek. Nawrócenie przyszło od środowisk wojskowych, ustanowionych przez cesarzy, dla obrony cywilizacji, od Renu po Dunaj. Między tymi żołnierzami, dziećmi ludu, różnego pochodzenia i różnych ras, Gallami i Frankami z północy, Burgundami ze wschodu i Panończykami, a ludnością miejscową, dokonywało się dzieło powolnego i głębokiego zbliżania się, zależnie od przypadkowych kwaterunków i przenosin, które stwarzało nowy język i jakgdyby nową duszę ludową.

Z końcem IV wieku głosi wiarę w tych środowiskach św. Marcin, żołnierz z Panonji, sam syn żołnierza, biskup w Tours w czasie działalności św. Remigjusza u Franków i u ich króla. A głosi ją z promieniującą potęgą ten święty, trochę demokratyczny, „co nigdy u nas nie szkodziło”, jak powiedział Boissier, zwłaszcza po wsiach. Wszędzie, gdziekolwiek się zjawił, w okolicy Tours, Amiens, Autun, Chartres, porywał i przekonywał tłumy swą wymową, podziwem dla swych cudów, surowością swych umartwień, miłosierdziem swych rad i uczynków, przyjmowany, jakgdyby był trzynastym apostołem Chrystusa. Oddał on Chrystusowi Galję i oddał ją na wieki. Wiecznie w drodze, dla sprawy wiary, stawiał świątynie chrześcijańskie, od Rodanu po Garonnę, u skraju lasów, przy źródłach, do których tak długo były przywiązane wierzenia ludowe. Św. Michałem zastąpił bożka gal-

lijskiego Luga: „prostego zwierza”, Merkury sprawiał mu trudności, lecz Najśw. Panna dopomogła mu zato do wypędzenia wgląd lasów, na pola, owych „dobrych pań ziemi”, wynagrodzonych zato przez legendę postacią wrózek i karzełków. Dzięki św. Marcinowi i jego następcom mnożyły się domy modlitwy i parafje dla biednych tego świata, pochylonych w modłach, a nie tylko już w ciężkiej pracy. Kościołów poświęconych św. Marcinowi liczy Francja kilka tysięcy. A w iluż z nich brak legendarnej postaci żołnierza apostoła i jałmużnika, oddającego swój płaszcz nędzarzom! Do wieśniaków tych przemawiał on istotnie, nauczysz mnych z pierwszych chrześcijańskich zastępów, przemawiać ich prostym językiem! Tym duszom zaniedbanym otworzył on bramy Królestwa Bożego, pełnego nadziei i pociechy, dostępne dotąd jedynie uprzywilejowanym znawcom greki i łaciny. Pod kierunkiem i przewodnictwem swych biskupów, początkowo obieralnych, czerpał lud z tej nowej wiary nieznane sobie dotąd siły, dla obrony swej ziemi i swych rodzin przed łupieżcami i niewiernymi; czerpał podporę moralną, płynącą z wielkiej społeczności chrześcijańskiej, o wiele wydatniejszą od siły odpornej państwowości rzymskiej, na której Kościół wzorował początkowo swą organizację, a to wszystko w chwili, gdy państwowość ta zachwiała się pod ciosami barbarzyńskiego wroga.

Bóg opiekuje się G a l j ą Bóg począł opiekować się Galją. Stało się to wtedy, gdy w VI wieku, za zbliżaniem się Hunnów, Paryż obrał sobie patronkę, po-

chodzącą z zamożnej może rodziny, lecz przez legendę obdarzoną rysami pasterki. Utrwaliła się tradycja, że obok ojca pracownika i matki, świętą narodową została pasterka, ta najniższe jednostka rodziny wieśniaczej i wsi całej, ta biedna dziewczyna, strzegąca trzody, dostarczającej wełny na przyodziewek. Stała się ona ucieleśnieniem wiary w opiekę boską tych najniższych w społeczności maluczkich, do której za radą św. Remigjusza i św. Marcina, zwracali się w chwili wielkiej potrzeby.

Cywilizacja W czasach spokojnych, między zawie-
mnichów ruchami, mnisi, — instytucja, pochodząca również ze wschodu a zaprowadzona przez św. Marcina w Ligugé w Poitou, — tworzyli zręby tej społeczności chrześcijańskiej, która powstawała po gallijskich kantonach. Podobnie jak ich założyciele, pochodzą i oni z ludu, uczą go wiary i pracy. Dookoła swych klasztorów, folwarków i składów, będących czasem warowniami, sieją oni, zbierają i zwożą do stodół. Praca ich inteligentniejsza i uporządkowana dokonuje i dokańcza zwycięstwa ziemi urodzajnej nad nieużytkami. Wieśniacy zbierają się koło nich, szukając opieki i nauki. Wiele miast zawdzięcza swe powstanie tym zbiorowiskom: Saint - Denis, Saint - Cloud, Saint - Amand, Saint - Elie, Saint - Etienne, Saint - Nazaire, Saint - Yrieix, Saint - Martin. Czem bardziej rozprzestrzeniają się ziemie mnichów, tem bardziej rośnie też ich bogactwo, dzięki darom wielmożów i królów, udzielanym dla zapewnienia sobie miejsca w państwie Bożem, tem więcej też cieszy się

z tego lud. W związku z nimi, w codziennych stosunkach wymiany dóbr materialnych i uczuć religijnych, zdobywa ten lud świadomość samego siebie, swej przeszłości pełnej pracy, swej przyszłości pełnej nadziei. Koniec to wielkiego państwa, jutrzeńka narodu.

Narodu, który idąc po przez wieki za swem przeznaczeniem, nie pozwoli już naruszyć fundamentów swego istnienia, utwierdzonych wśród burzliwych fal, choć podmyły je barbarzyńskie inwazje. Dusze jego, podobnie, jak i jego ziemia, noszą i strzegą śladów bruzd, wygrzebanych przez ojców w tych odległych czasach.

Zarodki, złożone tam przez nich, można rozpoznać jeszcze w ciągu wieków całych.

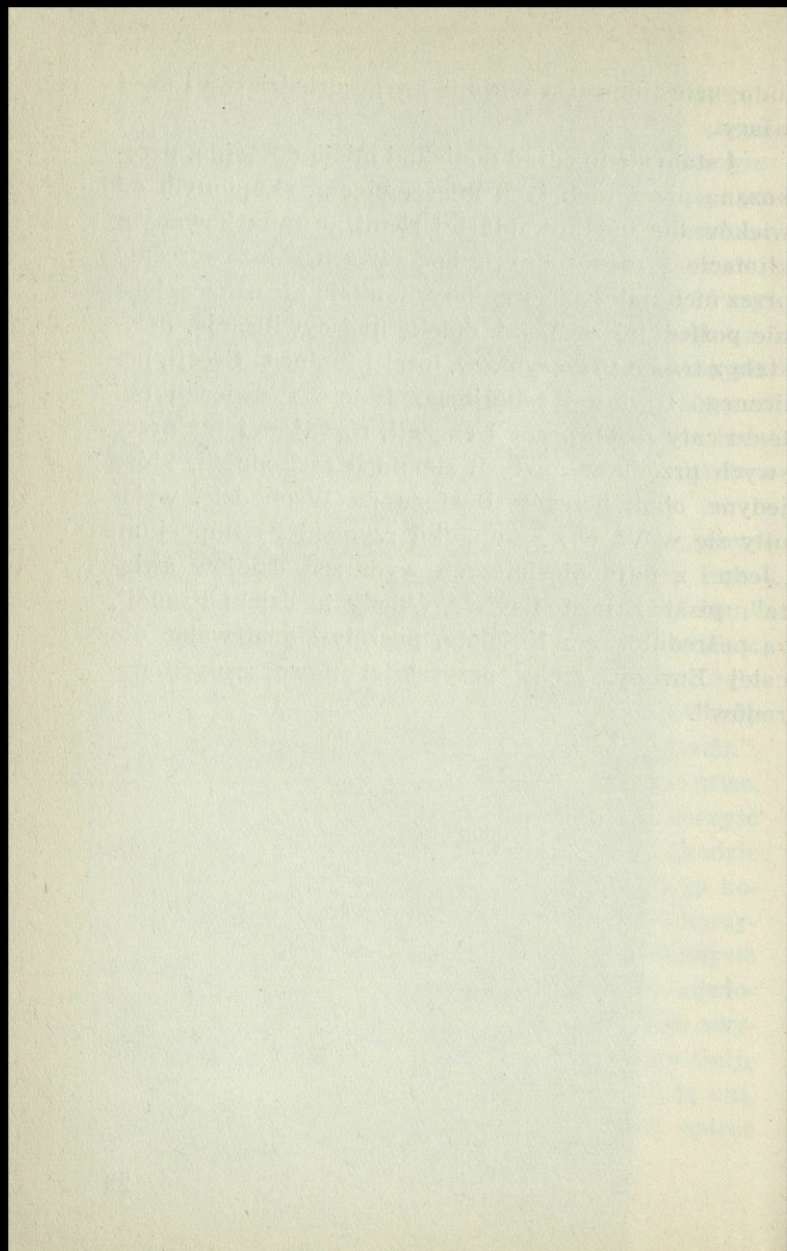
Frankowie Oto wreszcie naród frankoński, chcia-
i chrzest łoby się powiedzieć, francuski, od chwili
Klodwika kiedy biskupi ochrztili barbarzyńskich
zdobywców północnej Galji i wybrali Klodwika, jak-
gdyby nowego Konstantyna, by przeciwstawić masę
jego nawróconego ludu alemańskim najeźdźcom z nad
Renu, Burgundom i arjańskim Wizygotom, by wchłó-
nąć, ograniczyć i usadowić barbarzyńców przy pomocy
innych barbarzyńców. Ci Germanie, Frankowie, Bur-
gundzi weszli w skład Imperjum jako sprzymierzeńcy,
rolnicy i żołnierze, w grupach spoistych i zorganizowa-
nych, z swymi własnymi królami, swą szlachtą,
swymi zwyczajami i swym językiem. Napór Hunnów
na Europę środkową, którą zajmowali tamci w wie-
ku V, po Celtach, popchnął ich, w większej liczbie

i z większymi wymogami na prowincje konającego Imperjum, które podzielili między sobą. Na ziemi gallo-rzymskiej, którą zyskał Kłodwik, dzięki swym zwycięstwom, weszli przynajmniej Frankowie, po zniknięciu Imperjum zachodniego, w skład społeczności chrześcijańskiej, której język mieli przejąć dla utrwalenia swych zwyczajów i swych wierzeń. Przy całym zachowaniu surowego nieraz i pierwotnego zamieszkania wolności, w jakiej żyli nad Renem, swych zwyczajów i swych praw barbarzyńskich, złączyli się oni z społeczeństwem duchowieństwa i biskupów, z ludnością gallo-rzymską, która miała im nadać prawo obywatelstwa w historii.

Wszystkie czynniki twórcze społeczeństwa, powstałego z wolna na ziemi galijskiej, obecnie zaś frankońskiej, pozostają odtąd złączone z sobą, zlane w trwałą wspólnotę, wspólnotę przedewszystkiem chrześcijańską, panującą nad swym terytorjum dzięki zwycięstwu pod Tolbiac, któremu klasztory i kościoły zawdzięczały bezpieczeństwo i zyski. „Św. Marcin”, powiedział raz zwycięski Frank, „to sprzymierzeniec, który każe sobie drogo płacić”. Jak wielką korzyść przyniosło to jednak i Kłodwikowi, że przy pochodzie swym na heretyckich Wizygotów, wyprzedzało go korzystne proroctwo relikwii św. Marcina, jakąż korzyścią było dlań światło niebiańskie, które zabłyśło w katedrze w Poitiers, oraz biała sarna, która zawiodła go do brodów w Vienne, do rozstrzygającego zwycięstwa w Vouillé. Męczennicy i święci dali mu Galję od Renu do Pirenejów, a właściwie powierzyli ją oni, pod jego przywództwem, jeszcze pewniejszej opiece

ludu, uzbrojonego w obronie swego dziedzictwa i swej wiary.

I stało się to odtąd poniekąd misją dostojną, przekazaną przez nich tych mieszkańcom, skupionym od wieków dla użytkowania tej ziemi, o umiarkowanym klimacie i różnorodnych bogactwach, już wcześniej przez nich należycie ocenionych, misją nie oznaczającą nic pośledniejszego, jak opiekę nad cywilizacją, powstałą z trzech przyczynków, intelektualnego Grecji, politycznego Rzymu i religijnego Judeji. Poświęcali oni temu cały zasób pracy i energii, rozwijanej już przez swych przodków na tych ziemiach zachodnich, które jedyne, obok brzegów Bosforu na Wschodzie, wyłoniły się w VI w. z upadku rzymskiego Imperjum. „Jedno z najdonioślejszych wydarzeń dziejów świata”, pisał Ernest Lavisse, „kiedy to dzięki Francji, za pośrednictwem Kościoła, poczęły się utrzymywać dla całej Europy, zręby przyszłości nowoczesnych narodów”.



II.

CHRZEŚCJAŃSTWO A PAŃSTWO FRANKOŃSKIE.

Spółeczeństwo frankońskiej Galji. — Obrona i postępy społeczności chrześcijańskiej. — Karol Wielki i państwo Franków. — Karol Wielki, Alkuin i nauki. — Europa chrześcijańska dokoła papieża i cesarza. — Upadek jedności frankońskiej. — Anarchja we Francji w wieku X: baronowie i ludność pracująca. — Francuska wyprawa krzyżowa w w. XI. — Francuzi na Wschodzie. — Francuska Epopeja. — Sztuka a wiara: kościoły romańskie. — Sztuka ostrołukowa w Ile-de-France i katedry. — Kult królewski w Reims i obudzenie się narodu.

Społeczeństwo frankońskiej Galji Przez długie lata brak było Francuzom zamięłowania do badań dziejowych nad pierwszymi wiekami królestwa frankońskiego, nad epoką po Kłodwiku, oraz epigonów merowingich. Pocóż zatrzymywać się dłużej przy tem, co historyk tej epoki, Grzegorz z Tours, nazywał „rozpętniem się barbarzyństwa”, przy tych wiekach średnich, które Voltaire i jemu współcześni piętnowali w czambuł jako gotyckie, nie oszczędzając naszej sztuki katedralnej i literatury Gest’ów. Badania te wznowiło dopiero *Génie du Christianisme*. Romanizm, do którego Chateaubriand umiał zapalić swych wielbicieli, natchnął Augustyna Thierry do *Récits mérovingiens*. Później zaś odrodzenie nauki francuskiej, z Gastonem Paris, Gabrjelem Monod i Fustel de Coulanges’em na czele, skłoniło ich, po Benedyktynach wieku XVIII, do badań nad tem, jakto wówczas wpływy sprzeczne z sobą, ścierające się i jeszcze niezupełnie jasno określone, wytworzyły nowe społeczeństwo, nie będące już ani wyłącznie romańskim, ani też germańskim, a które po bolesnych przejściach, miało narzucić swe zwyczaje Europie i Francji. Wpływy te, przy całej swej różnorodności, działały z potęgą

instynktów, płynących z potrzeb materialnych i moralnych, szukających raz brutalnego użycia, to znów obrony i bezpieczeństwa. Wpływy te, to poszanowanie rodziny i kult chrześcijaństwa, zwłaszcza zaś obawa utraty udziału w państwie Bożem, które rozporządzało wiecznymi karami i nagrodami.

Chcąc te siły, działające na masy, ocenić należy, stosownie do ich wartości dla zabezpieczenia przeszłości i ukształtowania przyszłości, należy mniej, niż to się działo dotąd, zwracać uwagi na stronę zewnętrzną, na awantury polityczne, powtarzające się w ciągu kilku wieków, w frankońskiej Galji, na ruinach administracji rzymskiej, niezdolnej już do spełniania swych zadań organizacyjnych i obronnych, bez uciskania ludności. Dzieje tych barbarzyńskich królów i królowych, merowingich czy innych, pogrążonych w występkach, pożądlivosti i używaniu, ciekawe są zapewne i żywe, jakżeż jednak równocześnie smutne, krwawe i ostatecznie nużące. Tacy okrutnicy i tyrani jak Lotar II i Chilperyk, wraz z swymi małżonkami, Brunhildą i Fredegondą, niezdolni do zrozumienia i spełniania obowiązków państwowych, ochrony poddanych i rządu, a co za tem idzie, nieumiejący również znaleźć usłużnych sobie, inaczej jak przez łaski i hojność, rujnujące ich władzę i ich majątek! W tych brutalnych monarchjach, „łagodzonych zabójstwami”, które wszystkie doprowadziły do ruiny, należy zwracać raczej uwagę na powolne przekształcanie się społeczności gallo-rzymskiej, nie tyle pod wpływem Franków, ich podboju i ich zwyczajów, ile w wyniku panujących stosunków.

W tych niespokojnych czasach, ci, których cała własność składała się wyłącznie z ziemi, zmuszeni byli czuwać zbliska nad użytkowaniem, zwłaszcza zaś nad bezpieczeństwem swych posiadłości, co przyspieszało opuszczanie ośrodków miejskich. Arystokracja przywódców germańskich i gallo - rzymskich senatorów, spadkobierczyni arystokracji galijskiej, osiedlała się na swych domenach dla ich użytkowania i zabezpieczenia, po willach (*villae*), warownych i opatrzonych w strażnice. Wspomnienie ich dochowało się w nazwach tyłu miejscowości francuskich, zwykłych wiosek, kończących się na *Ville* lub *Viller*: Romainville, Tourgeville, Guebviller etc.

Arystokracja ta, brutalna, chciwa i wojownicza, skupiała dokoła siebie, dobrowolnie lub przemocą, całe zastępy niewolników, wieśniaków, małych właścicieli ziemskich, którzy przenosząc opiekę nad groźby, musieli, dla zachowania swego bytu, łączyć się z potężniejszymi, przez różne zobowiązania osobiste i rzeczowe. Cała ta drobna ludność, stanowiąca ogromną większość naszych przodków, rolnicy, ogrodnicy, uprawiacze winnic, oddawała się w dalszym ciągu, pod ochroną nowych stosunków, swemu odwiecznemu zadaniu, przywiązującemu ich do żywicielki ziemi, będącej ich dumą i bogactwem. Jeszcze chętniej łączyli się oni dla dokonania tego zadania, z kościołami i klasztorami, tworząc inne, coraz liczniejsze i coraz bardziej rozprzestrzeniające się skupienia, których ślad zachowują poprzez wieki obecne nazwy naszych osiedli, jak Moutiers, Vimoutiers i in. W ciasnem tem, zasklepieniem życia, w jakim zamykają się

w skupieniach osób lub ziem, panowie i wieśniacy, biskupi i mnisi, związani z ziemią, daleko było zresztą do dostatecznej ochrony pracy przed skutkami anarchji, przed kłótniami, buntami i rabunkami królów i wielmożów, którzy, nie oszczędzając dóbr kościelnych, zagarniali je i niszczyli oraz palili osady swych przeciwników. Takie zakopywanie się na wsi weszło jednak, wskutek długotrwałych niebezpieczeństw, w stały zwyczaj.

Ta sama sytuacja powtórzyła się istotnie, w gorszym niejednokrotnie stopniu, w chwili upadku dynastji Karolingów i za czasów pierwszych Kapetyngów. Upadek i rozkład władzy publicznej, zaprowadzonej w Galji przez Rzym a już nie istniejącej, wspomagały aż do XI w. tworzenie się klientel lokalnych, dla ochrony osób i mienia. Odosobnieni po swych kantonnach bardziej niż kiedykolwiek, narażeni raczej na zło niż na dobro ze strony monarchij kapryśnych lub słabych, poddani wszystkim stopni tej pracowitej i cierpiącej społeczności, poczęli stosować się do zwyczaju, pochodzącego z przeszłości germańskiej a podyktowanego względami na bezpieczeństwo lub interes: zadzierżgania stosunków osobistych człowieka z człowiekiem.

Z tego chaosu, wyłonił się z czasem pewien porządek dzięki związkowi feodalnemu, który stosunkom tym nadał formę wzajemnej i określonej umowy. Feodalizm kształtował się z dnia na dzień pośród anarchji państwowej. Stało się koniecznem nadać mu pewne przepisy i zasady: wzajemne śluby opieki i wierności, warunki posiadania, pomocy i świadczeń,

związały między sobą ludzi i ziemię, utworzyły wśród ugrupowań, powstałych w królestwie kosztem króla, zależnie od przypadków i okoliczności, uporządkowaną hierarchję, do której weszły osobniki wszelkich stopni, od króla aż do najmniejszego posiadacza, laicy i klerycy, a nawet całe związki: opactwa, gminy i cechy. Brak prawa stworzył w ten sposób nowe prawo a raczej pewien rodzaj prawa, nawet coś w rodzaju prawa publicznego, które można odnaleźć w pewnych naszych instytucjach, jak Stany generalne i prowincjonalne.

Żaden jednak porządek nie wyrodził się szybciej, jak powiedział Luchaire, z praworządności w nadużycia, które go potępiły i uczyniły zniechęconym w oczach Francuzów. Feodalizm drobny, dotyczący najbliższej ludu, nadawał się mniej do organizowania niż do burzenia, troszczył się mniej o opiekę jak o ucisk, mniej umiał rządzić jak wyzyskiwać, mniej pracować niż rabować. Nadużycia władzy pańskiej, łamanie umów lennych, rozpętywały nieokiełznane gwałty. Zakorzenione nawyczki rasy wojowniczej, instynktowna nienawiść do sąsiada, ścieranie się nieuzgodnionych interesów, wywoływały zacięte walki między lennikami, ustawiczne spory między krewnymi i spadkobiercami. W braku sprawiedliwości państwowej i porządku, nieznanego już Francuzom, wobec sprzeczności między prawem a złem nawyczkami, silniejszymi od prawa, stała się anarchja feodalna dla ludu francuskiego epoką niewoli, łupiestwa i nędzy, której długo nie będzie mógł zapomnieć.

Pomijając stronę zewnętrzną tej ciemnej epoki

szukajmy jednak tego, co z głębszych czy też wyższych pobudek utrzymywało jeszcze ludzi w rezygnacji lub w zespoleniu, w tych czasach chaosu i gwałtu: czynnikiem tym była uporczywa wola pozostania nadal w silnym związku z społecznością chrześcijańską, mimo zawodu doznanego ze strony przywódców duchownych, biskupów czy opatów, znikczemniałych przez feodálną zarazę, idea bronięcia tej społeczności, stanowiącej ochronę wiary i zabezpieczenie przyszłości w tem i w tamtem życiu, wreszcie chęć rozprzestrzenienia tej społeczności, dla zbawienia niewiernych i postępu wszelkiej cywilizacji, religijnej, moralnej a nawet intelektualnej. Mimo całej swej nędzy Wieki Średnie wzbily się na te wyżyny a Francja zachowała płynącą z tego dumę.

Obrona i postęp społeczności chrześcijańskiej Począwszy od VI w. widzimy bowiem u takiego barbarzyńcy, jak Chilperyk, zapal dla cywilizacji łacińskiej i troskę o dogmaty chrześcijańskie, które wykładał rzekomo swym biskupom, oraz o gramatykę, której reguły przypisywał szkołom; widzimy już za czasów ojca jego Lotara, królów frankońskich, dziedziców Kłodwika, torujących drogę do nawrócenia ludów germańskich na chrześcijaństwo. Uderza to jeszcze bardziej w następnym wieku, za panowania Dagoberta. Za ledwie przywrócił on energicznie jedność królestwa frankońskiego, gdy poprowadził już swe wojska do walki ze Słowianami, nawracał i osiedlał Awarów w Bawarii, rozpościerał granice imperjum chrześcijańskiego od Turyngji i Sasów, aż do Pireneji i Akwi-

tańczyków. W Konstantynopolu, Herakljusz podziwiał i zachęcał te poczynania, uważając Dagoberta za spadkobiercę Rzymu.

Przygotowywało się dzieło Karola Wielkiego. Ojciec jego i dziad, Pipin i Karol, ci książęta austrazyjscy, w których zachowała się cała siła i bogactwo rasy, pogromcy Saracenów pod Poitiers, opiekunowie św. Bonifacego, apostoła Germanji, dostarczali Frankom VIII w. sposobności do urzeczywistniania snów o chrześcijańskich podbojach. W obliczu powstrzymanego w swym pochodzie Islamu i barbarzyństwa, zwalczanego ich mieczem, jeden ze współczesnych kronikarzy nadaje im nowy i znamienity tytuł: *Europejczyków*. Zastanawiać się nad tem, ile krwi i ile ducha germańskiego zachowali w sobie ci władcy IX w., byłoby stratą czasu na anachroniczne dyskusje. Nie Austrazja to, lecz Europa cała przejawia się w tej misji cywilizacyjnej i religijnej, której poświęcają oni swe zasoby i swe ludy. Misja ta objawia się z jeszcze większym blaskiem w r. 800, kiedy Karol Wielki, przywraca na zachodzie, na życzenie papieża, Imperjum Cezarów, by nie pozostawiać pierwszeństwa Wschodowi, kiedy wynosi Akwizgran naprzeciw Bizancjum. Oto podwójna podstawa tej tęczy, której udało się rozprószyć mgły, wiszące nad starym kontynentem od czasu upadku Rzymu.

**Karol Wielki
a imperjum
frankońskie**

Karol Wielki jest w pierwszym rzędzie głową ludów chrześcijańskich, tego *populus christianus*, w skład którego wchodzi wierni wszystkich prowincyj państwa Bożego, od

Holandji aż po Dalmację, zjednoczeni posłuszeństwem dla swych biskupów, czcąc dla swych świętych i męczenników, związani z Rzymem, gdzie ukoronował Karola, następcę Grzegorza, również jak i on sam Wielkiego. W państwie tem, Kościół rzymski, przy pomocy swych irlandzkich szermierzy, ożywił wiarę i zreformował obyczaje. Karmiony literaturą łacińską, zwłaszcza zaś św. Augustynem, Karol W. „*defensor*”, — jak się sam mienił, — świętego Kościoła, i sprzymierzeniec jego we wszystkich sprawach, wspierał świat chrześcijański, w ciągu 46-letnich ustawicznych walk, potężnem swem ramieniem i heroizmem swych bohaterów. Wielką jest ta epoka, której przewodniczył, którą kształtował swemi zwycięstwami: na widowni dziejowej zjawia się Germanja, o cztery wieki później od Galji, Germanja, wyposażona niewątpliwie w walory świeżego posiewu, nowych czynników, społecznych ugrupowań, zbiorowej energii, zamięłowania w epopejach; zjawia się po to, by przyswoić sobie ze swej strony przeszłość umysłową i religijną, stworzoną przez ucywilizowaną ludzkość na wybrzeżach śródziemnomorskich. Odmienne od barbarzyńców IV w., wciskających się pojedynczemi, wałęsającemi się grupami w mury starego świata, rozluźniając je i przyspieszając ich ruinę, zjawia się Germanja tym razem na drodze ogólnego nawrócenia się, na swej własnej ziemi, gdzie ludność poczyną się ustalać, by służyć, ze swej strony, jako wał obronny i straż przednia przeciw niewiernym na wschodzie, od Magdeburga, aż po Solnogród. Frankowie i ich przywódcy, ta arystokracja ziemiańska,

w którą stopiły się, od trzech wieków, od Renu aż po Pireneje, elementy galijskie, rzymskie i germańskie, mogła poczytywać sobie za zaszczyt, że w ten sposób zkolonizowała i ucywilizowała Europę, w interesie własnej przyszłości.

K a r o l W. Istotnie, dzięki nim, Kościół ograniczony dotąd do prowincyj śródziemnomorskich, które pomagali Austrazyjczycy bronić przeciw niewiernym i piratom, objął w posiadanie cały kontynent, by nieść mu materialną i umysłową cywilizację. Kościół to karmił swą wiedzą synów Pipina, Karlomana i Karola, swego ukoronowanego rycerza, ucząc go tego wszystkiego, czego mógł go nauczyć, z literatury duchowej i świeckiej, historii, gramatyki i muzyki. Widzimy, jak za jego radą państwo opiekuje się, wraz z Alkuinem, szkołami, temi pierwszymi, skromnymi ogniskami wiedzy, które zapłonęły w Galji, i za zgodą papieży, pierwszym uniwersytetem w Paryżu. Surowy ten krzyżowiec, zwycięzca Arabów i Sasów, ukanonizowany w 1164 z polecenia Barbarossy, staje się odtąd świętym patronem nauk, wzywany przez długi czas, w szkołach francuskich.

Kiedy w pięć wieków później, Karol V, z pewnością bardziej wykształcony, kazał przetłumaczyć na nasz język „Civitas Dei”, tłumacz Raoul de Presles, sławi jego pamięć, za to, że „nie jest już królem bez wykształcenia, to znaczy ukoronowanym osłem, lecz, że naśladuje przykład Świętego Karola Jego Mości, dla którego wśród wszystkich ksiąg, które czytał, szczególnie umiłowany był Święty Augu-

styn Jego Mość". Nie było to najmniejszym tytułem do wdzięczności potomnych, zdobytym przez cesarza, że posłuchał rad Alkuina, proboszcza z Saint - Martin, zmierzających „do wywyższenia i zachowania św. Kościoła Bożego, pośród ludów”.

**Europa
chrześcijańska
wieku IX
i jej głowa**

Karol W. był istotnie świadomą i zdecydowaną głową ówczesnej społeczności chrześcijańskiej, odnowionej i powiększonej wysiłkiem papieży i jego własnym. Legenda uszlachetniła jego rysy, tego cesarza z dużą brodą, poważnego, dzielnego, wygłaszającego prawdy, pełne wypróbowanej mądrości, postać tradycyjną, pod jaką wyobrażano sobie chętnie monarchę-sędziego, przestrzegającego porządku w świecie chrześcijańskim, zapewniającego mu bezpieczeństwo i wiodącego go ku swym przeznaczeniom, na tym świecie i na tamtym. Sposób, w jaki cała ludność imperjum frankońskiego, osiadła tam od wieków lub świeżo przybyła, wyobrażała sobie swego cesarza i jaki przekazała potomności, odpowiadał ich potrzebom, i wyrażał najdoskonalej pojęcia o porządku ludzkim i boskim, nadającym się do zabezpieczenia ich majątku, życia i przyszłości na tym i na tamtym świecie. Królestwo czy cesarstwo, których tradycje mogły się dochować we wspomnieniach monarchij żydowskich, czy chrześcijańskich, Salomona czy Konstantyna, znajdują swe wcielenie i swój symbol we władzy i w postaci Karola Wielkiego, według wyobraźni IX wieku, wyobraźni ludu lub jego pasterzy, duchownych i mnichów, przekazanej przez obraz i legendę wiekom następnym.

Na soborze w Tours, w 812, nakłonił Kościół duchowieństwo do posługiwania się rzymskim językiem ludowym, by być lepiej rozumianym przez wierzące masy. Gdy zaś w 843, spadkobiercy Karola W. postanowili w Verdun podzielić ogromne jego państwo na trzy części, zawiadomili o tem swych bliskich, szlachtę i duchowieństwo, poraz pierwszy w owym języku ludowym, tak jakgdyby mieli już odtąd innego nie używać. Temu, co miało się stać narodem francuskim, brak było jednak jeszcze wówczas samopoczucia i własnego języka, choć wszystkie czynniki, mające stworzyć naród, istniały już w zarodku: ziemia, odrębna mowa i odrębne zwyczaje Francji zachodniej. Jeśli koła kościelne i naukowe skarżą się w w. IX na rozbicie się imperjum Karolingów, to ta piękna jedność chrześcijańska, łącząca w wierze obce, ujarzmione rasy, ta jedność przytłumiona miejscowymi zwyczajami, przetrwała jednak i nadal, przynajmniej w postaci swego twórcy, Karola, jako wielka tradycja Franków czy Francuzów, jedyny środek zabezpieczenia granic i rozszerzenia widnokregu dziejowych przeznaczeń.

Przeznaczenie to, nie obejmuje już tylko prymitywnej, elementarnej potrzeby stwierdzenia i utrzymania swego istnienia, lecz objawia się głuchym a potężnym instynktem ekspansji, w dziedzinie przedsiębiorczości i wiary. Spadek to zbyt ciężki może dla tych ludów Zachodu, ocalałych od barbarzyństwa, przejęty, bez dobrodziejstwa inwentarza, po Karolu W. i Kościele. Podobnie jak i inne marzenia, do których ludy te przywiązywały się później, wymagał i ten sen

o potędze chrześcijańskiej i o europejskiej cywilizacji, zasobów moralnych i materialnych, których ludom tym brakło. Legenda każe płakać staremu cesarzowi na widok bark, nadpływających z Północy, na których zapuszczali się coraz liczniej piraci normandzcy, by przerwać tamę wzniesioną przezeń przeciw barbarzyństwu. Następcy jego, od Karola Łysego aż do Karola Grubego, musieli zgórą przez wiek cały, kapietulować przed Normanami, godząc się na zło, któremu nie mogli zapobiec, podobnie jak i władcy rzymskiego państwa u jego schyłku. Po wyczerpaniu się potęgi Karolingów, rozpadło się państwo zachodniochrześcijańskie, podobnie jak i rzymskie imperjum, a zburzenie gmachu państwowego z r. 800, pociągnęło za sobą tyleż nędzy i krwi rozlewu, co i jego wzniesienie. Nad ruinami tego państwa unosi się jednak jeszcze zawsze, jako nadzieja i zastaw lepszej przyszłości, wspomnienie tej wielkiej społeczności, której czcigodną i chwalebną głową pozostał przez przeciąg wieków Średnich, Karol Wielki.

**Upadek
jedności fran-
końskiej**

Długie i ciemne są dzieje anarchji wieków IX do XI, aż do chwili, kiedy wreszcie zajaśniała jutrzienka dynastji książąt Francji, Kapetyngów. Zapisują one cały szereg wypadków, prawie zawsze analogicznych, odgrywających się na widowniach lokalnych, scenach najazdów i wiecznych sporów. Ścieranie się sprzecznych z sobą ambicyj, w których epigoni Karolingów wyczerpują swe ostatnie zasoby, krwawe walki między założycielami wielkich dynastji magnackich, Burgundji, Flan-

drji, Anjou, Bretanji i Akwitani, toczone między sobą i z ostatnimi przedstawicielami krwi Karola W., najazdy i spustoszenia Normanów albo też wojsk saraceńskich, kończące się osiedleniem się ich na wybrzeżu Normandji i Prowancji. Wypadki polityczne, zmiany tronów lub władzy, zebrane z zamiarem wyjaśnienia ich w kronikach tej epoki, niepewnej i chaotycznej, są tylko powłoką, bezkształtną często i surową, chrysalidą, nowo powstającego tworu. Społeczność, która się tu przysposabia, by wstąpić na widownię, po grozie roku tysięcznego, nabiera zwolna, w ciężkiej męce rodzenia, i przyswaja sobie rysy, które mają odróżniać ją w przyszłości, ten język swój, d'oc i d'oïl, żywy, równie literacki jak i łacina, naiwny jeszcze lecz pełen uroku, tak jak i samo imię, które społeczność ta sobie nada: „słodkiej Francji”.

Anarchja we Francji X w. Na tej ziemi, pustoszonej najazdami i wojnami wielmożów, burzami i głodem, dookoła miast, u stóp obronnych zamków, których ruiny sterczą po dziś dzień, jak np. w Baugency, na tem całym terytorjum francuskim, od morza po Alpy i od Renu po Pireneje, powstaje naród, który już nie jest ani frankońskim, ani też łacińskim, lecz francuskim. Naród ten był pozornie jak najmniej przygotowanym do stania się narodem, brak mu też było jeszcze odpowiedniego samopoczucia, a jednak zdobył już potrzebne do tego środki. Związany z dziedziczną ziemią, by żyć na niej, zwłaszcza zaś, by ciągnąć z niej korzyści, któreby mu pozwoliły wyswobodzić się zwolna z niewoli i uprawiać swobodnie swą rolę,

zachęcony do pracy przykładem i nauką klasztorów, tej wielkiej potęgi społecznej i gospodarczej owych czasów, naród ten prowadził cierpliwie w dalszym ciągu dzieło użytkowania kraju, uprzywilejowanego przez naturę, który, żyznością i różnorodnością swych produktów, wynagradzał z każdym dniem, coraz to lepiej poniesione trudy. Gdy po burzach politycznych powracał spokój, szło dalej dzieło użytkowania ziemi; nowe uprawy i plantacje sadów wypierały lasy. Często brak było rąk roboczych, wobec wyłomów, poczynionych w szeregach pracowników rolnych przez do-pusty wszelkiego rodzaju, głód, wojny i epidemie. Lukę tę przychodził wypełniać nowy przybysz, często w sposób brutalny, podobnie, jak i w dzisiejszych krajach nowych. Pewnego dnia stwarzał on jednak, wraz z Rollon'em i jego towarzyszami, taką np. Normandję. Ileż to naszych wsi i miasteczek, osad wiejskich i miejskich przedmieść pochodzi z tej politycznie ciemnej epoki! Powstawały one blisko wody, potrzebnej ludzkim ośrodkom, na ochronnych pagórkach, lub też po ustronnych dolinach Alp i Auvernji, których dostępu broniły obronne zamki: takie *Neuves Villes* lub też *Villes neuves*, których pełna nazwa: *Villeneuve - le - Roi* lub — *l'Archevêque* dowodzi dawnego pochodzenia. Zapewnieniem bezpieczeństwa i zwolnieniem od ciężarów ściągali panowie świeccy i duchowni do ośrodków, powstałych na ich ziemiach, wieśniaków, niewolników i robotników, celem zaludnienia tych ziem lub też związania z sobą rzesz roboczych. Historia ziem francuskich jest zarazem historją, nie napisaną dotąd, lecz do dziś widoczną,

ducha naszych rolniczych przodków, ochoczego, uległego i przewidującego.

Baroni i rolnicy Biedny ten lud, zapracowany, pokładający zaufanie w swej ziemi, w swym Kościele, panującym niepodzielnie nad ich sercem i umysłem, współpracował tylko, i to często nieświadomie, w wysiłkach duchowieństwa, dokonywanych w tej epoce anarchji, dla uporządkowania pokoju i stworzenia jedności w państwie chrześcijańskim. Główne zadanie tego ludu polegało jednak na dostarczaniu zasobów przezeń na ten cel oddawanych. Wolno było poecie łacińskiemu Wilfridowi Strabo'nowi, przemawiającemu obcym temu ludowi językiem, śpiewać jeszcze w IX wieku: *Gallia Romanae soror urbis atque consors*, „Galja, spadkobierczyni i współniczka miasta Rzymu”. Rzeczą cesarzy germańskich było prowadzić dalej i reprezentować dzieło i imię Rzymu, — zadanie, które wyczerpie ich samych i ich poddanych. Obojętnem było ono w zupełności tym rolnikom, skupionym w sobie samych i osiadłym na tych ziemiach zachodnich, gdzie wiedli swe życie. Skarby cierpliwości i pracy, które gromadzili, najczęściej z korzyścią dla swych panów i dla duchowieństwa, stwarzały jednak, na wzór owego bogatego gospodarza z La Fontaine'a, wspólny majątek, którego Francji odtąd nie zabraknie: ową *terra major*, tę ziemię, którą przekażą potomności, wraz z nauką, wyrżytą na niej wysiłkiem podejmowanym od najdawniejszej przeszłości, ziemię równie drogą ich spadkobiercom, jak i im samym, od chwili, kiedy powołując się na

Kłodwika, Dagoberta i Karola Wielkiego, ochrzczili ją, w wieku XI, nowem mianem.

By zrozumieć lepiej tę daleką przeszłość, pełną przykładów wytrwałej energii, opierającej się najcięższym katastrofom, wystarczy spojrzeć na przeszłość całkiem jeszcze świeżą, na dziedzictwo wiekowych tradycji, wykazane przez nasz naród po katastrofalnem zniszczeniu całych połaci kraju. Ten powrót w 1918, nagły i niemal gorączkowy, powrót do pracy rolnej w kraju, przeorany pociskami, zasianym grobami, to budzenie się miast, zniszczonych przez wroga, odradzających się pośpiesznie i odbudowujących! Ileż to razy powtórzył się w ciągu wieków ten cud pracy i przywiązania do ziemi, który zdumiał Europę całą jeszcze w XX wieku!

O dziesięć wieków wcześniej cud ten zdarzał się niemal codziennie. Społeczność polityczna epoki feudalnej nie była stworzona dla tego ludu niewolników i dzierżawców, „ludzi wolnych lub pół-wolnych”, lecz istniała raczej wbrew ich interesom. Wszystko należało do szlachty, do rycerstwa, którego obyczaje, poza próbą, podjętą przez Kościół, dostosowania ich do ideału chrześcijańskiego, obejmowały tylko polowania, jako szkołę wojenną, oraz bitwy, gry, wino i brutalne używanie. Baronowie ci, gardzący wszystkim, co nie było szlachtą i nie oddawało się rzemiosłu wojennemu, posuwali przesady kastowe i pogardę dla „człowieka prostego” (*vilain*), do niemożliwych granic, przekazując ją w ciągu wieków swym następcom. Lud pracujący w trudzie i mozołe żyje na ich posiadłościach (*villae villani*) po to tylko, by dostarczać

im „złota, pożywienia i sukien”, to samo i dla dygnitarzy Kościoła, wrażliwszych często na przykład swych świeckich sąsiadów, niż na nauki chrześcijaństwa. Nieraz wybryki i krzywdy, zbyt wielka nędza, popychały lud ten do buntów i wojen chłopskich. Pała wtedy, mordują i rabują, chyba, że dla uniknięcia roli rebellantów lub ofiar, uzyskują, samą groźbą, pewne złagodzenie zła, podobnie jak i mieszczenie w miastach, pozbawionych przywilejów. Lud ten potrafi jednak także, w razie potrzeby, zdobyć się na rezygnację, pogodzić się z tem, że nie jest niczem w społeczności ziemskiej, wierząc, że za to znajdzie się z pewnością kiedyś w królestwie Bożem, na temsamem, a nawet i wyższem może miejscu, od tych brutalnych baronów i biskupów, dumnych z swej władzy i swych bogactw.

Krucjata francuska w w. XI Lud ten czeka i ufa. Pracuje dalej i snuje swe marzenia, te przedewszystkiem, które z końcem XI w. oderwą go od gleby, by wciągnąć w wyprawy krzyżowe, z którymi nic w dziejach nie da się porównać. Idea to w pierwszym rzędzie francuska, idea narodu bohaterskiego, której ślad pozostanie nazawsze w jego duszy zbiorowej, idea, zrodzona z chrześcijańskiego zapału i bezinteresowności: „*Gesta Dei per Francos*”, „Dzieła Boże dokonane ramieniem Franków”. *Frank* nie oznacza tu już więcej, jak stwierdził Luchaire, obywatela Zachodu, łatyńska, lecz Francuza. Ideę tę stworzył francuski papież Urban II, głosił ją i wprowadził w życie w Clermont, na francuskiej ziemi. Przeor wielkiego zakonu Benedyktynów, który wraz z św. Bernardem

poddał się sam reformie, by zreformować Kościół i oswobodzić go od wszelkiego związku z feodalem barbarzyństwem, następca Grzegorza VII i podobnie jak ten papież, zdecydowany uzależnić swą reformę od zwierzchnictwa Stolicy Św. nad królami i baronami, ogłosił Urban II swój śmiały projekt wojny powszechnej ludów Zachodu przeciw wrogom wiary, dla odebrania im Chrystusowego grobu. Zamierzeniami wielkiego Benedykta mogły bez wątpienia kierować pobudki polityczne: konieczność zapobieżenia niebezpieczeństwu muzułmańskiemu, zagrażającemu chrześcijańskim wybrzeżom morza Śródziemnego, Sycylii, Hiszpanji, Prowancji, a po usunięciu tego niebezpieczeństwa, korzyści płynące ze zjednoczenia wszystkich żywotnych sił Zachodu dookoła papieskiego Rzymu, jako prawdziwego spadkobiercy Rzymu Cezarów; może też i ukryty zamiar skierowania nieokiełzanych temperamentów feodalnych baronów ku zbożnemu dziełu, zapoczątkowanemu już przez pielgrzymki do Ziemi Świętej. Entuzjazm, jaki wzbudziło wezwanie papieża, przekroczył jednak znacznie jego własne oczekiwania. Pod znakiem krzyża stanęli nie tylko wielcy panowie, jak Godfryd z Bouillon'u, Robert z Flandrji, Bohémond i Tankred, Etienne de Blois i Rajmund de Saint - Gilles, król Południa, lecz także i francuscy magnaci z północy i południa, świadomi dobrze tego, jak bardzo potrzebują przebaczenia i spodziewający się podwójnej korzyści, uporządkowania swego stosunku do Boga oraz zniweczenia groźby Islamu, przy równoczesnym podziale jego łupów. Szał krucjat przybrał rozmiały, których nie przewidy-

wała polityka. Ruszyły ludy całe, wieśniacy, robotnicy i mieszczenie, przejęci zapałem do wolności i litością dla cierpień, znoszonych przez pielgrzymów do Ziemi Świętej. Nowy św. Marcin kazał im brać krzyż na swe barki, kazał im szukać nawrócenia: mnich francuski z Amiens, Piotr Eremita. Wychudły asceta, o ogorzałej twarzy i długiej brodzie, przebiegał on w czasie srogiej zimy kraj cały, Berri, Auvernję i Lotaryngję, boso, w jednej tylko burce, darząc biednych skarbami swego miłosierdzia, zagrzewając masy, do których nie dotarły słowa papieża, swą wymową, prostą a porywającą. Ludowi, tłoczącemu się, by go usłyszeć, opowiadał on o cierpieniach pielgrzymów, znoszonych od niewiernych w Jeruzalem, zachęcał do pobożnych przygód, wzywał do ofiar, których sam był żywym przykładem i natchnionym apostołem: „W każdym jego ruchu, w każdym słowie, wyczuwało się coś boskiego”.

Francuzi W ślad za nim i pod przewodnictwem
na Wschodzie towarzysza jego, Gautier Sans Avoir, w ślad za mnichem i za rycerzem, wyruszyły pieszo ludy Zachodu, poprzez Europę środkową, tą samą drogą, którą przebyli w przeciwnym kierunku ich przodkowie ras rozmaitych, by od Wschodu przyjść na Zachód po ewangelję; szli obojętni na głód i znużenie, popychani i popychając innych, znacząc swą drogę trupami i przerażeniem. Była to jakgdyby ogromna fala ludzka, która podniosła się we Francji z głębin świadomości ludowej, z pobudki władcy dusz chrześcijańskich, pod wpływem gorącego zapału dusz,

obudzonego na zew Ziemi Świętej. Czyż fala ta była-by jednak uderzyła w ten sposób o Azję, skąd naród francuski, wraz z wiarą w Chrystusa, po kulturze greckiej i organizacji rzymskiej, otrzymał całą swą cywilizację, gdyby cywilizacja ta nie była ukształtowała jego wierzeń i nie przygotowała go do spełnienia zadań, na które czekał jego duch bohaterski! Bez państwa Bożego, czyż byłaby powstała francuska Boża epopeja?

Wieśniacy i żebracy wyprzedzali panów, którzy potrzebowali trochę czasu na zorganizowanie, uporządkowanie, uzbrojenie i zaopatrzenie czterech armij, zebranych z końcem r. 1096 pod murami Konstantynopola. Jedne przybyły lądem, inne na okrętach Genui i Wenecji, gdzie armatorzy umieli ocenić odpowiednio niespodziewane zyski. Zarówno przywódcy, jak i wojownicy, władcy i rycerze, gotowi byli z pewnością służyć sprawie Bożej, zgodnie z swą przysięgą; wielu też z nich przypieczętowało tę przysięgę życiem. Wielu z szlachty przyniosło jednak z sobą na tę świętą wyprawę, obok zapału religijnego i swych zalet wojennych, także i złe nawyczki sporów, gwałtów, awanturniczości, chciwości i brutalnego używania. Zasobniejsi jednak i odporniejsi od biednego ludu, dopięli swego celu, tam gdzie lud ten zawiódł. Oswobodzili Jerozolimę i założyli tam długotrwałe łacińskie królestwo. Ślady tego państwa odnalazła Francja w Syrii. Przez całe wieki była ona zeń dumna, jako z łaski bożej, na którą zasłużyła dzielnością i wiarą swych rycerzy.

Czyż dzieje świata znają coś, coby określało le-

piej daną epokę, cały lud gorący i chwalebny, niż ten nagły pochód setek tysięcy ludzi z Zachodu na Wschód, to zdarzenie tak bardzo pouczające o przeszłości i dalszym rozwoju narodu, którego energja i życie uczuciowe objawiły się wówczas w rysach, wywołujących podziw i zazdrość Europy? Odwaga i odporność całego narodu, panów i maluczkich, duchownych i świeckich, zapal do szlachetnych ideałów, dążący do ich urzeczywistnienia kosztem wszelkich ofiar, gotowość poświęcania się wielkim ideom, a zarazem i zgodność w zapale i ideałach u wszystkich mieszkańców Francji, na zachodzie, we Flandrji, i na południu, wreszcie genjalna, instynktowna czy prze-myślana, umiejętność dostosowywania się do trudnych warunków i nowych środowisk, która objawiła się w Palestynie, w Portugalji, na Sycylji, we wszystkich dziedzinach ekspansji frankońskiej i często jeszcze zaznaczała się gdzieindziej, owocnem połączeniem entuzjazmu, umiejętności życiowej i polityki.

E p o p e j a Jeśli feodalne rozdrobnienie, anarchja
francuska wielmożów, podział kraju na ksiąstewka, potężniejsze od państwa pierwszych Kapetyngów, nie przeszkodziły temu ujawnieniu się zbiorowej woli Francuzów, stało się to dlatego, że wezwanie do krucjaty obudziło na ziemi francuskiej cały świat tradycyj i wspomnień, zwłaszcza zaś wspomnienia czasów, kiedy kraj ten, połączony z imperjum frankońskim, znał monarchję potężną i pełną władzy, zdolną do ochrony świata chrześcijańskiego, kierowania nim i narzucania niewiernym praw chrześcijańskich i porządku, wreszcie tradycje zwyczajów i odczuć, które

odpowiedziawszy wymogom jedności i ekspansji, przekazanych przez Galję i Rzym, utrwaliły się na długo w duszy Francuzów. Czasy Karola Wielkiego wydawały im się wówczas, a i później jeszcze, rodzajem złotego wieku, do którego powracali wspomnieniem, by oswobodzić się i pocieszyć wśród nędzy chwili obecnej. Epopeja pieśni o Rolandzie, poezja Paladynów, stanowiące rodzaj wytchnienia i bohater-skiego odwzajemnienia się za okrutną swawolę baronów, pocieszały dusze te w nieszczęściu. Choć utwory te nie wyszły z natchnienia i dążności ludu, choć stworzono je i śpiewano początkowo na cześć bohaterów i ku ich rozrywce, rozpowszechniły się one jednak szybko, głoszone ludowi w jego języku, powtarzane, przez żonglerów, po szlakach świętych pielgrzymek. Pieśni te koilił nędze i nadzieje ludu, w tem prostym a tak przejmującym wezwaniu umierającego chrześcijańskiego bohatera do swego cesarza i swego Boga, do których i lud ten pragnął zwracać się w swej nędzy. Jeśli ten pierwszy znany utwór, będący zarazem jednym z najpiękniejszych utworów francuskiego genjusza, nie był jeszcze epopeją narodową, i nie stanowił szkoły patryjotyzmu w ścisłym tego słowa znaczeniu, jeśli słowa Rolanda i Olivier'a skierowane do słodkiej Francji, bohaterskiej i chwalebnej, trudno rozumieć w nowoczesnym pojęciu francuskiego patryjotyzmu, to wątpliwości te są zrozumiałe przed epoką Dziewicy Orleańskiej. Nie mniej przeto poemat ten pochodzi z czasów, kiedy Francja uświadomiła już sobie, w swych wierzeniach, w swem myśleniu i sztuce, własne tradycje i przeznaczenie.

Sztuka i wiara. Ziemia, broniona przed najazdami, po-
Kościoły ro- krywała się, według świadectwa Raoul
mańskie

Glaber'a, na wezwanie mnichów i księ-
ży, większymi i mniejszymi kościołami, skromnymi
kościółkami wiejskimi czy też wspaniałymi pomnika-
mi architektury, wznoszonymi na uświęconych pa-
górkach, dokąd napływały pielgrzymki, jak np. do
Vézelay, tego francuskiego Partenonu. Przed upływem
w. XI sztuka romańska wydała w Prowancji, w Akwi-
tanji, w dolinie Rodanu, w Auwernji i w Normandji
całe mnóstwo gmachów, imponujących swymi roz-
miarami, a stanowiących arcydzieła, godne Najwyż-
szego, przechowywanego na ich ołtarzach, i będące za-
razem prawdziwą biblją biednych, nie znających
Pisma św., wymownym komentarzem i symbolem ich
wiary. Cała ludność francuska mogła szukać tu sku-
pienia, wspólne odprawiać modły, uczyć się zasad
swej wiary, wychowywać na budujących przykładach
męczenników i świętych, poznawać hierarchję cnót
i bogatą rozmaitość sztuk i nauk. Pomniki te, ich pro-
porcje, ich szczegóły, pozwalają nam uprzytomnić so-
bie sposób życia, myślenia i odczuwania tych ludzi,
z których powstały nasze dusze i ciała.

Te świątynie chrześcijańskie stały się niejako
pośrednikami między naszymi przodkami a nami sa-
mymi, dla nich były one obietnicą przyszłości, dla nas
są wyjaśnieniem przeszłości.

Sztuka ostro- Potęga Kościoła, którego wezwanie i po-
lukowa w Ile- lityka wiodły przodków naszych na wy-
de-France i ka- lity
tedry prawy krzyżowe, który natchnął i powo-
łał do życia ich sztukę i poezję, wzrosła przy pomocy

królewskiej, w ciągu w. XII. Królestwem rządził Suger, proboszcz z St. Denis. W Ile-de-France, tej kolebce sztuki ostrołukowej, strzeliły ku niebu katedry gotyckie, jeszcze wyższe i piękniejsze, poczęte w rwących się ku ideałom duszach artystów, księży i mnichów, w tej podniebnej krucjacie ducha i głazu: St. Denis z swą bazyliką, tak drogą sercu Suger'a, Notre - Dame w Paryżu, wzniesiona na cześć Marji przez biskupa Maurice de Sulli i Jehan'a de Chelles, Laon na cześć lekarzy, Chartres, poświęcone przez Jana de Beauce naukom i wierzeniom, uczonym i ludowym, Amiens, Beauvais i Senlis! Rzeźbiarze francuscy przyozdobili rozrzutnie te wspaniałe kreacje architektoniczne, klejnotami sztuki, powstałej o własnych siłach, czerpiącej natchnienie z przyrody, środowiska, tradycji i legendy, realistycznej i uduchowionej, sztuki wytwornej i nabożnej zarazem. Oto prawdziwa symfonia sztuki i wiary, jakiej nie widziano od czasów Hellady: kościoły wiejskie i podmiejskie, zdobne bogato niby relikwjarze lub wyrzeźbione naiwną dłonią nieznanych mistrzów, katedry, których twórcy, często zapomniani, posiedli za całą nagrodę przywiązanie długich generacyj do nauki, wyrtej przez nich w kamieniu lub wyczarowanej na witrażach, pomniki stylu, w którym genjusz francuski osiągnął dłonią francuską tęsamą doskonałość, co w pieśniach bohaterskich, religijnych i miłosnych głosem swych truwerów i trubadurów.

Blask tego genjuszu zajaśniał po całej Europie, od Hiszpanji aż do Renu, od Renu aż po kresy Niemiec, a od Niemiec na wschód, północ i południe aż

po rubieżę azjatyckie. Frankowie czy też Francuzi mogli wystawić sobie świadectwo, że rozprószyli ciemności barbarji, stworzyli, pod kierunkiem Kościoła, cywilizację europejską, podobnie jak i Grecy, rozszerzyli z korzyścią dla ludzkości granice świata śródziemnomorskiego, który w wiekach poprzednich był ogniskiem myśli i sztuki. W cieniu swych katedr, wyrażających ich ideały w sposób majestatyczny, na wieki ustalony, stanowiących źródło natchnienia dla współczesnych, uświadomili oni sobie i przyjęli posłannictwo, udzielone im przez dzieje w dziedzinie przeznaczeń starego kontynentu.

**Kult
królewskości
w Reims**

Ośrodkiem tego posłannictwa, dzierżonego przez pierwszego króla, Kłodwika, stało się Reims, z swą katedrą narodową o dwóch tysiącach posągów. Tej uprzywilejowanej roli, zawdzięczać ona będzie może w dalekiej przyszłości, ciosy wroga, który najazdem, przypominającym odwieczne groźby nadciągające z nad Renu, usiłował pozbawić Francję moralnej podpory swej przeszłości, wraz z „uśmiechem jej aniołów”. Czyż nie była ona bazyliką francuskiego powołania historycznego, odbudowaną w w. XIII przez Jana d’Orbais, obok starego kościoła św. Remigjusza, który nawrócił wodza Franków, na chwałę Najśw. Panny Opiekunki? Fronton portalu głównego przedstawiał wiernym, w tympanonie, Koronację N. Panny. Na najwyższej szczyście króluje Kłodwik, w otoczeniu świętych, sprawców i świadków jego ochrzczenia. Imponujący zastęp królów zebrany był u podstawy wieżyc, rozwijał się

pod pinaklami, zakończającymi podpory nawy poprzecznej, błyszczał na witrażach.

Duszą tego przybytku była bezwątpienia idea królewskości, przedstawiona tu dla poddanego jej ludu, dla którego wzniesiono tę nawę, o wiele większą od jakiegokolwiek z istniejących. Kiedy arcybiskupi Adalbéron i Gervais, wyświęcali w tej bazylice tych pierwszych, słabych jeszcze, królów, spadkobierców Hugona Kapeta, dochodzących z mieczem w dłoni, swych praw do święceń i przodownictwa w Galji, święcenia przekazane przez papieży stolicy w Reims, równały się inwestyturze rzymskiej, w oczach ludu, wyczekującego niecierpliwie króla, zdolnego do obrony Kościoła, mieszczan i biedaków. W swym poemacie łacińskim wyraził się Adalbéron wobec Roberta Pobożnego, że królowie bardzo chrześcijańscy „są pierwszymi wśród królów, wobec tego, że królestwo Francuzów podbiło innych królów, za czasów naszych ojców”. *Za czasów naszych ojców*: budzi to w Reims wielkie wspomnienia Kłodwika i Karola W., zwycięzców w imię wiary nad Alemanami i Sasami. Cóż znaczyć mógł tytuł, król, czy cesarz, jeśli tylko królowie ci okazywali się godnymi takich wspomnień?

Z wyboru panów feodalnych, których jest zwierzchnikiem, przedewszystkiem zaś Adalbéron'a, arcybiskupa w Reims, wkrótce zaś w obecności papieskich legatów i za zgodą panującego króla, poświęcił Kościół Kapetynga, wraz z jego rodem, Bogu i ludowi. W dalmatyce kapłańskiej namaszcza go On świętym chryzmatem, przeznacza go do cudownych uzdrowień. Król obrany i wyświęcony, zasiada przed ołtarzem,

w wieńcu z złotych lilij, symbolem Francji, na skroniach, zasiada na tronie, jako prawodawca, z mieczem w dłoni, mieczem sprawiedliwości do karcenia gwałtowników. Kapłan - król, jest on równocześnie i najwyższym urzędnikiem, władnym, podobnie jak i cesarz, darzyć pokojem ziemię francuską, upelmocnionym przez Kościół do gotowania w świetle triumfu cywilizacji, w którą cały jego naród, księża, biskupi i panowie, rycerze i pielgrzymi, artyści i poeci, robotnicy, mieszczenie i wieśniacy, przelali z pełną świadomością, na wieki całe, swój religijny, artystyczny i rycerski zapach. Jeden z pisarzy początku w. XIV, autor *Contrefais de Renard**), który w swym temperamentie nie oszczędzał bynajmniej współczesnych, — był on, coprawda, synem Szampanji, — sławił w ten sposób tę wyższość, którą wszyscy wówczas odczuwali:

*Lombardye, Rome avalée
Et France est ore en haut montée
Et de renommée et d'honneur.
France si tant est désirée,
De tous lieux, de toutes contrées
Tous y viennet, tous y habitent.
Eux venus, tous leur pays quittent.
Jamais retourner ne voudront
Par Dieu acquiert France tel grâce
En lui croyant, et il les aime **).*

*) „Podrobionego Lisa”, będącego naśladowaniem słynnego *Roman de Renard* z w. XII. (Przyp. tłóm.).

**) „Po upadku Lombardji i Rzymu, Francja wzrasta

Obudzenie się Francja, która może w Reims zapomnieć
narodu sama i innym kazać zapomnieć o Rzymie, ma w w. XIII już wszelkie prawo do tej nazwy: jest już gotową stać się narodem, przedewszystkiem dzięki swemu językowi, swemu „mówieniu”, jak powiedział Brunetto Latini, „najmilszemu wszystkim ludziom i najbardziej wspólnemu”, dzięki swym obyczajom, literaturze i sztuce. Naród, to ciało i duch; jestestwo zbiorowe i świadome, które odłączyło się od chaotycznego zbiorowiska prymitywnych ras, by samemu stanowić o swem przeznaczeniu, podobnie, jak i sama ludzkość, oderwała się od otaczających je stworzeń, przy pomocy zasobów materialnych, intelektualnych i moralnych, gromadzonych i wzbogacanych przez czas długi genjuszem i znojem całych generacyj. „Wspólne dokonanie wielkich czynów, i wspólnie przy tem doznane cierpienia, pragnienie dokonania dalszych, wspólne dziedzictwo cennych wspomnień, wrytych w ziemi, w umysłach i sercach, niezłomna wola utrzymania, obrony i powiększania tego spadku, oto zasady duchowe, po których”, jak się wyraził Renan, „poznać można naród”. Takimi były, od XII do XIII w., uczucia i myśli, skupiające Francuzów w ich krucjatach, katedrach, pieśniach i szkołach, na wezwanie Kościoła i dokoła idei monarchicznej. Po tych zasa-

dziś w sławę i zaszczyty. Pociąga ona wszystkich, ściągają do niej ze wszystkich stron i krajów, by tu zamieszkać, opuszczając swe własne i nie chcąc nigdy do nich powrócić. Tyle łaski zyskuje Francja dzięki swej wierze w Boga, który ją ukochał”. (Przyp. tłóm.).

dach, można poznać w nich duszę zbiorową, silną i świadomą swych tradycji, rozkazującą ciału, jeszcze nieukształtowanemu i cierpiącemu na wiele chorób, ciału, które dusza ta ożywia, gotowa już sama do spełnienia przeznaczeń narodu.

III.

RODZIMOŚĆ KAPETYNGÓW I NARÓD FRANCUSKI

Dynastia i państwo Kapetyngów w wieku XII. — Ludwik VI. Ludwik VII i Suger. — Filia augustej, jednoczącej wien francuskiej. — Organizacja państwa i administracja królewska. — Świętość i sprawiedliwość domu królewskiego. Święty Ludwik. — Franciszek Filipa Pięknego. — Wojna stoletnia, długi męczeństwo Francji. — Paryskie rewolucje. — Mięsożerstwo i rytualstwo wieku XIV. — Karol V, odpowiedź państwa Kapetyngów. — Zarysy nowej monarchii: mądrość i polityka. — Degeneracja. — Podbój angielski i zagrożenie Francji. — Joanna, dobra córka Lotaryngów. — Korkwii monarchii i narodu. — Po wojnie stoletniej. — Państwo i naród w wieku XV. — Sny o potęgę Kapetyngów. — Wojny w Burgundji, w Italji i w Niemczech. — Niebezpieczeństwo hiszpańskie w w. XVI. — Spory religijne i domowe.

Ich habe die Ehre, Ihnen
zu schreiben, da ich
nicht anders zu kommen
vermochte. Ich habe
nicht die Ehre, Sie
zu kennen, aber ich
hoffe, Sie werden
mich verstehen.

III.

KRÓLESTWO KAPETYNGÓW I NARÓD FRANCUSKI.

Dynastja i państwo Kapetyngów w wieku XII. — Ludwik VI, Ludwik VII i Suger. — Filip August, zjednoczyciel ziem francuskich. — Dziedziczość tronu i administracja królewska. — Świętość i sprawiedliwość domu królewskiego: święty Ludwik. — Francja Filipa Pięknego. — Wojna stuletnia, ciężkie przejścia Francji. — Paryskie rewolty. — Mieszkaństwo i rycerstwo wieku XIV. — Karol V, odnowiciel państwa Kapetyngów. — Zarysy nowej monarchji: mądrość i polityka. — Duguesclin. — Podbój angielski i zagrożenie Francji. — Joanna, dobra córka Lotaryngji. — Rozkwit monarchji i narodu. — Po wojnie stuletniej. — Państwo i naród w wieku XV. — Sny o potędze Kapetyngów. — Wojny w Burgundji, w Italji i w Niemczech. — Niebezpieczeństwo hiszpańskie w w. XVI. — Spory religijne i domowe.

III.

KRÓLESTWO KAPETYNGÓW I KARÓL FRANCUSKI

Dynastia i państwo Kapetyngów w wieku XII. —
 Ludwik VI, Ludwik VII i Suger. — Filip August.
 Zjednoczył ziem francuskich. — Działalność
 tronu i administracja królewska. — Światek i ap-
 wiedzność domu królewskiego: święty Ludwik. —
 Franciszek Filipa Pięknego. — Wojna stulecia, ciężkie
 przebiegi Francji. — Latające rewolwy. — Mi-
 seriaństwo i tyranizm wieku XIV. — Karol V.
 odnowienie państwa Kapetyngów. — Latające rewolwy.
 monachii: nagroda i polityka. — Duguesclin. —
 Północ Anglii i zagrożeń Francji. — Joanna,
 dobra córka Katalonii. — Rokwist monachii i na-
 robu. — Po wojnie stulecia. — Państwo i naród
 w wieku XV. — Szy o potęgę Kapetyngów. —
 Wojny w Burgundji, w Italji i w Niemczech. —
 Niebezpieczeństwo hiszpańskie w w. XVI. — Spory
 religijne i domowe.

Dynastia
i państwo
Kapetyngów
w w. XII.

W w. XII, na Ile-de-France, żyznej i zielonej, u granic wielkich prowincyj, Szampanji, Burgundji i Normandji, u spływu wód Sekwany, Marny i Oizy, uprzytomnił sobie zatem lud francuski potęgę czynników, które miały mu przynieść cywilizację i zjednoczenie w wierze w Kościół i w monarchję, miały przekazać tę wiarę z pokolenia na pokolenie. Współ z swymi królami z dynastji Kapetyngów, wznosił więc lud ten cierpliwie swe strzeliste katedry, w stylu, który swą wyższością, zrodzoną z jego genjuszu, zwyciężyć miał czas i pogardę; współ z swymi królami utwierdzał on również niewzruszalne podstawy polityczne i terytorjalne państwa, które zapuszczały już coraz głębsze korzenie w narodowej ziemi. Zaszczytem mu to było i obowiązkiem, własnym i jego przywódców, otrzymywanych z rąk Kościoła:

Rois qui de France porte couronnes d'or

Preudons doit être et vaillant de son cors.

S'il ne fait ainsi, la France perd son los (honneur)

*E dit l'histoire, coronez est à tort *).*

*) „Król, dzierżący złotą koronę Francji, roztroptym powinien być i dzielnym. Inaczej wstyd przyniesie Francji a historia powie, że koronacja jego była błędem”. (Przyp. tłum.).

Truwer, który w epoce Pieśni o Rolandzie, śpiewał te rymy w swem *Couronnement de Loïs*, wyraził tu, powołując się na sąd dziejów, powody zaufania, pokładanego przez lud francuski w dynastji Kapetyngów, w której widział on spadkobiercę potęgi i chwały Karola Wielkiego.

Nadzieje narodowe spełniło Bouvines, dn. 27 lipca 1214; wielkie zwycięstwo, którem wnuk Hugona Kape-ta, narażając własną osobę, bardziej niż ktokolwiek inny, odniósł przy pomocy duchownych i rycerzy, oraz przy poparciu gmin miejskich, triumf nad cesarzem niemieckim i groźną dla swego królestwa koalicją trzech najpotężniejszych państw feudalnych, Anglii, Flandrji i Burgundji. Wzdłuż całej drogi powrotnej zwycięzcy, z Lille do Paryża, składała hołd swemu królowi, wśród hymnów radosnych i bicia dzwonów, cała ludność Francji, oswobodzona od najazdu, klęsk i podziałów, wieśniacy, mieszczenie i studenci.

W dziejach naszego narodu mamy dwie daty analogiczne, — trzecią stanowi może Marna, — Bouvines i Valmy, o sześć wieków od siebie odległe, równie doniosłe w swych skutkach, zwłaszcza zaś to ostatnie. Jedna z nich uświęciła monarchję Kapetyngów, druga Republikę. Oto dwie formy rządów, którym naród powierzał kolejno swe losy, obie odpowiadające równie dobrze charakterowi odnośnych epok, tamtej, w której naród francuski utwierdził swe istnienie pod berłem Kapetyngów i tej, kiedy to, odrzucając swych opiekunów, postanowił zaopiekować się sam swem dobrem i swym losem.

Zadaniem, którego podjęło się skutecznie, po-

cząwszy od w. XII, królestwo Kapetyngów, a przy którym zawiodły dynastje poprzednie, z winy swych koncepcyj i przyzwyczajęń do rodzinnych podziałów oraz pomieszania władzy publicznej z prywatną własnością władcy, było stworzenie państwa, początkowo skromnego lecz spoistego, stanowiącego trwałe narzędzie bezpieczeństwa i władzy, a jakiego brak było Galji od upadku Rzymu. Kapetyngowie zastali Francję zcieśnioną i rozdrobnioną. Opierając się na wspólnych tradycjach i jednakowych dążnościach ludności, rozdartej podziałem feodalnym, dopomogli narodowi do skupienia się dokoła swego tronu, zwalczając anarchję rządów, naród ten rozdławiających. Działalność ich zespoliła wszystkie zasoby ojcowizny, opierając się na powadze, zwalczanej przez baronów, książąt i hrabiów, oraz stworzyła państwo, wbrew oporowi i uroszczeniom tychże. Tak więc naród uzyskał zwolna materjalną formę, niezbędną dla urzeczywistnienia jedności moralnej, do której dążył; uzyskał ją w ramach państwa Kapetyngów, niezdolnych już do czynienia żadnej różnicy między swymi poddanymi, w miarę jak władza królewska brała górę, a królestwo rozszerzało swe granice. Dusze i dziecięctwo władców i poddanych zlewały się w jedno, w spólnym interesie i w poczuciu wzajemnej przynależności, w obrębie monarchicznego państwa.

Ludwik VI, Olbrzymie to dzieło upaństwowienia
Ludwik VII rozpoczęło się z końcem w. XI. Olbry-
i Suger miem było, gdyż trwało aż do Ludwika
Wielkiego, z Ludwikiem Otyłym, jako dalekim przod-

kiem. Francuzi dochowali szczególną pamięć temu królowi, „szafarzowi sprawiedliwości”. Widzieli go przed sobą w odległej, lecz brzemiennej w skutki przeszłości, wojującego z bronią w ręku, pośród borów i dolin Ile - de - France, nieubłaganego dla baronów i feodalnych bandytów, plądrujących okolice Paryża, wchodzącego w ścisłe związki z klerem i wybitnymi mnichami swoich czasów, lecz umiejącego także przemawiać do księży, a nawet i do papieża, ze zdumiewającą niezależnością. Zachowały się dzieje owego dnia pamiętnego, kiedy temu walecznemu i energicznemu władcy powiodło się zebrać w Reims armję, złożoną z rycerzy i mieszczan, „tak liczną, jak chmura szarańczy”, by zmusić intruza, cesarza niemieckiego, Henryka V, do marnego odwrotu poza Ren. Dzieło organizacji i obrony, któremu poświęcił się Ludwik VI aż do swej śmierci, a które wypełniało go w zupełności, cieszyło się za jego panowania i za panowania jego syna, Ludwika VII, energicznem poparciem Kościoła.

Zaszczyt tego, przypadł, w znacznej części, jego doradcy, mnichowi, Suger’owi. Oto jeszcze jedna tradycja, powstająca u zarania monarchji i narodu, a mająca przetrwać w daleką przyszłość, tradycja powierzania losów państwa pieczy pierwszych dostojników francuskiego Kościoła. Z bardzo skromnych początków wyniesiony został Suger, po udaniu się Ludwika VII na wyprawę krzyżową, aż do godności regenta. Czyż nie świadczy to o wysokim stopniu cywilizacji, do jakiej doszło to królestwo po tylu latach barbarzyństwa, że ten zwykły mnich

z opactwa St. Denis, swe powodzenie pośród towarzyszy i wobec królów, swą sławę uczonego i historyka wobec przyszłości, zawdzięczał znajomości i biegłości w literaturze łacińskiej? W opactwie, gdzie odznaczył się umiejętnością obchodzenia się z wieśniakami, odzyskania i użytkowania ziem klasztornych, tworzenia zapasów i zasobów, i wydawania ich na chwałę i wielkość katedry, jednej z najpierwszych i najpiękniejszych, stylu ostrołukowego, przygotowali go przełożeni do rządzenia Francją, gdzie polityka jego była rozumna i metodyczna, silna i łagodna zarazem. W czasie gdy, współczesny mu, święty Bernard, ta wielka postać, uświęcona wymową Bossueta, głosił namiętnie reformę Cystersów i krucjaty, dziwny kontrast stanowił ten duchowny, oddany zarówno państwu jak i swemu Kościołowi, przypominający, w tej epoce odrodzenia monarchji, prałatów wieków późniejszych, przyjaciół starożytności i sztuki, mistrzów polityki. St. Denis wzbogacone przezeń i upiękzone stało się sercem królestwa; Suger zdawał się być jego mózgiem. A święty Bernard uwiecznił sam w tych słowach pamięć, jaką zachowali Francuzi o jego działalności i jego usługach: „wierny i roztropny w rzeczach doczesnych, gorący był i pokorny w rzeczach duchownych, całe jego życie poświęcone było jednym i drugim”. Dzięki Sugerowi dzieło zjednoczenia monarchicznego i polityki narodowej mogło, za Ludwika VI i po nim, urzeczywistniać się i postępować w ciągu w. XII, posiadającego znaczenie decydujące dla królestwa i narodu, których interesy utożsamiały się wówczas tak dalece, że mogły odtąd wydawać się Francuzom nierozdzielnymi.

Dzieło to miało się uosobić w w. XIII w dwóch postaciach, dziadku i wnuku. Pierwszy z nich, to Filip, podobnie jak ojciec Aleksandra, i August, jakby drugi Cezar, imiona chrzestne z grecko-rzymskiej starożytności, powitane radośnie przez kler i lud cały. Drugi, św. Ludwik, to jakby ten Kłodwik, którego imię chrześcijańskie przypominało im zwycięstwa przodków nad barbarzyństwem, w Reims i Tolbiac, obaj zaś, to pod różnymi postaciami, zarówno głowy państwa, jak i pasterze ludu, w państwie Bożem, dzie dziecu państwa rzymskiego.

Filip August, Zwycięzca z pod Bouvines był podobnie, zjednoczyciel jak Karol W., któremu zazdrościł po-
ziem francuskich tęgą i chwałą, wojownikiem wielkim i zdolnym, manewrującym roztropnie i planowo, nadstawiającym własną głowę i umiejącym kłóć i sieć w pierwszych rzędach swego rycerstwa i swych żołnierzy. Potrafił on przemawiać właściwym językiem, by zyskać opiekę Boga i Kościoła, a lud szedł za nim, dając się wieść do rozstrzygających zwycięstw. Z małego dziedzictwa swych ojców, zacieśnionego potężnymi latyfundjami feodalnymi i królewskimi, zwłaszcza odkąd przez nieszczęsny rozwód Ludwika VII z Eleonorą Akwitańską i małżeństwo tej ostatniej z Henrykiem Plantagenetem, cały południowy Zachód i Zachód Francji połączył się z Anglią, z dziedzictwa zagrożonego przez cesarstwo niemieckie, Burgundję i Flandrję, stworzył król Paryża, swą polityką i swym orężem, Francję trzy- lub czterokrotnie większą, otwartą szeroko ku morzu i Oceanowi, od Sekwany

do Loiry, od Rouen aż do Tours. Współcześni poeci nazwali go Filipem Zdobywcą. Zawojował on i podbił, u siebie lub poza swemi ziemiami, drobnych magnatów, niespokojnych i łupieskich, kościelnych czy też świeckich. Władza jego mściwa i wytrwała, zawładnęła najpotężniejszymi przeciwnikami, królami jak angielski Jan bez Ziemi, czy też potężnymi hrabiami i książętami, jak Ferrand z Flandrji, Renaud z Boulogne i Eudes z Burgundji. Kościół cały wspomagał go usilnie, podobnie jak i jego ojca: papież Innocenty III, mimo stawianego sobie oporu, biskupi i zwykli klerycy, z pośród których jednego, Guérin'a, uczynił swym ministrem na czas pokoju i wojny. Wspomagała go też i Francja, która zaczynała rozumieć, że chcąc zyskać pomoc Nieba, musi pomagać sama sobie i swemu królowi. Nietylko dla zdobycia swobód komunalnych, chwyтали za broń, w wieku XIII, ci mieszczenie, członkowie cechów i gmin, lecz dla wyparcia najeźdźcy, pod sztandarem świętego Djonizego. Pod podwójnym naporem papiestwa i ludów, wezwanych przez nie do walki z herezją, zachwiały się i załamały potęgi wrogie Kapetyngom i groźne jedności francuskiej: w Anglji, w Akwitanji, we Flandrji i w Bretanji. Filip August i syn jego Ludwik, zespolili się w szczęśliwem dziele przyłączania całych prowincyj. Niewiele brakowało, by nie zapanowali nad Plantagenetami i Anglją. Krucjata Szymona de Monfort przeciwko hrabiom Tuluzy i Albigenzom, dokonana przez nich, miała im oddać Languedoc, a poza Poitou Akwitanję, Limousin i Gaskonję. Podboje Kapetyngów, równie ciężkie częstokroć, jak

rzymskie, ułatwione również sporami i ambicjami miejscowemi, sięgające od Flandrji aż po Pireneje a od Sekwany aż po Rodan, przywróciły jedność ziem galijskich, bronionych przeciw inwazjom germańskim a poświęconych wierze Chrystusowej. Dobrodziejstwo tego zjednoczenia wydało się Francuzom tak wielkiem, że po śmierci Filipa Augusta pozwolili ustalić się, bez żadnych zastrzeżeń, monarchji dziedzicznej, stającą się prawem na przeciąg długich wieków, w przeciwieństwie do Wielkiej Karty, narzuconej wówczas swemu władcy przez baronów w Anglji.

Dziedziczność tronu i administracja królewska Bo też jakaż różnica między tym władcą, Janem bez Ziemi, nikczemnym, wiarołomnym i okrutnym, niewolnikiem swych namiętności i tyranem swych poddanych, a jego nieubłagany przeciwnikiem przez lat dwadzieścia, królem Francji, równie roztropnym jak dzielnym, politykiem pierworzędnym, przy zarządzaniu swem królestwem. Administracja Filipa Augusta obdarzyła monarchję trzema czynnikami władzy, których brakło jej od dłuższego czasu, a bez których Francuzi, raz się ich nauczywszy, nie mogli odtąd się obyć: urzędnikami uległymi i oddanymi państwu, które ich stworzyło, płaciło i nadzorowało: wielkimi baillis; dalej polityką fiskalną, bardzo nieraz ciężką dla klasztorów i kościołów, żydów i wieśniaków, lecz przynoszącą państwu pożyteczne oszczędności. Współcześni nazywali go wielkim gromadźcielem skarbów: niema jednak porządnego rządu bez oszczędności. Wreszcie obdarzył on monarchję żołnierzami, armją

rycerzy zorganizowanych, oddanych i dobrze płatnych, opierającą się o warownie i fortyfikacje miejskie, armją pilnującą band feodalnych i chroniącą urzędników i mieszczan.

Jednem słowem porządek, spokój i bezpieczeństwo wszędzie, conajmniej tam, gdzie, jak zwłaszcza na północy, objawiała się działalność tej państwowej polityki.

Panowanie jego pozostawiło po sobie nietylko pamięć ogromnych zasług, oddanych krajowi, bronionemu, powiększanemu i zjednoczonemu, lecz także i widoczne pomniki. Paryż zawdzięcza Filipowi Augustowi swoje pierwsze mury: Paryżanie pokazują sobie jeszcze dziś ich ślady i przypominają sobie ich twórcę w związku z Luwrem. Nikt dotąd nie budował jeszcze tak, jak on: tak mocno, trwale, śmiało, na obraz własny. Imię jego związane jest ściśle z rozkwitem architektury ostrołukowych katedr, który należy przypisać nie mniej zachęcie i chojności tego króla, jak i spokojowi i dobrobytowi, zapewnionemu przez miastom swego królestwa.

Nawykli do uosobiania w swych królach własnych zbiorowych wysiłków w kierunku odrodzenia politycznego, intelektualnego, artystycznego i prawdziwie religijnego, promieniującego na całą Europę, przypisywali Francuzi Filipowi Augustowi zalety, których nie posiadał. Był on może w rzeczy samej protektorem uniwersytetu i nauk, lecz brak mu było czasu do własnego kształcenia się, tak, jak to mógł czynić jego syn. Bez wątpienia był on królem bardzo

chrześcijańskim, a nawet pobożnym, lecz nie miał wiele skrupułów tam, gdzie chodziło o interes własny. Lubiał też dobrze zjeść i zabawić się, pozatem nie bardzo umiał zapanować nad gniewem lub namiętnościami. Brał udział w krucjacie, o ile ta nie przeszkadzała mu w okazjach, korzystnych dla królestwa i własnych ambicyj, lub też nawet mu ich dostarczała. Biorąc wszystko razem, była to postać silna, potężna i pełna życia, przy wszystkich wadach władcy ambitnego, inteligentnego i energicznego, jedna z największych postaci całej dynastji, a może i największa, gdyby wnukiem jego nie był św. Ludwik.

Świętość i sprawiedliwość domu królewskiego Ten zaś był świętym królem, jakich nie było poza nim w świecie, królem, przy-
noszącym zaszczyt swej ojczyźnie i swej epoce, przytem zaś ani świętym, ani też królem legendarnym, lecz człowiekiem żywym i prawdziwym, oglądanym i przedstawionym z natury przez Joinville'a. Podziwiając go i miłując, nie wyrzekając się jednak w niczem swej swobody artystycznej, zachwycającej i złośliwej zarazem, pozostawił nam ten seneszał św. Ludwika, w swem świetnem dziele, obraz tego króla, nie ustępujący najlepszym katedralnym podobiznom, z których zdawał się zstępować, z swym anielskim uśmiechem, gołębiem spojrzeniem i jasnymi włosami. Dzięki temu pierwszemu arcydziełu francuskiej prozy, podobnie, jak i dzięki Sainte - Chapelle, obu zawdzięczającym swe powstanie inspiracji Ludwika IX, umożliwił ten władca Francji, a Francja jemu, urzeczywistnienie, już w XIII w., dwóch najdoskonalszych

ucieleśnień ideału monarchicznego, religijnego i narodowego, tych dwóch najdrogocenniejszych kamieni w jej koronie.

Święty Ludwik Podobnie jak i jego poprzednicy był św. Ludwik królem i głową państwa, innej jednak trzymał się zasady, instynktownie, czy też pod wpływem matki, Blanki Kastylskiej, zasady połączenia obowiązków misji królewskiej z obowiązkami jak najzarliwszego chrześcijanina. Joinville wymienia nam te cnoty, które, więcej od jakichkolwiek zdolności, dały mu siły, więcej od wszystkich zwycięstw, wielkości: nabożność mnicha, odwaga bohatera, szlachetność rycerza, zupełne zaparcie się i gorąca miłość, sprawiedliwość surowa, instynktowna i jasnowidząca. Wieki całe nie zatarty ani jednego rysu tej postaci, tak bardzo harmonijnej mimo przeciwieństwa między pokornym, miłosiernym chrześcijaninem a nieustraszonym żołnierzem. Przedewszystkiem był on sprawiedliwym: w sprawiedliwości, cnocie zarówno życia publicznego, jak i prywatnego, znalazł on wytyczną całego swego postępowania, w polityce, w wierze, we wszystkim. Sprawiedliwość tę, w stosunku do ludu, przykazywał on zarówno sobie samemu, jak i wszystkim swym poddanym, panom i duchownym, mieszczanom i pospólstwu. Wymierzał sprawiedliwość nawet swym przeciwnikom, anglikom i Niemcom, czy to zwracając jednemu z nich prowincje, zagarnięte przez swego dziada, czy też powstrzymując się od korzystania ze sporu z papieżem innego z nich, cesarza. Sprawiedliwość tę przekazał on w najcenniejszym spadku

synowi swemu, w owych przepięknych *Enseignements Louis*, gdzie nie potrzebował, jak w pięćset lat później Ludwik XIV, oskarżać się o zbytne umiłowanie chwały i wojen.

Szukał on jednego i drugiego, lecz tylko poto, by ziemię Chrystusową oswobodzić od niewiernych, i to nie raz jeden tylko. W epoce krucjat, święty Ludwik, przedstawiał typ doskonałego krzyżowca, budzącego wśród władców i narodów zapał do tych wypraw, który bez niego byłby był może wygaś. Stawał na ich czele, raz w Egipcie, potem zaś w Tunisie, opłacając je muzułmańskim więzieniem, wreszcie zaś śmiercią. Bohaterstwo jego zwróciło na się uwagę wszystkich władców europejskich „swem przodowaniem w rycerskości”, jak mówił współczesny mu, król Henryk III, a wywołało podziw, nawet u niewiernych.

Bohater chrześcijański, w pierwszym rzędzie przez swe zaparcie się, odwagę i litość dla nieszczęśliwych, tak wówczas licznych, był on władcą, oczekiwanym przez lud, któremu pozwolił nabrać tchu i nadziei. W państwie swem kierował się, podobnie jak i jego przodkowie, zasadami pokoju i prawa Bożego, usuwając przy pomocy swych informatorów i baillis gwałty i nadużycia, strzegąc swych praw, nawet wobec Kościoła, skoro się raz upewnił, że prawami są istotnie. W epoce, która mimo wszystkich dążeń i poczynąń w kierunku reformy państwowej, tyle jeszcze przedstawiała nędzy, przewrotności i okrucieństwa, stał się św. Ludwik, zarówno jak i dla wieków późniejszych, ucieleśnieniem ideału dobroci, sprawiedliwości, dzielności i bezinteresowności, ideału, który obiecywali

sobie Francuzi po królu namaszczone w Reims przez Kościół, wyobrażając sobie w swej naiwnej wierze, że dzięki niemu królestwo Chrystusowe mogłoby się urzeczywistnić na tym świecie. Europa, uznawszy go swym rozjemcą, chyliła się przed nim z uszanowaniem, niemal religijnem. Filip August uczynił Francję potężną, przez swe zdobycze i swe rządy, Święty Ludwik uczynił ją jeszcze potężniejszą, sławą swej sprawiedliwości i świętości. Wielkość to moralna zapewne, przedstawiała jednak zarazem i bardzo realną potęgę, wobec tego, że jedna uzupełniała drugą, a obie były o wiele trwalsze od powagi cesarskiej, której groziła zagłada wraz z całym germańskim imperjum, wśród anarchji w. XIII.

Francja Filipa Pięknego Lecz i dla Francji nastały gorsze czasy, w wieku następnym. Wojny Filipa Pięknego z Anglią i we Flandrji, nie zawsze szczęśliwe, polityka fiskalna tego ambitnego i wymagającego władcy, prowadzona przy pomocy urzędników i prawników, wychowanych na rzymskich pojęciach o suwerenności państwa, dopuszczających fałszowanie pieniądza, pozatem proces i konfiskata Templariuszy, długi spór z papieżem i awinjońska schyzma, niepokojąca sumienia chrześcijan, zarażone już duchem dociekań i powątpiewań, oto cechy charakterystyczne królestwa Świętego Ludwika, tego pierwszego państwa europejskiego na modłę Edwarda VII, króla angielskiego. Wówczas to rozpętały się, na przeciąg lat stu, walki między królami i baronami.

Na rachunek tej przyszłości, pełnej zamieszek i niepewności, Francja rozwija się jednak pomyślnie

na początku w. XIV, otoczona szacunkiem i wzbudzająca zazdrość. Odzyskuje ona, czy też zdobywa, jedność terytorjalną, w pełnej świadomości płynących stąd korzyści, odzyskuje ją własnym wysiłkiem i dzięki dynastji Kapetyngów, jednoczącej różne ziemie: Akwitanję, Poitou, Gaskonję, Normandję, Languedoc, ziemię Ljońską i Franche - Comté. Król, jego wasale i poddani, wszyscy pracowali wówczas skutecznie nad ujednolicieniem praw, języka, literatury i sztuki. Od wieku XII, po ukończeniu wojen, wzrosły miasta, zaludniane pracowitą ludnością robotną, dawnymi niewolnikami i obcymi, oraz mieszczanami, znęconymi przez udzielone swobody i zyski, ludnością, zorganizowaną w komunach, wzrastających ilościowo, wskutek poparcia ze strony królów i cechowych organizacyj, których bogactwo i handel przejawiają się na wielkich targach prowincjonalnych i na rynkach miejskich. Opiekuńcza dłoń władcy rozciągała się, bezpośrednio, czy też pośrednio, przez działalność baillis i seneszałów na te pracowite ule, miasta, parafje i wsie, chronione przed niespodziankami ze strony obcych. Król, naród i duchowieństwo pracowali cierpliwie nad dziełem skupienia, zużytkowania i zabezpieczenia majątku państwowego. Wspólna wiara w posłannictwo, odziedziczone po przodkach, czerpiąca swe siły z pobożnej tradycji, podtrzymywała ich nadzieję i ich dumę, w dążeniu do przewyciężenia barbarzyństwa przez państwo Boże, z korzyścią dla Kościoła i własnego państwa, przez cywilizację, ducha, moralność, sztukę i naukę, przekazane przez Grecję, Judeę i Rzym.

W nader ciekawym panegiryku, poświęconym przez Jana de Jandun Paryżowi, który, od czasu Filipa Augusta, stał się już, w cieniu katedry Notre Dame, stolicą i ośrodkiem tej promieniującej na zewnątrz polityki, domaga się ten pisarz „panowania nad światem dla najszlachetniejszych i najpotężniejszych królów Francji”. A to nie tylko dla potęgi, nabytej przez to królestwo od lat stu pięćdziesięciu, lecz z mocy prawa, przysługującego następcom Świętego Ludwika „wskutek wrodzonych im skłonności do ulepszania”, oraz dla poświęcenia, z jakim dążą do materialnego i moralnego udoskonalenia ludzkości. Tradycja to prawdziwie francuska, wynikająca instynktownie z naturalnej szlachetności i umiłowania sławy, dążąca do natychmiastowego spożytkowania dla dobra Europy i postępu, dopiero co powstałych zasobów energii i ideałów własnej rasy.

Epoka ciężkich przejść. Katastrofa nastąpiła w w. XIV, wskutek zachwiania się władzy królewskiej, **Wojna stuletnia** w której Francuzi widzieli swe bezpieczeństwo i swą dumę. Poważne konsekwencje pociągnęło za sobą przypadkowe wygaśnięcie bezpośredniego potomstwa Świętego Ludwika, a zniknięcie najstarszej linii domu Kapetyngów wywołało bardzo długie i krwawe walki dynastyczne. Plantageneci i Walezjusze, książęta krwi i panowie feodalni, kierowani chciwością i ambicją, posługując się różnymi kruczkami prawnymi, prawem salickim lub też pretensjami kobiet, uzbrajali i wyniszczali ludy, przez lat sto zgórą, sprowadzali na Francję angielskich na-

jemników, owych „Goddam’ów”, wydawali wsie i miasta na łup band łupieskich i krwiożerczych, wstrząsnęli aż do podstaw tę piękną walącą się teraz jednością państwową, narażając cały przyszły dobrobyt i postęp. Po Bouvines i Taillebourg przyszło Crécy i Poitiers, państwo bez króla, Jan Dobry w niewoli angielskiej a Dauphin w rękach Paryża i Etienne Marcel’a.

Paryskie rewolty W czasie długiej epoki przełomów i zamieszek wewnętrznych i obcych, począł Paryż utrzymywać swe znaczenie, oparte na sile, bogactwie i inteligencji. Od 1355 do 1358 Paryż rościł sobie prawo do narzucania swej woli całemu królestwu! W 1382 nowe „djabelstwo” Paryżan, przeciw Karolowi VI: Majotyni. Od 1411 do 1413, „znów było bardzo niebezpiecznie w Paryżu”, gdzie rzeźnicy Caboché’a, tego oprawcy w białym berecie, zmusili swymi rozruchami władzę królewską do wydania edyktu reformacyjnego. Przy nędzy całej ludności, wobec chłopstwa wyczerpywanego podatkami, rujnowanego i mordowanego przez Anglików, wśród zawodowych band rozbójniczych i rozrzutności wojujących i ucztujących władców, zyskiwała z dniem każdym na znaczeniu cywilizacja miejska, za wzorem Flandrii i Italji. Handel i przemysł przysparzały bogactw rycerstwu, którego zwyczaje, czyny i zabawy opisał nam Froissart, i umożliwiały zbytkowne życie i znaczenie mieszczaństwa. Mury miast i cechy, uzbrojone w służbie mieszczaństwa, stanowiły jedyne schronienie, jedyne obronę tych biedaków, którzy wobec ogromu zła

przeklinali szlachtę, władców i sługi upadającej władzy królewskiej. Paryż nie posiadał jeszcze swego ratusza, na wzór innych, wznoszonych wówczas obok kościołów gotyckich we Flandrji, w Clermont, Bethune, Amiens, Saint - Quentin i Douai. Parloir dla mieszczan, obok Wielkiego Mostu, udzielony im w 1220 przez Filipa Augusta, ustąpił już jednak miejsca gmachowi miejskiemu na placu Grève, owej *Halle aux Piliers* Etienne Marcel'a, a ulice zapełniały się zbyt kownymi pałacami, świadczącymi o dobrobycie i majątku tego mieszczaństwa, domagającego się udziału w władzy, buntującego się z razu przeciw władzy królewskiej, później zaś z nią sprzymierzonego.

Mieszczaństwo i rycerstwo Nie mieszczaństwo jednak miało wówczas zaradzić Francji skutecznie w klęskach wojennych i najazdach obcych.

Zbyt często przywłaszczało sobie ono władzę by zwalczać królewską, paktowało z wrogami państwa, wzniecało i przedłużało anarchję, pomyślną dla rządów obcych, wspomagało łupiestwa bandytów, band Nawaryjczyka i innych, ze szkodą ludu, którego obrońcą mienił się być przecież Etienne Marcel. W mieszczaństwie tem kiełkowały już jednak przyszłe zarodki innej Francji, bogatszej, spoistszej, o obyczajach łagodniejszych i inteligencji, bogatszej w wiedzę i doświadczenie od Francji rolniczej, od „tych biednych chłopków, zarabiających pracą swych rąk na życie”, według słów kronikarza Jean Fillon, tych nieszczęsnych ludzi rozprószonych i słabych, o ile jakiś bohater, jak Jean d'Allone lub wielki Ferré nie zjedno-

czył ich do obrony przeciw Anglikom lub łupieżcom, tam gdzie nie mogła tego uczynić władza królewska. W tych czasach cierpień i nieszczęść publicznych i prywatnych, gmach, wznoszony zwolna, w ciągu wieków, na galijskiej ziemi, trzymał się już tylko dzięki swym silnym podwalinom, dzięki twardemu przywiązaniu wieśniaka do ziemi przodków, deptanej przez obcych, dzięki równie silnej wierze w dobrodziejstwa władzy królewskiej, Świętego Karola i Świętego Ludwika.

**Karol V, odno-
wiciel państwa
Kapetyngów**

To, co Karol V zdołał dla oswobodzenia i odbudowy swego państwa, w ciągu dwudziestu sześciu lat swego panowania, które można by nazwać zawieszeniem broni, po rewoltach paryskich, zdradach nawaryjskich i nieszczęsnym traktacie z Calais (1360), wykazało całą odporność i wytrzymałość sił ludowych, wspomagających rozumne i wytrwałe wysiłki tego króla. Ani natura, ani też los, który powołał go na tron, nie ułatwiały zadania temu młodemu królowi, o słabem zdrowiu i źle rozwiniętym ciele, wychudłemu, pozbawionemu władzy w prawej ręce, wydanemu dwukrotnie, wskutek klęski i wygnania ojca, na pastwę Anglików i ich sojusznika, króla Nawary, na pastwę anarchji i gwałtów Paryżan. W modlitewniku jego znaleziono modlitwę, zwróconą do św. Ludwika o oświecenie i pomoc. Wstęp do jednego z jego edyktów zawiera wezwanie pamięci tego „bardzo świętego Przodka, będącego kwiatem, chwałą i zwierciadłem nie tylko domu królewskiego, lecz wszystkich Francuzów! Życie jego powinno być dla nas nauką”. Było

nią ono istotnie dla jego życia prywatnego, przykładnej pobożności i wzruszającej miłości do królowej, Joanny Burbońskiej, dla całego jego postępowania i królewskiej pracy, stosujących się do „uroczystych zasad, mających przyświecać najczcigodniejszej godności wysokiej korony Francji”. Pod jednym tylko względem nie mógł on naśladować swego pierwowzoru, bohaterskiego i pobożnego rycerza, jakim był św. Ludwik: braki fizyczne zamykały przed nim pole bitew. Zastępował go tu wódz jego, Duguesclin, który służył mu przez lat dwadzieścia i umarł, w tym samym roku, co i król. Także i polityka jego nie była podobną do polityki króla, którego sprawiedliwość i bezinteresowność budziły podziw całej Europy; opanowywał on wrogów swoich zręcznością raczej i intrygą. Czyż sama prawda mogła wystarczyć, w tych ciężkich czasach, by go ocalić, by oswobodzić mu królestwo od najazdów i zamieszek?

Zarysy nowej monarhji, mądrość i polityka Król ten był człowiekiem swej epoki i inne odebrał nauki od tych, o które prosił św. Ludwika. Od swych mistrzów i od współczesnych nabrał zamiłowania do wiedzy, do uczonych rozpraw, które odbywał przez całe życie z najmądrszymi ludźmi swoich czasów: takim Piotrem Oresme, F. de Mézières, Raulem de Presles. Ukończywszy książki, które zbierał w swej bibliotece w Luwrze, zabierając je z sobą w podróż, czytając samemu lub też każąc sobie czytać Arystotelesa i T. Liwjusza, zagłębiając się wraz z swym nauczycielem, Gervais, w wiedzę współczesną i literaturę, nad

którą przemysliwał w swych pałacach i zamkach, w Saint Paul, w Vincennes, starał się on stworzyć własną metodę sztuki rządzenia, na modłę nowoczesnego władcy. Dla odbudowywanej przez się władzy królewskiej, pragnął on wystawności, bogatego pomieszczenia w pałacu Saint - Paul, w Luwrze, czy w Vincennes, nie zawsze licząc się ze środkami; pragnął dla niej najkosztowniejszych klejnotów, jakie tylko umiano wykonać w Paryżu, przedstawiał ją „obcym i ludności” we wspaniałych ramach sztuki i zbytku. Wyposażył on władzę królewską w czynniki potęgi, które uczyniły ją groźną dla wrogów wewnętrznych i zewnętrznych, w administrację nieznaną już oddawna, w armję monarchiczną, zorganizowaną po raz pierwszy i zaopatrzoną już w artylerję, wreszcie w flotę, która pod admirałem Janem de Vienne, potrafiła odrzucić Anglików na ich wyspę a i tam także im zagrażała.

Duguesclin. Wielką troską Karola V było rozumieć swą epokę, że zaś ją zrozumiał, stanowiło jego siłę. W osobie Duguesclin'a, potomka szlachty bretońskiej, wychowanego pośród chłopaków wiejskich, między którymi zapomniał o metodach rycerskich a nauczył się twardej prostoty, wytrwałości i zimnej krwi, które stały się dlań taktyką, wiodącą do zwycięstwa, sięgnął on do źródeł ludowej energii i lojalności, tych ostatnich rezerw kraju nawiedzonego nieszczęściem. Umiał on zapomnieć miastom, a nawet Paryżowi, zakusy wymierzone przeciw swojej władzy, poniżenia wycierpiane za młodu. Zmusił je wpierw do posłuszeństwa, by potem nadać im swobody; nie wahał się

przy wyborze swych urzędników i układaniu swych rozkazów przejąć z ich uroszczeń to, co było słuszne i korzystne dla państwa. Nie dorastając, zapewne, do wielkości twórców monarchji, miał on jednak tę zasługę, że stał się monarchji tej odnowicielem i że powiodło mu się to w drodze ewolucji obyczajów i pojęć, z której rosła nowoczesna Francja, przez dziecinstwo bolesne a często i tragiczne.

Zagrożenie Francji i podbój angielski Tragedją było istotnie to, co się działo na widowni francuskiej przez lat czterdzieści, od jego śmierci aż do traktatu w Troyes. Nowy upadek domu królewskiego, szaleństwo Karola VI, niegodne postępowanie królowej Isabeau bawarskiej, rozrzutność, chciwość, łupiestwo i krwawe spory książąt krwi, pozbawionych apanaży, tworzących tyleż królestw w obrębie jednego, wyczerpały monarchję ze wszystkich zasobów, i wydały dynastję na łaskę obcych, a, po Azincourt, kraj cały na pastwę ognia i miecza, lud zaś na udrękę. Na polach, niszczonych i plądrowanych przez Anglików, Burgundczyka i Armagnac'a, zniszczona została w tych ponurych latach praca Karola V; dzieło wieków całych zdawało się raz jeszcze stracone.

Joanna, dobra córka Lotaryngji Wybawienie przyszło z pośród wieśniaczego ludu, od jednej z najniższych cór Francji, pasterki i tym razem, jak za czasów Hunów. Kiedy syn Karola VI, ograniczony do swych małych posiadłości w Bourges, oddawał się wraz z swymi doradcami i wodzami zniechęceniu i zabawom, wtedy Dziewica z Domrémy, oddana swym sa-

motnym modłom, słyszała, jak Święty Karol i Święty Ludwik modlili się wraz z nią za Francję, napadniętą i pustoszoną przez Anglików. Zbrojna jedynie w swą wiarę udała się, ta kobieta - rycerz narodu, do Chinon, gdzie Dauphin zdawał się zapominać o obrońcach Orleanu. Nabożnie powtarzała ona temu księciu, niepewnemu swego urodzenia, swych praw i swego powołania, powtarzała panom, i zwątpiałym doradcom, o stronniczość raczej dbałym niż o zasady, słowa świętego hymnu wiary w monarchję, zasłyszanego od św. Michała i św. Katarzyny. Głosy, pochodzące, jak wierzyła, z niebios, były także głosem tej francuskiej ziemi, wyrażającym jasno wolę narodu, uświadomionego przez długie cierpienia, wolę jedności moralnej i materialnej odporności. Bohaterka narodowa pokładała wiarę swą w Bogu i jego świętych, w księciu-dziedzicu wielkich Kapetyngów, w swej ojczyźnie.

Wyrównany został odtąd rachunek między ludem, który Joanna zawiodła na oswobodzenie Orleanu i do Reims'kiego sanktuarjum, a dynastją św. Ludwika. To, czem ten święty król obdarzył naród, by dokonać ukształtowania go w potęgę i sławie, oddała święta Dziewica jego następcy, pozbawionemu wszystkiego, nawet wiary w samego siebie, oddała, by mu dopomóc w odzyskaniu królestwa, stwierdzeniu i doprowadzeniu do zwycięstwa swych praw.

Rozkwit monarchji i narodu Messire Franciszek Villon, ten poeta-hultaj, czasem bardzo wielki, ten poeta-hultajów, pochodzący z ludu, i to najniższego, nie posiadał żadnego tytułu do kanonizowania tej Świętej, instynktownie jednak umiał ją zrozumieć.

Nikt nie wystawiał lepiej wielkiej misji i doniosłych nakazów „Joanny, dobrej dziewczyny lotaryńskiej”, w tym Paryżu w XV, burzliwym a patriotycznym, „zawstydzającym każdego, kto źle życzył królestwu Francji”. Burgundczycy i Anglicy, wiedzieli dobrze, co czynią, skazując Joannę w Rouen na stos, jako czarownicę, i niepoprawną heretyczkę! Wespół z niegodnymi kapłanami, chcieli oni oderwać od niej zastępy wiernych i żołnierzy, przepelnionych wiarą w Dziewicę, zniweczyć skutki namaszczenia w Reims, tego rozstrzygającego wyniku jej zwycięstw. Czarownicą ta Święta, której roztropną prostotą nie zachwiały żadne podstępny, żadne zasadzki, żadne groźby moralne długiego i okrutnego procesu! Przenigdy! Była to może raczej jakaś siła magiczna, która przez nagłe obudzenie się francuskiego patriotyzmu w w. XV, na triumfalny apel tej szlachetnej dziewczyny, wyniosła ją, w czasach tak twardych, dzięki czystości duszy, słodyczy serca, cudownej jasności umysłu, potędze odwagi i porywom wiary, orlim lotem na szczyty ludzkości. Lecz siła magiczna pozornie tylko, w istocie bowiem zakwitł tu kwiat rzadki, zeszyły żywotne zarodki, zasiane w głębi duszy i ziemi francuskiej wiekową pracą, przywiązaniem do ziemi przodków, do ich myślenia i ich tradycyjnych wierzeń, użyźnione przeżytkami cierpieniami. I nieraz jeszcze będziemy odtąd świadkami podobnych cudów, w chwilach wielkich przełomów, kiedy to wstaną i zwyciężą ludy Francji, pędzone tą samą prężnością, która zwracała się wówczas „przeciw Angielczykom”: zjednoczeniem wszystkich dookoła tronu królewskiego, zaciętym i zwycięskim wysiłkiem wszystkich ku obronie dziedzictwa.

Na samem dnie dramatu, w którym chodziło o losy Joanny, przebijała się wówczas, u królów i ich doradców, także i skłonność do puszczenia w niepamięć pomocy udzielonej przez naród, pod wpływem jej bohaterstwa. Podczas gdy wiele miast, zwłaszcza zaś Orléans, opłakiwało swą wybawicielkę, wziętą do niewoli przez Burgundczyków i sprzedaną Anglikom za pół miliona, Karol nie uczynił nic, by wykupić tą, która przywróciła mu królestwo. Rewizja wyroku z Rouen, na korzyść świętej, oskarżonej o herezję, zarządzona przezeń w r. 1456, w tym samym może stopniu dla umocnienia własnego tronu, co dla rehabilitacji jej sławy, kazała czekać na siebie zbyt długo.

Obojętność ta, zasługująca na miano niewdzięczności, pozwalała wyczuć, jak mało wagi przywiązywała dynastia Kapetyngów do siły moralnej ludu wiejskiego, któremu zawdzięczała przecież swe ocalenie.

Po wojnie stuletniej Karol VII nie rozumiał widocznie, co zawdzięczał Joannie i całemu swemu narodowi. Nauczyć się tego mieli dopiero jego następcy. Syn jego, Dauphin, niepokoił ostatnie lata jego panowania swymi spiskami, buntami i intrygami, w Dauphiné i w Burgundji, a zostawszy Ludwikiem XI słuchał wyłącznie rad małej szlachty i mieszczaństwa, swego otoczenia, urzędników i prawników, takich, jak Jacques Coeur, Jouvenel des Ursins, Guillaume Cousinot, Etienne Chevalier, Pierre de Brézé, hr. de Chabannes, bracia Bureau, Tristan l'Ermite i Jean Daillon, wynagradzając ich po królewsku, lecz niwecząc za

najmniejszym podejrzeniem. Przy pomocy tych sług, inteligentnych i zamożnych, ojciec i syn dokonywali siłą, a częściej jeszcze dyplomacją, — będąc w tem podobnymi do współczesnych książąt italskich, — dzieła odbudowy swej potęgi politycznej i terytorjalnej, kosztem swych ambitnych sąsiadów w Burgundji i Bretanji, kosztem buntowniczych wasalów, którym wymierzali sprawiedliwość, często w sposób okrutny. Gdyby jednak naród nie był usłuchał głosu Orleańskiej Dziewicy, czyż byliby oni mogli wogóle rozpocząć swe dzieło polityki suwerennej, którego dokonanie było narażone na tak liczne niebezpieczeństwa, jak bunt pragski, liga dobra publicznego i zdobycie Péronne?

Państwo i naród Królowie potrafili wówczas, bezwą-
w w. XV-tym pienia, przekuć na nowo broń, niezbędną dla potęgi królestwa: stała armję, uporządkowaną finansowość i administrację, umożliwiającą Francji spełnienie swego przeznaczenia w nowoczesnej Europie. Czyż można jednak zapomnieć w zupełności o tem, że pierwszym warunkiem tego zadania, podjętego po strasznych, stuletnich przewrotach, które zamieniły znaczną część opustoszałego kraju w bory i puszcze, była odbudowa życia po wsiach? Biedni „pracownicy ręczni”, pracujący bez pługa, odważni i przywiązani do żywicielki ziemi, dostarczyli ci wieśniacy francuscy, mimo swego niedostatku, sami jedni skarbowi królewskiemu środków pieniężnych, bez których królowie wieku XV-go nie byliby mogli dokonać dzieła zjednoczenia ziem francuskich, przynoszącego im taki zaszczyt. Trud ten nieznany, ano-

· nimowy, odbudował Francję, podobnie jak i nieraz w przeszłości, Francję Ile - de - France i Normandji, odebranych Anglikom, Burgundji, Dauphiné, Anjou, Maine i Prowancji. Królowie, dla których od czasu Joanny d'Arc, Francuzi ponosili z pełną świadomością wszelkie ofiary, mieli wzamian za to tę zasługę, że nie roztrwonili ich, tak jak ich poprzednicy lub książęta burgundzcy, ich rywale, na zbytki, zabawy i przepych rycerskich dworów, lecz użyli ich z korzyścią dla swej polityki i swego miecza. Mimo wszystko pracowali oni może jeszcze bardziej dla celów osobistych, w interesie swych terytorjów, swej powagi i swych ambicyj, niż ze stałym zamiarem istotnego dokonania wielkiego dzieła narodowego, którego nie mogli zrozumieć w oderwaniu od swej władzy monarchicznej. „Ówczesną Francją”, pisał Lavissee, „był właściwie król i w jego istniała ona osobie, uzmysławiającej ją swą postacią i swą krwią uprzywilejowaną, potężniejszemi niż kiedykolwiek od czasu wojny, po uprzątnięciu szlachty, zrujnowaniu jednostek komunalnych i osłabieniu wszelkiego oporu”.

Sny o potęgę W celu ukrócenia potęgi burgundzkiej,
Kapetyngów myślał Karol VII, poczynawszy od r. 1444, o rozszerzeniu Francji aż po Ren, o odzyskaniu ziem, posiadłości i miast po tej stronie rzeki, stanowiącej niegdyś granice rzymskiej Galji a „zagarniętych z uszczupleniem praw jego królestwa i korony francuskiej”. Wysłał on swego syna, w towarzystwie de Brézé'a, wraz z uzbrojonemi bandami, z których chciał oczyścić swe państwo, na zdobycie Alzacji i Lotaryngji. Pragnął on utrzymać się w Metz'u, Toul

i Verdun. Przeszkodził mu w tem Filip Dobry, latorośl dynastji Kapetyngów, głowa państwa burgundzkiego, państwa o królewskim niemal splendorze, które wraz z bujną Flandrją i żyzną Burgundją, powstało w Lotaryngji, wahającej się od wieków między Francją a Germanją, państwa najsilniejszego może, a w każdym razie najwspanialszego i najświetniejszego ze wszystkich państw w. XV-go. Pożądając Burgundji, potykali się o nią, Ludwik XI i Ludwik XII, aż do chwili, kiedy Niderlandy i hrabstwo Burgundzkie przypadły wraz z córką Karola Śmiałego domowi austriackiemu, a przez wnuka tego władcy, Hiszpanji, by utworzyć największe państwo nowoczesnej Europy, równie groźne przez swą potęgę dla Niemiec, jak i niebezpieczne dla Francji.

Począwszy od schyłku w. XV, Kapetyngowie, poszukując sojuszników, zawierając małżeństwa i szafując hojnie złotem, weszli na drogę ambitnych planów, posuwając się aż do walki o tron cesarski i władanie Europą, toczonej między Franciszkiem I a Karolem V, która wypełniła następne wieki. Marzenia o wielkości podsycali w nich ich własni słudzy, jak np. Georges d'Amboise, dla ambicji własnej, czy też w chęci zdobycia rzymskiej tjary. Francja, jako taka, odgrywała w polityce zagranicznej tych królów, niewątpliwie małą rolę, skoro niejednokrotnie omal że nie dali sobie odebrać Burgundję i pozwalali na wymknięcie się im Bretanji. Trzeba jednak przyznać, że w interesie tej polityki, potrafili oni stworzyć z korzyścią dla narodu, porządek, oparty na sprawiedliwości i prawie, różniący się tak bardzo od owych kłótni i gwałtów,

przez które naród wycierpiał tyle ze strony władców lub książąt feodalnych. To też wdzięcznym im był ten naród za umożliwienie mu spokojnego życia, przynajmniej wewnątrz swych granic. Długo jednak musiał jeszcze znosić z rezygnacją ciężar monarchji, okrytej chwałą a zawsze zadłużonej, wspierać, skandaliczne nieraz, fortuny ministrów i bankierów. Taką to ceną okupywali zawsze ci biedacy dobrodziejstwa absolutyzmu.

Zbytecznem byłoby jednak stawiać monarchji francuskiej owych czasów zarzut nadużycia władzy wobec swych poddanych, w epoce, opanowanej ideałami politycznymi renesansu, kiedy to, w oparciu o rzymską zasadę suwerenności władzy, powstawały także i w Anglii, w Hiszpanji i w Niemczech, państwa, które, istniejąc obok siebie bez żadnej hierarchji, przy swych nieposkromionych apetytach i roszczeniach, przy braku jakiegoś wspólnego arbitra, czyniły wojnę na równinach Italji i Flandrji, stanem niemal normalnym Europy.

Wojny w Italji i w Niemczech Czyż można wogóle dziwić się, że Italja, rozdrobniona a bogata, odwracała, począwszy od Karola VIII, uwagę królów francuskich od granic starej Galji, a wyprawy ich na tę odwieczną ziemię Imperjum obudziły w nich sny o cesarstwie, które wyczerpały władców niemieckich. Z kolei narażali więc i oni solidny majątek przodków, odwieczny dobytek narodu, którego rady żądali tylko pro forma, nie rozumiejąc jego woli. Naród zaś nie sprzeciwiał się, lecz nauczony przeszłością, miał się na baczności.

Choćby królowie i ich rycerze, nawet najgodniejsi z nich, jak Bayard, zapominali między Medjolanem a Neapolem, po tamtej stronie Alp, u wybrzeży śródziemnomorskich, o swym pięknym kraju, stworzonym przez przodków, a zagrożonym z północy i ze wschodu przez niemieckich rajtarów i walońskie bandy, Francuzi czuwają nad nim, chwycą za broń i „rzuca się, — jak mówi Rabelais w swym prologu do trzeciej księgi Pantagruela, — ku granicom państwa. Będąc zmuszonym do pozostania na tyłach, wśród ludzi których praca nie zasługuje na zaszczyty, zbyt niezdarnym i niedołężnym, by być wciągniętym w szeregi zaczepne, był on zdala od niebezpieczeństwa, lecz nie wolny od troski, i patrzył, jak w całym tem chlubnym królestwie Francji, każdy dziś bezustannie ćwiczy się i krząta, częścią koło obwarowywania i obrony ojczyzny, częścią dając odpór nieprzyjaciołom lub zaczepiając ich, a wszystko w tak pięknym statku, w tak cudownym ordynku i z tak oczywistą korzyścią na przyszłość. Odtąd bowiem Francja będzie ubezpieczona wspaniałemi granicami!” *). Z pod pióra Rabelais’go, toczącego swą Diogenesową beczkę, równie dobrze, jak i z wezwania Joanny, wcześniejszego o lat sto, tak różnych w swem natchnieniu i tonie, usłyszymy odtąd zawsze, na ustach francuskich, to słowo ojczyzna, w chwilach przełomowych, kiedy zawiodą rządy. Głos to narodowego sumienia: „Dzięki własnym siłom zapewnią sobie Francuzi spokój”. Prości wieśniacy, których świętą stała się Joanna d’Arc, czy też uczeni pisarze i myśliciele, mieszczenie i poeci, wszyscy oni,

*) Tłum. Boya - Żeleńskiego.

ten naród cały, pozostawiają cześć sukcesy politykom. Odtąd powstaje ta wielka rezerwa, gotowa zawsze do obrony wspólnej ojcowizny, uświęconej wiarą, chwałą i pracą przodków.

Niebezpieczeństwo hiszpańskie w w. XVI. W r. 1549 nie chodziło już tylko o Anglików, tak, jak w 1429, odpędzonych z powrotem na swą wyspę i po wzięciu Boulogne, uciepionych o Calais, które mieli również wkrótce utracić. Podobnie, jak w epoce Bouvines, a nawet i za dawniejszych wieków swej historii, musieli teraz Francuzi bronić swej ojczyzny na północy i na wschodzie, zarówno w Meaux, jak i w Amiens, bronić od żołnierzy Karola V i Filipa II, nasyłanych z Hiszpanji, dokąd napływało amerykańskie złoto, opłacając tych najemników wszelkiej narodowości, flamandów, Niemców, Hiszpanów i Włochów. Musieli stawiać czoło groźbom, pochodzącym z Brukseli, Wiednia i Madrytu, od Habsburgów, uganiających się za posagami i spadkami, gromadzących posiadłości i królestwa, zarządzających czujnie swymi dobrami, posługujących się statystami i wodzami, rekrutowanymi, tak, jak i ich wojska, po całej Europie, ucywilizowanej pod wpływem renesansu a powiększonej ich świeżo nabytymi posiadłościami, od Ameryki aż po najdalszy Wschód. Potężny pierścień, stworzony dookoła granic francuskich, a przełamany częściowo oporem Franciszka de Guise i zdobyciem trzech biskupstw: Metz'u, Toul'u i Verdun, „tego niezdobytego” wału Pikardji i Szampanji”, zacieśnił się na nowo pod naporem Filipa II. Ten władca Hiszpanji, powodowany śmiałością dążeniem do hegemonji, podsycanem

prowadzoną przezeń polityką katolicką, zapragnął w pewnym momencie, podobnie jak i Plantageneci, narzucić Francji córkę swego domu; dynastję powolną prawom obcym. Nie można zapominać o tem nowem, wielkiem niebezpieczeństwie wieku XVI-go, podobnem do tamtego, które udało się usunąć w w. XV owej dobrej córce Lotaryngji, jeśli chce się zrozumieć w jaki sposób powstała owa tradycja, i tym razem narodowa, zawziętej walki z domem hiszpańskim Austrii, uporczywej dążności do poniżenia za wszelką cenę Habsburgów, która to tradycja pozostała na całe przyszłe wieki zasadą polityki i jednomyślnem pragnieniem całego narodu. Tłómaczy ją dostatecznie oblężenie Metz w 1552, Amiens w 1597, zagrożenie Corbie w 1636 i Alzacji w 1675, Malplaquet i Denain, Hondshoote i Valmy, wieczne zagrożenie granic na północy i wschodzie oraz walka o sam byt ziem francuskich.

Spory religijne i domowe Gdy zaś, w drugiej połowie w. XVI wybuchły na tej ziemi jeszcze i wojny domowe, zdawało się, według słów weneccjanina Giustinianie'go, że „Francuzi porywają się do gwałtów, nie przeciw komu innemu, jak sobie samym i swym własnym rządóm”. Namiętności religijne, rozpętane reformacją i kontrreformacją, ambicje wielkich panów, podsycane przez Niemcy, Anglję i Madryt, różne Ligi oraz bunt Paryża przeciw swym królom, podżegane przez obcych, konspiracje, do których mogła pozornie uprawniać obywateli obrona wiary, wszystko to rozbijało Francję i doprowadzało ją raz jeszcze do ruiny. „Gdyby ktoś przespał lat czterdzieści”, pisał

Etienne Pasquier, „mogłoby mu się zdawać po wojnach religijnych, że widzi nie Francję, lecz jej trupa”. O te niszczące gwałty, o to puszczanie w niepamięć obowiązków wobec ojczyzny nie można jednak obwiniać całego ludu, uwiedzionego przez swych przywódców i ich knowania. Było to najczęściej dziełem szlachty, rozmiłowanej w twardych zawodach, polowaniach i bohaterskich przedsięwzięciach, oraz w zbytkach, do których środki zdobywała ostrzem swego miecza, szlachty znajdującej się w potrzebie, w miarę jak pograżała się w ruinę, powodowanej pozatem namiętnościami religijnymi, podsycanymi przez duchownych, mnichów lub fanatycznych pastorów. Na dnie tego zamięłowania do walk i gwałtów tkwiły dawne pojęcia czy też przyzwyczajenia, że wolno służyć każdemu panu i porzucać jednego dla drugiego, byleby się im służyło dobrze, a nawet z bohaterstwem, że można dorabiać się własnej fortuny pomagając swym panom do jej zdobycia i przysparzając największym z nich, zapomocą oddanych im klanów, odpowiedniej władzy: takim Guise’om, Châtillon’om, Kondeuszom, Montmorency, Mayenne i Joyeuse, francuzom, sabaudeczykom i lotaryngom. Szlachta ta nie była przedstawicielką owej Francji, łaknącej pokoju wewnętrznego, z rozkazu króla, pokoju dla sumień i pokoju u swych granic. By pokój ten zdobyć, poszuka sobie naród, zrywając się do nowego odrodzenia, odpowiednich przywódców oraz króla, który według słów autora *Couronnement Lois* był „roztroptym i dzielnym” i którego „koronacja nie była błędem”, znajdzie go w r. 1594, w osobie Henryka z Nawary.

IV.

WIELKA EPOKA BURBONÓW, WIEK XVII WE FRANCJI.

Henryk z Nawary bije się za Francję. — Rozumne rządy Bearnńczyka. — Monarchja francuskiego odrodzenia w w. XVII. — Jedność francuska i ojczyzna. — Porządek mieszczański i królewski. — Nauki i Kościół z początkiem w. XVII. — Krytyczny okres małoletności. — Richelieu i Ludwik XIII. — Mazarin i Fronda. — Blask i nędza Francji. — Ustalenie granic. — Hegemonja francuska. — Colbert i administracja mieszczańska. — Jedność monarchiczna w Wersalu.

THE HISTORY OF THE UNITED STATES

FROM THE FIRST SETTLEMENTS TO THE PRESENT TIME
BY
JOHN F. JOHNSON
NEW YORK: PUBLISHED BY J. JOHNSON, 15 NASSAU ST. N.Y.
1854

Twórca nowej, a zarazem i ostatniej dynastji Kapetyngów, wyświęcony został przez biskupów francuskich świętym olejem i chryzmatem dn. 27 lutego 1594, w Chartres, zamiast niedostępnego wówczas Reims, w obliczu zamkniętych bram zbuntowanej stolicy. Dotknąwszy tego samego dnia sześciuset skrofulicznych, wszedł ten potomek św. Ludwika w długi poczet królów, wszedł za zgodą Kościoła narodowego, dzięki przywiązaniu do monarchji, puszczałemu w niepamięć jego wychowanie i reformacyjną przeszłość.

Henryk z Nawary bije się za Francję Szczęśliwa ta karjera, z której skorzystali jego burbońscy wnucy, przypomina żywo sławny wiersz Voltaire'a: „pierwszym, który został królem, był żołnierz szczęśliwy”. Henryk IV nie był wprawdzie pierwszym królem swego, od tak dawna, monarchicznie usposobionego narodu, dopisało mu jednak szczęście w tem, że zwyciężył i zdobył swą koronę. Wyraził on to sam, pytając swego kanclerza: „Czyż mogę uwierzyć, podług ciebie, że istotnie jestem tem, czem jestem: panem Francji, i wreszcie także i Paryża?” Był on przedewszystkiem żołnierzem. Ten Gaskończyk, zdradzający dobrą rasę

swą wysoką postawą, blaskiem oczu i rozmachem w walce, był jednym z wielkich wojowników swej epoki, a zaczął wojować mając lat piętnaście. Zostawszy przywódcą stronnictwa, kiedy miał lat szesnastie, wiódł do licznych bojów swych towarzyszy, garnących się do jego białego pióropusza, kompanów tego samego co i on typu, z którymi był na ty, których zagrzewał i raczył przyjacielskim słowem, którym dochowywał braterstwa broni, nadając im różne przezwiska: jakoto jednookiego (Harambourg), kosiarza (Batz), tłustej krowy (Souvré), dobrego chłopca (de Batz). Ostrzem miecza odzyskał Henryk swą ojcowiznę od cudzoziemców i buntowników. Dziwny to był król, pozbawiony zupełnie, przed koronacją, wyglądu króla, w dziurawym kubraku i wychodzonych butach, z kieszenią zazwyczaj próżną, o ile Sully nie porobił oszczędności własnych lub dla swego pana, któremu często dostarczał potrzebnych środków, nie szczędząc zresztą wymówek. Lud nie zapominał nigdy tego Bearneńczyka, tak francuskiego w typie, pierwszego wśród rycerzy, żołnierza i wodza. Wybacział mu wszystkie słabostki, jurną galanterję i inne wybryki, czując dlań wdzięczność za to przede wszystkim, że „tak dobrze bił się za Francję”, (wyrażenie to pochodzi od samego króla), że wypędził z Paryża i z całego państwa hiszpańskie załogi, że pokonał różne Ligi i poskromił fanatyków. Dokoła postaci tego dzielnego, nieustraszonego i stanowczego króla, walczącego w obronie ludu, wyniszczonego przez partyjnictwo i przez obcych, utworzyła się legenda, najpierw w uczuciowej wyobraźni Sully'ego,

potem pod wpływem sentymentalnej często filozofji wieku XVIII-go, legenda, przedstawiająca go jako pierwowzór monarchy demokratycznego, czuwającego troskliwie nad swym ludem, pilnującego by miał on „w niedzielę w garnku swą kurę”. Legenda ta, tak droga wszystkim Francuzom, nie byłaby powstała dokoła Henryka, gdyby nie był on okazał gotowości służenia całą swą zręcznością i bohaterstwem silnemu postanowieniu ówczesnej Francji wyleczenia się z długiej, niemal śmiertelnej choroby, gdyby Francji było zabrakło tego jasno określonego i stanowczego postanowienia, tego patriotyzmu, oświeconego nadmiarem nieszcześć.

Rozumne rządy By to osądzić, wystarczy zestawić naj-
Bearneńczyka słynniejsze czyny zbrojne Henryka IV, pod Ivry lub pod Arques, ze słowami, zawartymi w jego własnych listach. To już nie legenda, lecz prawdziwe używanie, wywołujące czasem, co prawda, i zdumienie, odczytywać te jego powiedzenia prosto z mostu, te kartki kreślone naprędce w przededniu bitew, w chwilach wypoczynku lub wywnętrzania się przed przyjaciółmi, królową lub kochankami. Jasność i bezpośredniość tej żywej inteligencji, jej trafność oraz zgodność czynu ze słowem, wywołujące jakby z instynktownego natchnienia rozsądku czy też najwyższej mądrości, zachwycają każdego, tak jak zachwycały już współczesnych. W powiedzeniach jego wiele jest bezwątpienia cynizmu i zbyt dużo galanterji. Są jednak między niemi i bardzo głębokie, jak np. to, które zdawało się odpowiadać przekonaniu całej-

go narodu: „Francja upiła się bitwami i kłótniami. Czas już zabrać się do pracy”. Czy słowa te nie obejmują w sobie całej żmudnej przeszłości powstawania Francji, całej przyszłości, do której dążyła? Albo ta groźba wobec tych, którzy przeszkadzali mu w pracy, wobec zaciętych zwolenników walk domowych i wspólników cudzoziemców: „Widzę, że w brzuchu waszym siedzi jeszcze Hiszpan. Wyrzucę go stamtąd. Musicie mnie słuchać”.

Przez swe zwycięstwo stał się wreszcie władcą, prawdziwym władcą państwa, umiejącym rządzić, tak, jak Francuzi chcieli być rządzonymi, na podstawie wymiany usług i ofiar, na której polegało ich przywiązanie do monarchji. Żołnierz ten był królem, który przez żmudną walkę przyzwyczaił się rozkazywać z bliska, bezpośrednio, a dla zdobycia posłuchu umiał łączyć łaskawość i dobry humor, z powagą. Dla wytępienia „robaka, zagnieżdżonego w pięknym zerwanym przezeń owocu”, raz wymierzał ciosy, innym znów razem prowadził układy. Jeszcze większym, jeszcze bardziej francuskim i narodowym wydaje się on jednak dzięki sposobowi pojmowania władzy i rządów, który przejęli odeń jego poddani. W pełnej świadomości swej władzy i nie bez zazdrości o swą powagę, zdobytą z takim trudem, wyraził on raz tę myśl wobec d'Epernon'a, w tych pięknych słowach: „obawiam się najwięcej tego, by w sercach mych poddanych nie powstało wrażenie, że powoduję się czem innem, jak rozumem”.

Rozum wymagał, by po ośmdziesięcioletnich walkach, Francja zawarła pokój z Hiszpanją, choćby po

to tylko, by nabrać nieco tchu. Rozum podyktował i ustalił warunki pokoju w Vervins, przeprowadzonego między katolickimi potęgami przez papieża Klemensa VII, którego względy umiał odzyskać ten protestant a który go połączył węzłami ślubnymi z bogatymi Medyceuszami. Rozum wymagał, by Francuzi, jakimikolwiek były ich wierzenia, pogodzili się między sobą w obrębie swej ojczyzny: i oto powstaje edykt nantejski. Rozum doradzał też przyznanie zapomóg i pensyj, często dość znacznych, szlachcie, zrujnowanej wojnami domowymi, na to przedewszystkiem, by ją rozbroić. I Henryk powie swemu ministrowi skarbu: „Nie upieraj się przy zbytnej oszczędności. Kosztowałoby to nas o wiele więcej, gdyby ich trzeba było zyskiwać siłą”. Przemawia tu poprostu zdrowy rozum człowieka, który mając przez długi czas do czynienia z jaknajwiększymi trudnościami, bierze pod uwagę czynniki realne, nie przejmując się żadnym przesądem i uprzedzeniem, ani też urazą, człowieka wreszcie pozbawionego niemal zupełnie uporu, wykluczającego wszelki rozum.

Z drugiej znów strony jakiegoż rzeczownika znalazła Francja w tym władcy, jak on ją dobrze rozumiał, by ją móc tem lepiej przekonać! Trudno o piękniejsze przemówienie, jak to wygłoszone raz w parlamencie: „Dajcie na moją prośbę to, czego byście nie dali na groźby. Uczynicie tylko to, co wam polecam, a raczej to, o co was proszę. Uczynicie to nie tylko dla mnie, lecz dla was samych, dla dobra pokoju, dla dobra Francji, umęczonej wojnami”. Patrząc na Francję, odczuwał ją Henryk IV i stawiał ponad swych

poddanych, ponad siebie samego, podobnie jak i Sully, ten żołnierz - rycerz i finansista, z natury swej i zawodu niezbyt skłonny do sentymentalizmu, mający jednak zawsze na ustach te słowa: „biedna Francja, ta droga ojczyzna”. Obaj oni, król i minister, towarzysze broni i spółnicy, oswobodziwszy Francję zabrali się do leczenia jej przy pomocy rozumu „z chorób państwowych”, namiętności politycznych i religijnych. Francja uleczona zachowała na zawsze w swej pamięci dobrodziejstwo tych mądrych nauk; tak skutecznych i niemal serdecznych, ujętych przez Henryka IV w krótkim posłannictwie do księcia de Nevers, 21 listopada 1590, w sposób następujący: „Drogi kuzynie, polecono mi usilnie sprawę pana Bertolle, nie mniej ważną jest również sprawa jego stronników. Nie chcę powodować się przy tem ani memi własnymi uczuciami, ani też uczuciami zainteresowanych. Królowie są po to, by wymierzać sprawiedliwość, nie zaś, by zajmować się namiętnościami osób prywatnych. Osądź tę sprawę bez uprzedzenia. Niedługo udzielę ci nowin miłych zarówno dla ciebie, jak i dla wszystkich dobrych Francuzów”.

**Monarchja
francuskiego
odrodzenia
w w. XVII.**

Ojczyzna i dobrzy Francuzi, nad którymi należy czuwać i którymi trzeba rządzić, bez wszelkiej namiętności, rozumem tylko i sprawiedliwością, oto podstawy, na których wzniósł Henryk IV swe dzieło odbudowy monarchji. Dzięki wyparciu się przezeń reformacji i dzięki odbytej koronacji, monarchja ta związana była wprawdzie ściśle z monarchją królów bardzo

chrześcijańskich, była jednak monarchją nowoczesną, którą możnaby nazwać monarchją francuskiego Odrodzenia w w. XVII-tym.

Królewskie powiedzenia Bearneńczyka przywodzią, same przez się, na myśl słowa Montaigne'a: „sposób mówienia, który lubię, to mowa soczysta i nerwowa, krótka i zwięzła, nie tyle delikatna i wymuskana, co gwałtowna i brutalna, nie pedantyczna lecz żołnierska”. Jakaż zgodność w zapatrywaniach i w sposobie wyrażania się między tymi oboma Gaskończykami, królem i uczonym mieszczaninem; tym szlachcicem, któremu przypadło w udziale szczęście stać się wielkim władcą, by w imię rozumu zaprowadzać pokój i porządek, a urzędnikiem, filozofem i wielkim pisarzem, który pod pozorami epikurejskiego sceptycyzmu, ustalił na przeciąg całego wieku zasadę wyższości rozumu, niezbędnego przy poszukiwaniu tej samej dla wszystkich prawdy, niezbędnego też do ich szczęścia, przez stosowanie go w życiu praktycznym. Możnaby powiedzieć, że nauki, wyniesione z wojen domowych i takie same wychowanie wytworzyły między nimi ciche porozumienie, celem wprowadzenia w czyn zasad myślenia, postępowania i rządzenia, odpowiadających w zupełności na przeciąg dwóch wieków, potrzebom politycznym i umysłowym francuskiego społeczeństwa. Zasady te kształtowały się w całości na stosowaniu praktycznym dzieł starożytności, natchnionych mądrością grecką, na moralnych i politycznych wskazaniach Rzymu.

Twierdzono, że *Essais* stały się tym wielkim zbiornikiem, z którego płynął we Francji, począwszy

od końca w. XVI, duch klasyczności. Z drugiej strony, Etienne Pasquier, zaznacza, że „Henryk IV domagał się przy załatwianiu spraw państwowych absolutnego do siebie zaufania”, oraz większego jeszcze posłuchu niż jego poprzednicy, na wzór władców rzymskich, podobnie, jak jego następcy a nawet i Ludwik XIV. W obrębie monarchji, w ten sposób zorganizowanej, opartej przez Henryka IV na rozumie a przyjętej przez Montaigne’a i podobnych mu mieszczan, jako forma prawna odpowiadająca najlepiej ich rozważaniom, ich bezpieczeństwu i upodobaniom, doszło wówczas do mądrego porozumienia między narodem, dochodzącym ostatecznie do poczucia samego siebie a władzą królewską, przyjmującą na siebie jego obronę, kierownictwo polityki i troskę o jego wielkość. Zaufanie do monarchji, które przygotowywało to porozumienie poprzez przejścia wieków minionych, stało się rodzajem związku rodzinnego między poddanymi a panującym, odruchem serca, który również „miał swe rozumne przyczyny, nieznane rozumowi”. Zaufanie to doznało, na początku tego wieku, umocnienia przez teorię, stosowaną tym razem przez francuski rozum, w szkole wpływów starożytnych.

**Jedność
francuska
i ojczyzna** Charles Fontaine, jeden z pisarzy epoki Henryka II, zarzucał raz Du Bellay’owi, że wprowadził on podstępnie do języka starych Francuzów, słowo ojczyzna (patrie), „pojęcie italskie”, będące nowotworem językowym. „Kto posiada ziemię (païs)”, pisał on, „nie wie co począć

z ojczyzną (patrie)". Co prawda, nie powinno się było oskarżać o to Du Bellay'a, gdyż Jean Chartier, używał tego słowa już za czasów Dziewicy Orleańskiej. Jean Chartier był zaś uczonym, wyprzedzającym śmiało swą epokę, mówiącym do króla wieku XV o ojczyźnie, patriotach i obywatelach. Dzieje słowa, o pochodzeniu starożytnym, nadającego się tak dobrze do określenia ziemi przodków, już nie tylko pod materjalnym ale i moralnym względem, objaśniają doskonale historję narodu, w chwili, kiedy słowo to wejdzie na zawsze i dla wszystkich do jego języka. Jedność ziemi francuskiej i francuskich umysłów, rozdzierana wojnami domowymi i walkami z obcymi, wstrząsana ścieraniem się wierzeń i pożądań, została wreszcie przywrócona za panowania Henryka IV, i stała się odtąd jeszcze odporniejszą i doskonalszą. Stanowi ona, począwszy od w. XVII, ojczyznę, utożsamioną, co prawda, z dynastją burbońską, władającą jej ziemiami, lecz ojczyznę, w której Francuzi, wychowani na wzorach państwowości starożytnej, widzieli swe bezpieczeństwo i swój interes, w której pokładali swe zaufanie i swą dumę.

Tyczy się to zwłaszcza mieszczaństwa, które przez swe wychowanie, swe zajęcia, obyczaje i bogactwo, lepiej było przygotowane do zrozumienia i stosowania polityki, zapoczątkowanej przez pierwszego Burbona. Szlachta, zubożała wskutek wojen domowych, zaprzestała troszczyć się o swe posiadłości, stanowiące jedyne źródło jej bogactw, a pustoszone przez wojny. Straciła ona, począwszy od wieku XV, wszelkie znaczenie polityczne, odkąd poddawszy się królowi i jego

organom i zmuszona do składania mu hołdu, przyjęła, z rezygnacją dobrowolną czy też przymusową, zamiar swych lenn i państewek na królewskie nadania. Zbytek, uprawiany przez szlachtę i przez dwór królewski wzbogacił znów tych wszystkich, którzy go zaspakajali handlem i przemysłem, a więc kupców i rękodzielników, importerów i wytwórców sukien, sprzętów i cennych a rzadkich kosztowności. Przyływ do Europy pieniądza z Nowego Świata zmniejszał równocześnie jego wartość, podnosił koszt życia, rozwijał, kosztem majątków ziemskich, własność ruchomą, znajdującą się wyłącznie w rękach mieszczan, którzy stwarzali ją i używali do wykupowania od szlachty ziemi a od króla urzędów, godności miejskich, funkcji sędziowskich, skarbowych lub rządowych. Jeśli w państwie istnieje wogóle stan trzeci, poza szlachtą i duchowieństwem, niższy co do poszanowania i godności, stan trzeci, który nie będąc całym narodem, dąży jednak również do szlachectwa, wówczas staje się on coraz bardziej podstawą zasadniczą, na której spoczywa cała administracja państwowa, wobec zapotrzebowania ludzi wykształconych, nawykłych do pracy, doświadczonych w niej i znających jej metody. Mieszczaństwo to, składające się z sekretarzy stanu, parlamentarzystów, doradców, poborców podatkowych, wyposażonych przez władzę królewską, w braku środków finansowych, w dziedziczne posiadanie swych urzędów, posunie się później, w miarę oddawanych przez się usług i gromadzonych bogactw, aż do domagania się władzy dla siebie, w imię narodu, którego przedstawicielem nigdy przecież nie było.

Początkowo jednak, zwłaszcza od wieku XVI, było to mieszczaństwo dla władzy królewskiej najdoskonalszym narzędziem, jakie tylko można było znaleźć, do dokonania najważniejszego jej zadania, a mianowicie do ustalenia monarchji na podstawach absolutyzmu. Przede wszystkim dostarczyło ono, począwszy od Michała de l'Hôpital, całych zastępów polityków, urzędników i adwokatów, posiadających umysłowość, ukształtowaną rozumem, smutną moralnością swej epoki i naukami, zaczerpniętymi z literatury starożytnej. Poza tem zaś umożliwiło ono Henrykowi IV pokonanie mieszczaństwa ligowego w Paryżu i na prowincji. Służyło mu zaś wiernie, nauczwszy się tego już za Henryka III, służyło swą radą i wypełnianiem poruczonych sobie misyj, żeby wymienić takiego Villeroy, Phélypeaux lub prezydenta Jeannin'a. Nagrodę za to otrzymywało ono w zaszczytach i trwałych korzyściach. Między mieszczaństwem a panującym następuje odąd zespolenie wysiłków i władzy, jakgdyby wspólne objęcie w posiadanie tej nowej monarchji, w której zagnieżdżają się wraz z swemi rodzinami przedstawiciele prawa i urzędów, urzędnicy skarbowi lub sędziowscy, doradcy króla. Na służbie dynastji burbońskiej, wytworzyło mieszczaństwo swe własne dynastje administracyjne, parlamentarne, a nawet i ministerjalne. Szlachta, usuwana powoli na bok, ograniczana do zyskownych dostojęństw na dworze lub na prowincji, mściła się za to wydziedziczenie wzgardą, wyśmiewała Burbonów, „rządzących piórem”, jak się wyrazi Saint - Simon.

Porządek w państwie, naruszany ustawicznie sporami panów wielkich i małych, aż do okresu po Frondzie, która podźwignęła i obroniła przed nimi mieszczaństwo, wyszedł mu na dobre. Potrafiło ono uporządkować zyskownie i zabezpieczyć równie dobrze interesy własne, jak i królewskie. Potrafiło ono w w. XVII zarządzać świetnie majątkiem państwowym, według tych samych zasad, co i własnym, nie odróżniając zresztą jednego do drugiego. Spowodowało ono w ten sposób, że ta forma rządu, korzystna dla rozwoju absolutyzmu i władzy królewskiej, wydała się Francuzom jedynie możliwą. Nie było potrzeba ani konstytucyj pisanych, ani ciał doradczych, czy też zgromadzeń, żadnych Stanów generalnych, czy prowincjonalnych, stanowiących źródło zamieszania i kłótni. Wystarczało, że władca, którym kierowali i któremu służyli, zapewniał jedność państwową, umacniał ją i ubezpieczał, zapewniając swym poddanych nienaruszalność ich interesów, pokój domowy, swobodę sumienia, a nawet i rozrywki, odpowiadające ich zamiłowaniom literackim i artystycznym.

Budżet tej spółki, nie wystarczający nigdy na przepych i wydatki wojskowe dworu, na wydatki arystokracji, która z tego dworu żyła, wreszcie mieszczaństwa, wzbogaconego na służbie królewskiej, był bardzo wielkim ciężarem dla ludu, który dźwigał go sam jeden w ciągu dwóch wieków. Lud ten opłacał ciężką pracą koszty nieuporządkowanych finansów, o których Richelieu mógł powiedzieć, że „stanowiły, nie bez pożytku, część porządku państwowego”. O ile tylko mógł, uchylał się ten lud przez częste bunty,

od okrutnych często wymogów królewskiego skarbu i jego urzędników, pokładając mimo wszystko zaufanie we władzy, którą uważał za jedynie zdolną do zabezpieczenia pokoju na granicy i wewnątrz kraju, we władzy króla sprawiedliwego i silnego.

Ta nowa monarchja odpowiadała naogół, w wieku rozpoczętym przez Henryka IV, życzeniom społeczeństwa francuskiego, zmyślonego dzięki wojnom domowym, społeczeństwa, które powróciło do pracy po miastach i wsiach, oświecone nowem światłem co do swej przeszłości i przyszłości.

Nauki i kościół W tej samej epoce zmysł praktyczności, na początku rozsadku, zmysł mieszczański zawładnął XVII w. również i literaturą, która za przykładem sztuki, oderwała się od Wieków Średnich, by związać się ze Starożytnością. Zamiłowanie porządku zaprowadziło architekturę do porządku greckiego i rzymskiego, do Witruwjusza, poezję od Ronsarda do Malherbe'a, a prozę francuską od Montaigne'a do Balzaka.

Kościół katolicki, który z trudem tylko pogodził się z rozpadnięciem się królestwa bardzo chrześcijańskiego na dwa, rywalizujące z sobą wierzenia, teraz za króla, dawnego protestanta, który uspokoił go przez porozumienie się z papieżem i ponowne przywołanie Jezuitów, doznał odnowienia przez reformę intelektualną pod znakiem wielkich nazwisk Duperron'a i Franciszka Salezego; odnalazł on tu swą mądrość i wymowę. Rozum zapanował i w dziedzinie wiary.

„Zawładnął on ideją chrześcijańską”, jak pisał niedawno jeden z dostojników Kościoła francuskiego, dostarczył jej nowej siły przekonywującej i nowego rozmachu, charakterystycznych dla tej epoki i tej monarchji, która, dzięki argumentacji, zaczerpniętej z ducha czasu, i dzięki swym znakomitym sługom, pozostała i nadal, podobnie jak i w przeszłości, najbardziej chrześcijańską z wszystkich monarchij, władzą uznawaną i szanowaną przez współczesnych, jako pochodzącą od Boga. Pierwszego ministra, protestanta Sully, któremu zaufał Henryk IV, zastąpił jego spadkobiercy kardynałami, książętami Kościoła, by wraz z ojcem Józefem i ojcem de Berulle, kierowali wewnętrznymi i zewnętrznymi sprawami królestwa.

Któżby to był przypuścić wówczas, kiedy król Nawary w pełni wojen wewnętrznych i zewnętrznych, zawładnął państwem, by oswobodzić je i odbudować, kiedy papież kazał temu heretyckiemu władcy czekać na wybaczenie jego kacerskiej przeszłości! Nie byłoby to wystarczało, że mógł powiedzieć o sobie, chwając się w Bordeaux, przed parlamentem, w 1606, że „jest wielkim królem, dobrym żołnierzem i wielkim mężem stanu”, gdyby jego dzieło, którego dokonanie było bezwątpienia jego własną zasługą, nie było znalazło poparcia wszystkich duchownych, urzędników, prawników i pisarzy francuskich, pozyskanych dla celów tej polityki a opierających się na tradycjach pracy i wiary, zasobach ducha i sztuki rządzenia, nagromadzonych przez naród w służbie własnej i cywilizacji.

**Krytyczny
okres
małoletności**

Dwukrotna małoletność następców, która po Henryku IV i po śmierci jego syna Ludwika XIII, utrzymywała, za każdym razem, przez lat dziesięć, w zawieszeniu władzę królewską, wystawiając ponownie państwo na walki stronnictw, przedsięwzięcia wielmożów i książąt krwi, a nawet w pewnej chwili i parlamentu, wykazała dostatecznie, że dzieło odbudowy i organizacji monarchicznej, dokonane przez założyciela dynastji, nie było dziełem jednego tylko człowieka, choćby nawet tak wielkiego, tak mądrego i tak szczęśliwego, jak Henryk IV. Dzieło to przetrwało dzięki woli narodu: na początku niepokoїв, wybuchłych po zamachu Ravallac'a, lud, przeklinając mordercę i opłakując dobrego króla, nie myślał wcale o „ruszaniu się”, ani też po śmierci Ludwika XIII, gdyby zła administracja i wojny, trwające zbyt długo, nie były wywołały Frondy, w Paryżu i na prowincji. Król i naród byli, mimo tych przeszkód, związani z sobą tak silnie, że absolutna władza panującego wydawała się Francuzom warunkiem pokoju i szczęścia, najpewniejszym zabezpieczeniem ich losu. Kiedy zaś władza ta dostała się dwukrotnie w ręce dzieci, lub niewiast, niezdolnych do jej dzierżenia, znajdował tron królewski, nie zachwiany niczem, w niektórych ministrach ludzi potrzebnych nie tylko do zwalczania stronnictw, utrzymania jedności moralnej i materialnej państwa, oraz kontynuowania misji, powierzonej mu z całym zaufaniem przez naród, lecz także ludzi zdatnych do dalszego powiększania potęgi królewskiej i przygotowania na jej chwałę, swemi radami i swym geniuszem,

rozkwitu wielkiej epoki politycznej, artystycznej i chrześcijańskiej. Po upływie regencji Marji Medycejskiej i za jej trwania miała Francja Richelieugo, po Annie Austrjaczce i za jej czasów, Mazarin'a.

Richelieu Żeby ocenić należycie pierwszego z tych
i Ludwik XIII kardynałów i zgłębić umysł, który kierował ambitnie jego zamierzeniami, wystarczy udzielić głosu jemu samemu i posłuchać, gdy mówi, że „on kardynał i książę Kościoła ślubował sobie przede wszystkim być dobrym Francuzem”. Ten sam zaś zdrowy rozsądek, który natchnął Henryka IV do edyktu nantejskiego, ograniczonego amnestją z Alais w 1629 do celów religijnych, lecz zatwierdzonego lojalnie na korzyść swobody wiary, każe mu dodać: „Choć dzieli nas wiara, jesteśmy zjednoczeni w osobie jedyne go władcy, w którego służbie żaden katolik nie jest tak zaślepiony, by w sprawach państwowych uważał Hiszpana za lepszego od Francuza hugenoty”. Oto głos rozumu, jedyna zasada zarówno Richelieu'-go, jak i Henryka IV. Jako główny doradca władcy, rosnąc z każdym dniem w potęgę, sformułował kardynał i stosował praktycznie dla zapewnienia państwu pomyślności pod panowaniem władcy i dla jego chwały, owe zasady racji stanu, potępione przez Guy Patin'a, i przedstawione potomności jako krwawa często tyranja, od której cierpiał zarówno naród, jak i król, stawszy się rzekomo niewolnikiem swego ministra. Kardynał uzasadniał zasady te, w swym politycznym testamencie, tłumacząc ich surowość tem, „że wielcy panowie, gubernatorowie prowincyj oraz zrzeszenia

dygnitarzy i urzędników posuwały się przy swych poczynaniach, w swej rozpełtanej fantazji i zuchwalstwie, daleko poza granice rozumu”.

Naraziwszy naprzód swój własny majątek w służbie Marji Medycejskiej, potrafił Richelieu, przez zręczne pojednanie Ludwika XIII z matką, przypodobać się a następnie stać się niezbędnym temu władcy podejrzliwemu i smutnemu, świadomemu swych obowiązków, lecz nieumiejącemu udźwignąć ich ciężaru. Richelieu wziął ten ciężar na siebie, podczas gdy Ludwik XIII darzył go wiernie swą przyjaźnią, szukając u niego uczucia, którego nie znalazł u swoich. Na takich to podstawach opierała się, na ogół, władza, która nie miała innego zadania, jak poskromienie śmiałków i buntowników, i zmuszenie ich do posłuszeństwa. O tę władzę i o powagę króla walczyć musiał bez przerwy Richelieu z intrygami dworskimi, podsycanemi przez rodzinę królewską, z niesforą szlachtą, z protestantami, z którymi bił się jak żołnierz pod La Rochelle, z organizacjami politycznemi i sędziowskimi. Wszelkie nieposłuszeństwo było w jego oczach zbrodnią stanu, zasługującą na jaknaj-surowsze kary. Pod takimi rządami, często twardymi, kształtowała się ostatecznie jedność francuska, którą naród uważał za niezbędną, w którą wierzył jak w dogmat. Czyż naród ten mógł zapomnieć o tylu niebezpieczeństwach i nędzy, na jakie narażały go, w wiekach ubiegłych i tak niedawno jeszcze, wewnętrzne rozterki, niezgoda władców, feodalne rozdrobnienie, bezczelność i chciwość wielmożów, nienawiść jednej prowincji do drugiej, jednego miasta do drugiego,

a wreszcie wojny domowe, tak korzystne dla zakusów sąsiadów? Wdzięcznym był temu, kto na te niedomagania państwowe dawał mu lekarstwo, choćby najbardziej gwałtowne, kto głosił jedność w imieniu rozumu i króla, kto w razie potrzeby umiał go do niej zmusić.

Ze śmiercią Richelieu'go dzieło to nie było jeszcze dokonaniem, pozostało ono jeszcze kruchem, zwłaszcza gdy zaszła nowa małoletność, po równoczesnym niemal zgonie Ludwika XIII. Mimo, że Francuzi odczuwali, naogół, dobrodziejstwo takiego stanu rzeczy, liczne jeszcze były jednostki lub zrzeszenia, czy też jak je nazywano „kompanje”, które uważały zastosowane lekarstwo za gorsze od samego zła i za szkodliwe dla swych praw lub interesów. Richelieu nie myślał nigdy o całkowitem zniesieniu lokalnych czynników władzy, jakie się wytworzyły na ziemi francuskiej, w ciągu wieków, jak parlamenty i trybunały sprawiedliwości, Stany lub rządy prowincjonalne czy miejskie, czy też urzędy skarbowe; nie myślał też o zastąpieniu ich nową organizacją administracyjną. Nie odpowiadało to zwyczajom władzy królewskiej i jej sług, nie leżało też w planach kardynała, niezbyt skłonnego do zajmowania się wewnętrzną administracją. Czuwał on tylko nad uroszczeniami tych władz miejscowych w stosunku do władzy królewskiej; baczył pilnie na ich wybryki, jak je nazywał, i ukrócał je zapomocą urzędników bardziej zależnych od króla, a wyposażonych przezeń w pełnomocnictwa, podlegające odwołaniu, zamiast kupnych i dziedzicznych urzędów, zapomocą intendentów delegowanych do nadzorczych ciał finansowych. Władza tych urzędników rozciągać się

miała, w następstwie tego, na mocy ścisłego porozumienia z władzą centralną, na całe królestwo. Zostali oni zaprowadzeni dopiero za czasów Richelieu'go, by stać się najważniejszymi narzędziami centralizacji i monarchicznego absolutyzmu. Kiedy umarł, instytucja ta nie była jeszcze dość silna, by nie wywołać, obok Frondy, ogólnego buntu czynników dotkniętych nią lub zagrożonych w swych interesach, buntu, niebezpiecznego dla władzy królewskiej.

Mazarin Drugi kardynał, którego Richelieu przekazał wdowie po Ludwiku XIII i w braku ojca Józefa, wyznaczył swym następcą, Mazarin, Włoch, który przeszedł ze służby papieskiej na francuską, zawdzięczając jej kapelusz kardynalski, nie był zupełnie do niego podobny. Było w nim bardzo mało z duchownego a nad okazje wykazywania stanowczości i odwagi, przynosił zastanowienie i metody uczonego. Służył on państwu i tronowi w okresie przełomowym, który wzbudził u Ludwika XIV na całe życie żal do parlamentów, do Paryżan, do swego kuzyna Kondeusza. Służył on przy pomocy innych środków, lecz równie wiernie. Ten adoptowany Francuz posiadał bardzo bystre i trafne zrozumienie tego, czego domagała się zbuntowana Francja, nie od swego króla lecz od pierwszego ministra, cudzoziemca, nie od monarchji jako takiej, lecz od monarchji intendentów. Umiął on usunąć się od niej dostatecznie, na to, by doń sama powróciła; ufał chwili „korzystnej dla tego gentiluoma”, która w ciągu kilku lat zrobiła go potężniejszym w Paryżu, od „Boga Ojca”. By załatwić się z in-

trygantami i intrygantkami, spółnikami i sprzymierzeńcami Hiszpanji, a dokonać tego przy pomocy swych komisarzy i intendentów, niezbędnych odtąd dla porządku w państwie, liczył Mazarin na zdrowy rozsądek i patrijotyzm mieszczan, na świadomość wewnętrznego niebezpieczeństwa u narodu, przerażonego i rychło znużonego anarchją i zgubnymi jej skutkami. Dowiódł tem swej zręczności, a naród swego rozumu. Czyż inaczej władza królewska byłaby się cieszyła, w chwili wstąpienia na tron Ludwika XIV, tak wielkiem zaufaniem poddanych, jakiego nie posiadała od śmierci Henryka IV, czyż mogłaby była rozporządzać nimi tak suwerennie, jakgdyby lud i monarcha stanowili odtąd na podstawie wzajemnego porozumienia i wspólnych interesów, jedną tylko duszę i jedno ciało? Po Frondzie i po wojnach domowych w. XVI dzieło to zostało dokonane przez „dobrych Francuzów”, możnaby nawet powiedzieć, przez wielkich Francuzów w. XVII.

Tych dwadzieścia lat zamieszek było epoką, w której genjusz francuski utwierdził się w całej pełni w swej wierze i zaufaniu do chrześcijaństwa, do monarchji, do rozumu i do ducha klasycznego, w dziełach literackich, rozmaitością swą i trwałością, równych starożytnym. Corneille i Descartes: *Cid* i *Discours de la Méthode*, współczesne sobie; *Polyucte* i *Traité des Passions* wyszły również niemal równocześnie (1643—1651). Pascal i Bossuet, nawrócenie się pierwszego i obrona jansenizmu w *Provinciales* (1655), zapal drugiego do nawracania i przekonywania o prawdach wiary, w działalności apostołskiej w Metz, 1652 —

1658; Molière i La Fontaine, obaj mistrze komedji ludzkiej, którzy potrafili tak świetnie przedstawiać i bawić ówczesnych Francuzów, w języku francuskim niepodlegającym wpływom czasu. Nie będzie to pomniejszaniem ich wielkości ani też zasług Ludwika XIV, udzielającego tym genialnym twórcom zachęty, jeżeli podkreślimy związek ich z tem mieszczaństwem połowy w. XVII, z którego genjusz ich wziął swój początek. Mieszczaństwo to, ukochawszy gorąco Francję, porządek i literaturę starożytną, stało, po dokonaniu jedności państwowej i to bardziej jeszcze na prowincji, niż w samym Paryżu, w Auvernji, w Szampanji, w Burgundji i w Turenji, na straży jedności moralnej i umysłowej narodu, i przestrzegało za pośrednictwem Akademji, również i jedności języka, w arcydziełach, jedność tę uwydatniających.

Blask i nędza Francji Chwale tej nie brak było, bez wątpienia, także i stron ciemnych: nędzy ludu, wyczerpania państwa przez wojny domowe i zewnętrzne, nadużyć skarbowych, opłacanych nędzą biedoty, bogactw i zbytku Mazarin'a i de Fouquet'a. Czyż można jednak zapomnieć o działalności apostolskiej Wincentego à Paulo, w obrębie mieszczaństwa, z pośród którego werbował swe Cóрки Miłosierdzia, które do dziś pozostały wierne, nawet w swym stroju mieszczek XVII w., misji, otrzymanej od swego założyciela, blisko trzysta lat temu? Jak zawsze, tak i tym razem jeden z najskromniejszych synów Francji, najbliższy ziemi, tego cudownego źródła nauki miłosierdzia, stał się tym, od którego „zrozpaczona Francja otrzymała”,

jak się wyraziła matka Agnieszka, „pomoc niezbędną dla swych prowincyj, doprowadzonych do ostateczności”. Zacny i wielki kapłan, któremu zażyłość z Gondi’mi umożliwiła poznanie nędzy galerników i niesienie im ulgi, stał się opatrzościowym przywódcą ruchu, powstałego, w interesie biednych, w kołach pobożnego i miłosiernego mieszczaństwa, dygnitarzy w Rouen, jak Karol de Bernières, i Gué de Bagnols, oraz adwokatów, takich jak janseniści z Port - Royal. Prasę, powstającą właśnie pod kierownictwem Th. Renaudot, spotkał ten zaszczyt, że przy pierwszych swych wystęпах wobec opinii francuskiej, mogła posługiwać się wezwaniem do miłosierdzia, wystosowanym przez tych mieszczan, w *Relations*, których kierownictwo objął św. Wincenty w r. 1650.

W tej nowej krucjacie, wszczętej z natchnienia wiary, znalazła Francja w jego osobie świętego, równie przekonywującego i równie czynnego, jak Urban II i św. Bernard. Armja kobiet i mężczyzn, zwerbowana przez tego bohatera miłosierdzia, nie przestanie nigdy walczyć o wybawienie z nędzy matych, opuszczonych dzieci, chorych i nieuleczalnych, tych ofiar losu, prawodawstwa lub złości ludzkiej. Jakżeż wielką i jak głęboko zakorzenioną musiała być ówczesna nędza ludu, jeśli ta krucjata św. Wincentego à Paulo, prowadzona przezeń aż do najpóźniejszej starości, do lat przeszło ośmdziesięciu, nie przyniosła wyzwolenia „tej wiejskiej biedocie”, jak ich nazywał święty. Baśń ludowa o Kumie Nędzy, pochodząca zdaje się z tej epoki cierpień, przedstawionych w obrazach braci Denain, kończy się istotnie z rezygnacją

i smutkiem na wniosku: „Nędza pozostanie na zawsze na świecie”. La Fontaine odmalował ją w trzech wierszach, dając obraz, któremu nie brak ani jednego zasadniczego rysu:

*Żona, dziecięcki, żołnierze, podatki, wierzyciel,
Tak często brak chleba, żadnego wytchnienia,
i inne kłopoty.*

Podobnie jak ów drwał chcieli jednak żyć i Francuzi, przepełnieni wolą, przeszło tysiącletnią, górującą nad wszystkimi kataklizmami, nad przejściami minionymi i obecnymi, chcieli żyć na to, by żyć mogła Francja i spełniać w całej pełni swą misję cywilizacyjną, której stała się godną w wieku następnym, zdaniem Bismarcka, zarówno w świecie łacińskim, jak i poza Europą, a której, w epoce Ludwika XIV miała złożyć hołd cała Europa.

Ustalenie granic Taki był istotnie doniosły wynik zwycięstwa Francji nad Hiszpanją i domem austriackim. Obaj kardynałowie - ministrowie, którym powierzone były losy Francji, zakończyli walkę z Hiszpanją, którą musiał przerwać Henryk IV, by pozwolić państwu odzyskać siły i zabezpieczyć swe granice, zakończyli ją zaś, powołując do niej wszystkich Francuzów, bez różnicy urodzenia, wiary lub stanu. Zadaniu temu poświęcił Richelieu większą część swej działalności i swego geniuszu, usuwając na bok, poczynawszy od 1630, „wszelkie zamiary zaprowadzenia oszczędności i wewnętrznego uporządkowania państwa”, poświęcając wszystko temu, w jego oczach,

najważniejszemu, zadaniu „zapewnienia bezpieczeństwa i potęgi zewnętrznej”, czem zasłużył sobie na zaufanie Ludwika XIII. Udało mu się w ten sposób, uzyskać od Niemców, w ciągu walki, ową granicę Renu: Alzację, tak niezbędną do zabezpieczenia państwa, stosownie do dewizy, — dewizy z Tolbiac — wyrytej później na medalu, podkreślającym istotne znaczenie tego nabytku: „*Gallia Germanis clausa*”, Galja zamknięta dla Germanów. Bouvines zaś i Corbie przypominały się Mazariniemu, kiedy, wciągnawszy do traktatu westfalskiego odstąpienie Alzacji, zajmował, po Frondzie, traktatem pirenejskim Artois i część francuskiej Flandrii. Zdobycie tych ziem, które zawdzięczała Francja temu wielkiemu protestantowi, Turenne’owi, uzasadniał Mazarin nie tyle uczuciowymi, co rozumowymi względami: „Nabytek ten musi stać się dla Paryża wałem nie do zdobycia; wtedy dopiero będzie można nazwać Paryż sercem królestwa, umieszczonem w miejscu najbezpieczniejszem, gdzie nie będzie już można tak łatwo go osiągnąć”. Usprawiedliwiając swą politykę, chroniącą Paryż od niebezpieczeństw, zagrażających mu od północy i od wschodu, zabezpieczał w ten sposób Mazarin frondujące miasto, które zwalczało go i wyгнаło, i zapewniał mu, materialnie i moralnie, spełnianie zasadniczej funkcji w ustalonem ostatecznie życiu narodowem.

A dla Francji całej sława uwieńczyła to wielkie dzieło zjednoczenia i zdobyczy, dokonane w Lille, w Strassburgu, w Franche - Comté i w Lotaryngji. Dzięki niemu Ludwik XIV, mniej skłonny do przeba-

czania, od swych ministrów, mógł, w szczęśliwym poczuciu dziedzica wysiłków całego narodu, dokonanych pod kierunkiem wielkich jego sług, wyrzec te słowa: „Francja mogłaby być panią całego świata, gdyby kłótnie jej dzieci nie były ją narażały zbyt często na wściekłą zazdrość wrogów”. Pocóż miała Francja stawać się panią świata? W sto lat później wyrazi się Vergennes o wiele słuszniej do Ludwika XVI: „Francja posiada sama w sobie wszystko, co stanowi istotną potęgę, ziemię urodzajną, cenne zasoby, bez których inne narody nie mogą się obejść, pracowitych i uległych poddanych, oddanych gorąco swemu władcy i swej ojczyźnie. W takich warunkach powinna ona raczej lękać się wszelkiego wzrostu, niż do niego zachęcać”. Prawda, że w epoce Ludwika XIV, stan ten jeszcze nie był osiągnięty. Niemniej przeto, niepowodzenia polityki zbyt ambitnej, która skończyła się katastrofą, nauczyły od tego czasu doradcę królewskiego prawdy, którą Montesquieu przedstawił w swym *Esprit des Lois*: „Prawdziwy rozum wymaga, by królowie, starając się unikać złych stron małoduszności, baczyli również i na złe strony wielkości”.

Hegemonja francuska Nadmierne pożądanie sławy przez Ludwika XIV, sławy płynącej z podboju i z dobrowolnego czy też narzuconego przewodzenia Europie, przez monarchję Wielkiego Króla w 1678, Króla - Słońca od 1665, rujnowało państwo i naród. Groziło oni zniweczeniem owoców tyłu usilnych trudów, poniesionych w interesie narodu i tronu. U schył-

ku swego życia usprawiedliwiał się ten władca ze zbyt-
niego umiłowania wojen. U zarania upajał się swą po-
tęgą, triumfami swych armij, blaskiem swego mło-
dego dworu, bezwzględnością uległością ludu i poszano-
waniem Europy, przyjemnościami panowania i za-
baw. Niełatwo jest ocenić, w jakim stopniu to zamiło-
wanie wielkości rozwijało się w nim i zaznaczało
dzięki komplementom i pochlebstwom, składanym
na ołtarzu jego dumy przez sługi, dworaków i naj-
świetniejszych pisarzy. Trudno też stwierdzić, o ile
własne jego postępowanie i nakazy, stworzenie w Wer-
salu, jakgdyby w siedzibie jakiegoś bóstwa, monar-
chicznego kultu, przyzwyczały Francuzów do ślepego
posłuszeństwa i uwielbiania, a co gorzej, do wielbienia
i ucieleśniania w jego osobie własnych swych dąžno-
ści do zyskania podziwu i posłuchu Europy, którymi
mieli się karmić przez tyle czasu.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że ten ton, to poczu-
cie wyższości, które zapanowało we Francji za Lu-
dwika XIV, to nadużywanie sił francuskich aż do ich
wyczerpania, byle wyższość tę utrzymać, stały w jak-
najbardziej jaskrawej sprzeczności z rządami rozumu,
porządku i umiarkowania, które uchodziły z począt-
kiem w. XVII za ostatnie słowo politycznego rozumu,
za trwałą podstawę przyszłości narodu, odbudowane-
go przez monarchję Burbonów. Takie postępowanie,
wystawiające Ludwika XIV od samego początku jego
rządów i przez cały czas ich trwania, na koalicje
europejskie i finansowe wyczerpanie, doprowadzające
ludy jego do ruiny, jakżeż dało się ono pogodzić w je-
go umyśle z tem, co tak często stawiał sam sobie za za-

sadę: „zachowywaniem złotego środka i powodowaniem się, tak jak i jego przodek, rozsądkiem?” Jakżeż mogły metody takie wziąć górę nad jego własnym rozsądkiem, nad sądem umiarkowanym i jasnym, kierowanym i wspomagany radami Colberta i przestrogi Bossueta? Zagadka to podobna do tej, jaką stawiały pewne nienormalności jego życia prywatnego lub kompromisy w życiu religijnem, które powinni byli — a może nie śmieli — wyjaśnić, wielcy moralisci tego wieku, niezrównani badacze duszy ludzkiej, jej przeciwieństw, odchyłeń i słabostek. Dla narodu, który tak mało miał wspólnego z planami władcy i jego sposobem rządzenia, byłoby w każdym razie lepiej, gdyby nie był się nauczył i nie przejął tą ambitną polityką, która sprowadziła naród w ciąg następnych wieków na bezdroża.

Ówczesni Francuzi dali się uwieść nie tylko blaskiem zwycięstw i schlebającym im prestiżem władcy. Monarchja Ludwika XVI, posługująca się ludźmi pracy, jak Colbert, Louvois, Le Tellier i de Lionne, dobranymi nielicznie i tak, by nie mogli zaćmić blasku tronu, urzeczywistniała w ich oczach ideał, który sobie stworzyli i wzajemnie przekazywali, ideał rządu opatrnościowego, będącego niemal instytucją boską, ustanowioną dla ich bezpieczeństwa i dobra, przez swą stałość i porządek. Król panował odtąd i rządził, tak, jak sam chciał i dlatego, że taka była jego wola. Przejął on dla tronu dziedzictwo wielkich kardynałów i pierwszych ministrów a następcom swym zalecał utrzymywanie wobec swych poddanych i wobec Europy całego blasku i powagi władzy, wykonywanej przez

władcę we własnej osobie. Dla utrzymania ciężaru rządów osobistych, wzmożonego jeszcze sukcesami swego oręża i powagą królewską, posługiwał się on bardzo chętnie i z wielką skwapliwością przybocznymi ciałami doradcami, studjując bacznie raporty swych ministrów i dzieląc z nimi odpowiedzialność za swe postanowienia. Dzięki swej pracowitości, dokładności i trosce o szczegóły, był on królem bliskim sercu owego mieszczaństwa w. XVII, które przygotowało jego rządy, i święciło w nich swój triumf, ze szkodą szlachty, ograniczonej do funkcji dworskich i wojskowych, kosztem ludu, który wskutek wymogów fiskalnych, nadmiernych danin i podatków musiał, chcąc żyć, zaciągać się do służby wojskowej. Stał się on, dla tego mieszczaństwa i za jego sprawą, władcą - administratorem, owianym duchem tego mieszczaństwa, pozbawionego głębi i szerokich horyzontów, i wychowanego na zasadach urzeczywistniania, codzienną pracą raczej, niż drogą przemyslenia, systemu rządów, dostosowanych do okoliczności i potrzeb państwa, szukających w tem powodzenia i dobra poddanych, — stał się panem absolutnym swych zamierzeń i łask.

Colbert
i administracja
mieszczańska

Mimo tak wielkiego oddania się obowiązkom swego urzędu, mimo silnej swej natury, pracowitości i umiłowania wielkości, musiał jednak król ten, by znaleźć czas na reprezentację, uroczystości i zabawy, dobierać sobie wybitnych współpracowników, dopatrując się ich zasług głównie w intensywności i metodach pracy. Dostarczało mu ich mieszczaństwo kupieckie lub

urzędnicze, w osobach Colberta, Le Tellier'a, de Lionne'a i tych wszystkich wielkich urzędników, którymi posługiwało się samo, dla stworzenia, po myśli władcy, biurokracji dobrze poinformowanej, czujnej i ruchliwej. Usadowiła się ona we wszystkich Radach, zwłaszcza zaś w Radzie Ministrów, ograniczonej celowo do trzech lub czterech najważniejszych ministrów, a która zastępowała władcy naczelnego ministra. By donosić władcy o wszystkim, co wiedzieć powinien, by wykonywać jego rozkazy, konieczną była centralizacja administracji. Głową pozostał na zewnątrz sam król, i tylko on jeden. Zasady tej trzymał się z obowiązku i dla godności własnej. We wszystkim jednak, co nie dotyczyło stosunków zagranicznych i armji, główną sprężyną mechanizmu, zmontowanego na wieki całe, w generalnej kontroli finansów, był przez lat zgórą dwadzieścia, u boku króla i w jego cieniu, Colbert. Był on może tylko urzędnikiem każdej chwili odwołalnym, lecz odwołanym nie został nigdy, a synów swych, braci i bratanków, zrobił ministrami i arcybiskupami, córki zaś, księżniczkami. Działalność swą, której poświęcał cały swój czas i całą swą inteligencję, początkowo dla własnej przyjemności, lecz także i w interesie króla i państwa, jak przystało na dobrego Francuza, opierał on zasadniczo na instytucji intendentów, przeklinanej przez całą Francję, lecz nie obalonej. Ostateczne ich zaprowadzenie, ustalone począwszy od 1666, przekształciło zupełnie monarchję aż do końca Ancien Régime'u. Ośrodek państwa został związany, jak nigdy przedtem, z prowincjami i miastami, za pośrednictwem

niewielu urzędników, rosnących z każdym dniem w znaczenie, rezydujących przez długi czas w swych rejonach, a tworzących ciało jednolite i hierarchiczne, którego głową był Colbert, będący sam, jedną z najlepiej zorganizowanych głów całego państwa.

Musiała ona być taką, by móc podołać zadaniu, które sobie postawił, częściowo z własnej inicjatywy, zarządzania równocześnie skarbem, sprawami wewnętrznymi, handlem, przemysłem, rolnictwem, komunikacjami i robotami publicznymi, nie mówiąc już o stworzonych przezeń kolonjach, i o sztukach pięknych. Musiał też opierać się przytem na działalności urzędników paryskich i prowincjonalnych, swych intendentów, „owych trzydziestu maîtres des requêtes, od których zależeć będzie szczęście i nieszczęście poddanych, ich pomyślność i ich nędza”, wobec tego, że posiadali oni w tej dziedzinie wszelką inicjatywę i rozporządzali, w imieniu króla całą władzą skarbową i administracyjną, a często też i sądowniczą.

Czyż Ludwik XIV mógł nie czuć się dobrze, jak pisał sam do Colberta, wobec usług takiego sługi? Ten kontroler generalny, o małym tytule a wielkiej władzy, podjął się zrobić go z ubogiego, bardzo nawet ubogiego, tak, jak i całe państwo, bogatym, a nawet bogatszym od wszystkich współczesnych monarchów. Mieszczanin ten, który miał słabość szukania sobie w Szkocji szlacheckich przodków, odziedziczył po swych prawdziwych przodkach, przemysłowcach czy też kupcach z Reims, zamiłowanie do pracy i znajomość metod, prowadzących do bogactwa. Podjął się

on zarządu majątkiem królewskim, który stanowił równocześnie majątek narodowy, ustaliwszy, jako intendent Francji, program ogólny, oparty na tej najważniejszej zasadzie, że powinna ona „dużo wytwarzać, by sprzedawać dużo, i ściągać do siebie tyle złota i srebra, by nie zostało nic dla drugich”. Badał on powierzone sobie zasoby, „te ziemie różnorodne i urodzajne w zboża, gdzie oszczędzać należy wieśniaków, by uniknąć ich ruiny i odpływu”. Szczególną pieczę otoczył fabryki swych pracowitych miast. Nie przyczyniał się on tem „do stworzenia w pewnym stopniu narodu”, jak powiedział Voltaire, lecz skupiał swą codzienną pracą wysiłki podejmowane przez naród od wieków, celem „wyzyskania naturalnych bogactw kraju” i nadawał im właściwy kierunek. Genjalny umysł Colberta, wychowany w szkole przemysłowców i kupców Szampanji i Ljonu, mający horyzonty szersze od wiejskiej ciasnoty, obejmował całą Francję, jej porty śródziemnomorskie, otwarte dla handlu ze Wschodem, jej wybrzeże Atlantyku, stwarzające drogę do Indyj, wysp, Kanady i Afryki, możność połączenia kanałem „tranzytowym obu tych mórz”, harmonijny rozkład rzek, skierowanych ku zachodowi, północy i południu, wogóle wszystko, co stanowiło przeszłość Francji i wykreślało jej drogi na przyszłość. Wiedział on również, nie zniechęcając się tem bynajmniej, że współcześni, „ani ogół, ani też jednostki, nie dorosły jeszcze do tego, by go zrozumieć”. Francuzi woleli towarzyszyć swemu królowi w wojennych wyprawach po Europie. Późniejsze wieki przyznały mu jednak słusność.

W chwili jego zgonu, Ludwik XIV zawikłany był, bardziej niż kiedykolwiek, w te wyprawy a lud przeklinał pamięć Colberta, obwiniając go o swą nędzę, której pragnął przecież ulżyć, nie tyle z litości, co w dobrze zrozumianym interesie swego władcy. Lud ten buntował się ustawicznie pod ciężarem podatków, których ustalenie było obowiązkiem kontrolera, a za bunty płacił okrutnymi karami. Lud ten, „barbarzyńcy nędzniejsi”, jak mówili intendenci, „od tureckich niewolników i polskich chłopów”, ta biedota, która krzyczała z głodu, spała na słomie i wylewała łzy, nie stanowiła jeszcze wówczas narodu. Skargi jej i bunty były tylko zbrodnictwymi rozruchami, wówczas, kiedy mieszczaństwo i szlachta zaprowadzały z upodobaniem i ustalały ów system królewski, którego stali się z czasem współpracownikami i z którego ciągnęli korzyści. Tak zapatrywał się na Francję Ludwik XIV i tak przedstawiał ją Voltaire, dworak, uczony, zwłaszcza zaś mieszczanin, należący do świata, uważającego siebie samego za naród, którego powstanie dokonało się już, w ich przeświadczeniu, w interesie ich dobrobytu, a zgodnie z ich ambicjami i przesądami.

Ileż jednak prawdziwej wielkości jest w świetnym obrazie tej monarchji, opromienionej najznakomitszymi postaciami francuskiej literatury i sztuki! Oto ojczyzna, świadoma odtąd swych sił materialnych i moralnych, przywiązana do ucieleśniającego ją Burbona, państwo spoiste i silne, w którym agenci zapewniali biegle i systematycznie ścisły i stały związek z prowincjami, miastami i poddanymi, ludność liczna i pracowita, zjednoczona wspólnymi uczuciami

wierności dla dynastji i dla swych tradycyj, ludność, której niesforne obyczaje zostały złagodzone uprzejmością i wygodami, kulturą umysłową i smakiem, „ojczyzna społeczności, w której”, zdaniem Voltairre’a, „można się było nauczyć sztuki życia”. Żadnego z tych dobrodziejstw nie można było znaleźć „w państwach sąsiednich, ani w Anglji, ani w Hiszpanji, ani gdziekolwiek indziej”, pisał poseł pruski, Spenheim, swemu królowi do Berlina. Chcąc z nich korzystać, nabrali Francuzi tego zamiłowania do jedności terytorjalnej i jednolitości życia zbiorowego, dokonanej przy pomocy rozumu i siły, zachowując na długo głębokie ślady tego zamiłowania. Pozwalali oni królowi i jego urzędnikom, na wchłonięcie Kościoła, na ograniczenie szlachty i wielkich państwowych instytucyj, na surowe prześladowanie jansenistów i protestantów, „ludzi, przenoszących”, jak powiedział Voltaire, „religję nad ojczyznę”, na szukanie jedności wierzeń, niemożliwej do osiągnięcia. Tak ważnem i tak niezbędnem dla wielkości narodu było w ich oczach, by „wobec króla wszystko było jednym ludem, jednym ciałem i jedną duszą!”

J e d n o ś ć Ideał ten, w który Francja wieku XVII,
monarchiczna włożyła, w zapale monarchicznym, całe
w Wersalu swe zaufanie i całą swą dumę, znalazł
swoją wyraz nie tylko w dziełach wielkich pisarzy klasycznych, lecz również i w pałacu królewskim w Wersalu, który jak niegdyś, w wieku XIII, francuskie katedry, służył za wzór całej Europy. Pozostawmy złośliwości Saint - Simon’a wymyślać na Ludwika XIV

za to, że wybrał na ten cel wstrętny „pagórek pośród lasów, poprzecinanych bagnami i jeziorami”, miasteczko, które dzięki niezrozumiałemu kaprysowi króla, przeszło do historii. Wybór ten nie pochodził przedewszystkiem od króla, którego się o to obwinia, lecz od Ludwika XIII i jego ministrów, którymi, jeszcze przed 1630, powodowało przytem zamięłowanie do polowań, stanowiących główną ich rozrywkę, a wspólne wszystkim ówczesnym wielkim panom i władcom, oraz chęć szukania tej rozrywki możliwie daleko od zwykłych swych rezydencyj, od Luwru, Saint - Germain i Fontainebleau. Pozatem, czyż gmach ten wznoszony za kilkoma zawodami dokoła pawilonu Ludwika XIII nie był symbolem dążności, reprezentowanych w dziejach przez monarchję Ludwika XIV, dziełem woli i ducha, porzucających tradycje i naturę, by stworzyć ramy i środowisko dla nowej stolicy, lepiej założonej od starego Paryża Kapetyngów, oddalęj od jego gwałtownych namiętności a jednak dość bliskiej, by nad nim czuwać? Regularna i harmonijna fasada pałacu zajmuje przestrzeń dość wysoką, by wraz z wieńczącemi ją trofeami, imponować swym majestatem, rozmiarami swymi różni się jednak dostatecznie od ciężkich sadyb feudalnych przeszłości. Różnorodność planów, dekoracja tarasów, rozjaśnionych zwierciadłami i strumieniami wody, tło zieleni i ogrodów, wszystko to wykonane przez Le Nôtre'a, jeszcze przed wskazówkami Mansarta, napełniało ten majestat urokiem. Przyroda została tu podporządkowana harmonji, ustalonej przez mistrza francuskiego ogrodnictwa. Aleje brzozowe wznosiły swe ściany na

tle krzewów, trawniki rozścielały swój zielony dywan pod stopy świetnego orszaku dworzan i dam, otaczających rodzinę królewską po salach i gaikach, przy muzyce i ucztach, w tych salonach pod gołym niebem, gdzie całe towarzystwo musiało zjawiać się codziennie w obliczu Bóstwa, rozkazującego tym zabawom i całemu państwu, rozporządzającego losem i pomyślnością wszystkich.

Zniknęło to towarzystwo, zniknęła cała epoka, podobnie jak i przeminęło dzieło Colberta. Nikt nie powie jednak, by Wersal był miastem umarłych, by nic nie przetrwało z dzieła ministrów, zebranych tam przez Ludwika XIV. Generalna Kontrola Finansów objęła w posiadanie Luwr i Tuilerje, gmach zawładnął ideą królestwa, które go stworzyło. Odkąd przestała istnieć monarchja, zabytek ten i park chronione są, w całym swym majestacie i wdzięku, przed zębem czasu, z większym jeszcze zapalem i gorliwością przez naród, który, na rozkaz swych władców i dla ich przyjemności wkładał w nie przez półtora wieku, sam i w osobie swych artystów tyle pracy, tyle zasobów i tyle genialności. Naród ten rozumiał dobrze, że ta architektura i te dzieła francuskiej sztuki stanowią cenne świadectwa epoki, w której, doszedłszy długą pracą do pełni rozwoju materialnego i moralnego, oglądał triumf umiłowanego przez się zjednoczenia i rozumnego porządku.

Wie on dobrze, że w triumfie tym i w tych majestatycznych budowlach biedni jego przodkowie z XVII wieku, brali, w swej większości, o tyle tylko udział, że ponosili ich koszty, a ze strony systemu mo-

narchicznego doświadczali raczej surowości niż dobrodziejstw. W dziełach królestwa w. XVII uznaje on jednak chętnie, i zupełnie słusznie, pozyskanie trwałych granic i dzielnic, cennych dla zjednoczenia narodowego i dobrobytu, rozpęd przemysłu, handlu i kolonizacji, administrację i politykę, opartą na lepszych i ściślej zachowywanych prawach. Wersal jest dlań wreszcie ogniskiem sztuk i nauk, przywodzącym na pamięć Lebrun'a, Molièra, Racine'a i Bossuet'a, zwycięskim symbolem epoki, miarodajnej dla dziejów narodowej twórczości.

V.

ODSZCZEPIENSTWO TRONU I NARODU w w. XVIII.

Wiek XVIII, wstęp do Rewolucji. — Odosobnienie tronu. — Dwór, Paryż i prowincja. — Nowa Francja. — Zamęt w finansach królewskich. — Zrujnowanie Burbonów. — Rządy finansjery. — Obyczaje, zbytek i sztuka francuska w w. XVIII. — Skargi i kłopoty Francji. — Apel narodu do króla. — Tron, parlament i lud w r. 1788. — Naród przeciw samowoli. — Powrót do rozumu i prawa. — Kryzys narodowy w 1789. — Prawa narodu i jedność.

Wiek XVIII, Przez przeciąg lat sześćdziesięciu pięciu,
wstęp do między 1643 a 1715, pół wieku zgórą,
Rewolucji rządził Francją jeden i ten sam król.

Najdłuższe to panowanie w naszych dziejach, zarazem też i jedno z najświetniejszych. Nie wiele więcej czasu upłynęło jednak od tych rządów, które trwałością swą i blaskiem zdawały się uświęcać ostatecznie monarchję, gdy oto znalazła się ona bezbronną, w niebezpieczeństwie, wobec zarzutów podnoszonych ze strony poddanych. Jakżeż mogło się to stać, że w 1789, tak rychło po śmierci Ludwika XIV, w tymże samym Wersalu, stworzonym przez tego półboga zgodnie z upodobaniami Francuzów, rozmiłowanych w porządku i wielkości, a ku podziwowi całej Europy, lud paryski odważył się, dnia 5 października, zawładnąć osobą króla, królowej francuskiej i ich dzieci? Zastraszonych i bezbronnych przywiódł on ich do Tuilerji, siedziby królewskiej, opuszczonej od lat stu pięćdziesięciu. Już w tym pałacu, skąd wysłani zostaną do Temple, widowni niegdyś wybryków królewskiej sprawiedliwości, uważano ich za więźniów. Wkrótce zaś, w 1792, staną się oni ofiarami narodu, który był jednak, aż do tej chwili, wiernym czcicielem królewskości.

Obalenie tej instytucji społecznej, politycznej a niemal i religijnej, opartej na odwiecznych podstawach, nastąpiło tak nagle, że zaskoczyło ono Francuzów końca w. XVIII, jak nieprzewidziana katastrofa a przez cały przeciąg w. XIX wywoływało próby przywrócenia i nowe rewolucje. Jasnem jest, że ówcześni zwolennicy Rewolucji i jej wrogowie zabrali się do badania jej przyczyn, wielbiąc ją lub przeklinając. W miarę, jak oddalano się od Rewolucji a namiętność, nienawiść lub sympatja, zarzuty i pochwały, oskarżenia lub obrona traciły na gwałtowności, mogli historycy posługiwać się swemi metodami i swem uzdolnieniem przy badaniu początków współczesnej Francji. Nie brak ich było, począwszy od Tocqueville'a, Taine'a, Lavissee'a i Aulard'a, aż do najmłodszych, jak Sagnac, Bloch, Mathiez, Chaudron, Madelin, Bainville i Gaxotte. Tyle pracy, przedsięwziętej we wszystkich dziedzinach, byłoby wyświetliło najzupełniej genezę faktów i myśli, które przekształciły Francję i świat nowoczesny, gdyby różnorodność przyczyn z jednej a mnogość i sprzeczność szkół naukowych i systemów z drugiej strony, nie były utrudniały badań aż po dzień dzisiejszy, lub też nie sprowadzały ich na manowce.

Badania przeprowadzone przez historyków francuskich w dziedzinie urządzeń francuskich i obyczajów wieku XVIII, doprowadziły mimo to do jednakowych niemal wniosków co do wpływów, które przygotowywały i wywoływały wypadki polityczne i społeczne, począwszy od 1789 aż po koniec stulecia. Różnica istnieje zwłaszcza co do oceny roli i sposobu od-

działywania każdego z tych wpływów. Dziś są one jednak mniej więcej już ustalone: chaos i załamanie się finansów publicznych, przy niemocy rządu zapobieżenia złemu, nieudolność ostatniego króla, Ludwika XVI, do opanowania kryzysu, mającego rozstrzygające znaczenie dla monarchji, opozycja i bunty parlamentów, intrygi arystokracji dworskiej, broniącej uporczywie swych przywilejów, rujnujących króla i naród, nieuzasadnione utrzymywanie nieznośnej pańszczyzny i danin na korzyść wielkich panów, którzy sami żadnych już nie oddawali usług, skomplikowany podział prowincjonalny i organizacja sądownictwa i skarbowości, wzbogacenie się klas mieszczańskich przemysłem i handlem, wzrost posiadłości wiejskiej i dobrobytu wieśniaków, przykład rewolucji amerykańskiej, wreszcie potęga opinji, pozostającej pod wpływem pisarzy, filozofów i ekonomistów, apelujących do rozumu i wolności, krytykujących śmiało i bezlitośnie wystąpienia rządu, monarchji, urzędników i duchowieństwa a znajdujących chętny posłuch u wszystkich warstwach społeczeństwa, u mieszczan w Paryżu i na prowincji, u szlachty, parlamentarzystów i dworaków, u książąt a nawet i u samej królowej.

**Odosobnienie
tronu**

Do tych przyczyn dorzucić należy jeszcze jedną, której wpływu na stosunek tronu do poddanych, nie podkreślano dotąd należycie. Trudno ocenić krzywdę, jaką wyrządził Ludwik XIV swym następcom, umieszczając w Wersalu dwór i cały aparat monarchji. Zdecydował się on na to początkowo dla przyjemności, za czasów panny de la Vallière, później zaś z wyrachowania: niebez-

pieczny to był system, zastosowany z żalu i nieufności do Paryżan, którzy krzywdzili go i niepokoiili za młodu. W ten sposób odosobnił się on od swego ludu, w tej myśli, że w nowej stolicy, której mu Paryż nigdy nie wybaczył, łatwiej mu będzie stworzyć dekoracje i obrządek dla swego suwerennego majestatu. Ścisły związek Francuzów z swym królem, dokonany w ciągu wieków a ucieleśniający niejako poczucie narodowe w osobie króla, ustąpił miejsca zbyt długiej separacji, która miała się skończyć rozwodem. Dla Wersalu i otaczających go pałaców, Trianon, Marly, Choisy, Bellevue, Fontainebleau, porzucili następcy Ludwika XIV swą stolicę a nawet i państwo. Ludwik XV poznał jeszcze, raz w życiu, kilka prowincyj północnych, udając się na prośbę pani de Châteauroux do armji, pod Metzem. Ludwik XVI nie znał nawet Paryża, który wydał mu tak piękne festyny, z okazji małżeństwa z Marją Antoniną. Zobaczył go dopiero, kiedy sprowadzono go tam siłą, w lipcu i w październiku 1789, a prowincje swe zwiedził dopiero uciekając do armji Bouillé'go. Porzucenie państwa przez króla dojrzało: gdyż nie poto zdecydował się nie-szczęsny król w 1791 do opuszczenia Wersalu, nocą, drogą do Metzu, by stanąć, jak jego dziad, na czele wojsk swoich i odpędzić wroga od granic. Postanowienie to mogło przyprawić go o natychmiastową utratę tronu, gdyby Francuzi, przyzwyczajeni do rządów królewskich, nie byli się lękali nieznaney przyszłości; było ono jednak fatalnem następstwem tego, że król przyzwyczał się już nieświadomie do oddalania się od nich.

**Dwór, Paryż
i prowincja
w w. XVIII** Niemniej obcymi państwu stali się w Wersalu także i dworzanie, służba królewska a nawet i ministrowie. Straciła związek swój z krajem szlachta, wielka a często także i mała, za sprawą Ludwika XIV, który chciał ją uleczyć z gwałtownych obyczajów i zamiłowania niepodległości, szlachta pragnąca teraz przypodobać się królowi, dla kariery. Monarcha zmusił ją do oderwania się od swego naturalnego środowiska; przeniósł ją do sztucznego, w którym żyła odtąd jego tylko łaską, beczynna, obca całemu państwu. Obyczaje i środowisko tych ludzi opisał La Bruyère, ludzi „mających swego Boga i swego króla, o setek tysięcy mil od Huron’ów i Irokezów”, a jeszcze bardziej obcych ludności francuskiej: tego tysiąca osób, spotykających się codzień w poszukiwaniu łask i apanaży, z rozkazu władcy, który chciał widzieć ich ustawicznie i być samemu widzianym. Wielcy właściciele ziemscy, gubernatorowie prowincyj, arcybiskupi, książęta, którzy nie rezydują nigdzie, których państwo zna stąd tylko, że opłaca ich wydatki i ich zbytki, urzędnicy a nawet i ministrowie na usługach własnej kariery, przywiązują się tu w Wersalu, do swego pana, który ich wybrał a wraz z nim stają się obcymi Francji, której nie chcą poznać, ani też nie mają już do tego prawa. Pomponne utracił, w 1679, stanowisko ministra, mimo długotrwałych i wybitnych usług, dlatego tylko, że spóźnił się o dwa dni do króla, który go oczekiwał. Colbert starał się pogodzić obowiązki swego urzędu ze znajomością dziedziny, której urząd ten zdawał się wymagać. Próba to była rzetelna, lecz

napotykała na trudności, podobnie jak w każdym rządzie zcentralizowanym i pozbawionym środków szybkiej informacji, usiłowanie wprost naiwne, jak mówił Lavissee, „odkrycia Francji” zapomocą poleceń danych w 1663 komisarzom, przeprowadzenia dochodzeń i donoszenia królowi, czy ta lub owa prowincja „jest nadmorską, czy też nie, czy posiada ziemię urodzajną i uprawną, czy też nie, czy ma lasy, pracowitą ludność i zdolnych marynarzy”.

Za Ancien Régimu, nie widziano ministrów, poza swymi biurami w Wersalu, którzyby utrzymywali bezpośredni stosunek z Francuzami. Kontakt ich z rządem odbywał się za pośrednictwem intendentów, naznaczonych na prowincji na długi okres lat, związanych często niewątpliwie z jej interesami i powodzeniem, umiejących informować o warunkach bytu prowincji i jej potrzebach władzę centralną, gdy o to pytała, tak, jak to miało miejsce z końcem w. XVII. Intendent oznaczał przynajmniej obecność króla na prowincji, zbyt często jednak pod postacią skarbowości i polityki, wymagających więcej niż dawały same. Obecność rzeczywista monarchy i jego ministrów byłaby była cenniejszą od zarządzeń i edyktów, wydawanych przez władzę królewską dla usprawiedliwienia zamierzeń i postępów agentów, ustanowionych między rządem a ludem, który nie widywał już swego władcy i słyszał tylko o jego dalekich rozkazach, nie będąc samemu ani słyszany przez tego władcę, ani też rozumianym. Nienawisć Francuzów do tych wielkich urzędników, na którą ci bynajmniej nie zasługiwali ani sposobem rządzenia ani swą gorliwością, była

częstokroć tragicznym wyrazem tej niecierpliwości dotarcia do osoby królewskiej. Jeśli król nie przychodził już do nich, to dlaczegoż nie wzywał ich do siebie?

Nowa Francja W ten sposób oddzieliły się nie tylko od Francji, ale i od samego Paryża, obok monarchji, także i jej główne podpory: oto powstały w tem samem państwie dwie społeczności, jakby dwa odrębne ciała, obce sobie, zniweczony został dawny związek, oparty na odwiecznych przyzwyczajeniach i prawach, zerwana wspólnota interesów, wzajemnych usług i ofiar, która dotąd nie podlegała żadnej wątpliwości. Na ruinach przeszłości, obalonej fałszywą polityką, zabierali się Francuzi do wzniesienia ostatnich podwalin jedności, założonej od wieków na ziemi swych przodków i urzeczywistnionej w poczuciu narodowem. Zabrali się do pracy nie przeciw królowi, lecz bez króla, dla siebie samych i własnym swym wysiłkiem.

Gdy zaczęli zdradzać się z temi zamierzeniami, Ludwik XV oburzał się, pod koniec swego panowania; we wstępie do jednego z swych edyktów każe on oświadczyć, w 1765: „Ten naród, który chcieliby zrobić czemś odrębnem od swego władcy”. W chwili, kiedy wygłaszał te słowa, przestało to już być wymysłem lub śmiałym uroszczeniem niesfornych nowatorów. Możliwość pojmowania narodu poza dynastją, uosabiającą go dotąd w dziejach i na zewnątrz, stała się w umysłach Francuzów realną już rzeczywistością. Cała filozofja polityczna w. XVIII, przy różnorodności zwalczających się, lecz co do tego jednego zgod-

nych systemów, przykład Holandji, Anglii i Ameryki, wszystko to uczyło Francuzów tej prawdy, a jeśli może jeszcze nie wszystkich, to już w każdym razie duchownych, adwokatów i prawników, którzy będąc bliższymi ludu, unieruchomionego jeszcze wymogami życia materialnego, mogli go ze swej strony pouczać. Nie było to niczem nowem, jak sobie wyobrażał Ludwika XV i jak odtąd często powtarzano, lecz dokonaniem rozwoju, przyspieszonego z winy jego i jego świetniejszego poprzednika, naturalnem zakończeniem ewolucji, która w ciągu dziejów zakreśliła zewnętrzne granice Francji, zatarła częściowo granice wewnętrzne, zbliżyła do siebie zwolna ludność i zmierzała ku wyrównaniu i stopieniu wszystkich zasadniczych składników francuskiego życia narodowego. Ojczyzna poczyniała się utwierdzać, już nietylko nazewnątrż, wraz z królem, lecz niezależnie od króla. D'Argenson zapisywał wówczas w swych pamiętnikach, u boku Ludwika XV, owe słowa, które rzucają tyle światła na społeczność współczesnej mu epoki: „Za republiki, czy za monarchji, duch narodowy Francji pozostanie zawsze ten sam. Cała siła Francji leży w tym narodowym genjuszu”.

**Chaos
finansów
królewskich**

Słabością jej było pomieszanie dochodów państwa z dochodami tronu, użytek jaki tron uważał za właściwy czynić z tych dochodów, dowolnie i nie odróżniając potrzeb własnych od potrzeb swych poddanych, pomieszanie równie zgubne dla monarchji, wobec wynikających stąd pokus, jak i dla państwa, wobec grożącego mu

niedostatku. Skończyło się to bankructwem dla obu stron. Zwyczaj ten sięgał bardzo odległych czasów. W imię teorii, że majątek własny i majątek poddanych należy do nich bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń, że Francja jest niewyczerpaną kopalnią, prowadzili Burboni, po Walezjuszach, prawie zawsze opłakaną politykę skarbową. Jako wielcy panowie, pierwsi w państwie, żyli ci królowie zupełnie nie licząc się z swymi dochodami, podobnie zresztą jak i inni z ich świata. Nie przychodziło im nawet na myśl, że będąc królami, żyć powinni inaczej, że powinni liczyć się z dochodami, płynącymi z pracy i z danin poddanych. Ludwik XVI, jedyny wśród nich, który próbował rachować, — dochowały się jego osobiste rachunki, nieco naiwne, — zapłacił Rewolucją za kłopoty finansowe, przekazane mu przez poprzedników. Cały wysiłek Sully'ego doprowadzenia do porządku finansów swego pana, nie przeszkadzał Henrykowi IV w uciekaniu się do niezwyklej intereso-
sów, dla pokrycia kosztów zbytku i budownictwa. Nie więcej posłuchu znajdował Colbert u Ludwika XIV, kiedy go błagał o ograniczenie szalonych wydatków na dwór i na wznoszone budowle, na wojenne wyprawy, lub też kiedy, przechodząc od prośb do wyrzutów, zwracał mu brutalnie uwagę, że nie liczy się wcale z stanem swych finansów, nie ograniczając i uporządkowując swych wydatków.

Jeśliby potrzeba dowodów, to można je znaleźć w oświadczeniu jego wnuka, Ludwika XV, złożonem w 1749, przy sposobności nałożenia na poddanych pierwszej dwudziestnicy, „z powodu ciężkich długów,

wywołanych wojnami zmarłego króla, naszego dostojnego Pana i dziada". Mógłby był dodać również i ciężary swoich własnych wojen, tak bezpłodnych, jak wyprawy przeciw Marji Teresie lub Fryderykowi II, zgubne wobec utraty francuskich kolonji.

Ruina Burbonów Dalszy dowód możnaby znaleźć w wydawnieniu, podanem przez Saint-Simona, tak charakterystycznym dla gospodarki finansowej Burbonów. Działo się to w 1708, za czasów katastrofalnych następstw sukcesji hiszpańskiej, w Marly, gdzie przebywał Ludwik XIV, podczas swej starości, wraz z panią de Maintenon; jeszcze dalej od Paryża, w głębi lasów, dopuszczając do siebie tylko swych faworytów i ulubionych ministrów. Stary król poniósł klęskę i został zrujnowany. Kontroler Desmarest apelował do wszystkich kas, które się zamykały, do wszystkich bankierów, którzy odmawiali. Odmawiał też uporczywie i Samuel Bernard, najbogatszy bankier w Europie, który zebrał w 24 godzinach jedenaście milionów liwrów, złotem i srebrem, by zrobić w 1697 Conti'ego królem polskim. On jeden tylko mógł wybawić króla z kłopotów. Desmarest dopiął swego celu. Zaprosił on Bernarda do Wersalu, gdzie król spotkał go, niby przypadkowo i powiedziawszy mu: „Pan jest jedynym, który nigdy nie widział Marly”, zabrał go tam z sobą. Podejmował go z honorami, „z całym wdziękiem, którym umiał się tak dobrze posługiwać, gdy chciał nim kogoś oczarować”. Fortel udał się z tym bankierem, przepełnionym szaloną próżnością i gotowym do otwarcia swej kasy

monarsze, który umiał mu się przypodobać. Ukoronowany a zrujnowany szlachcic potrafił przypodobać się uszlachconemu bankierowi, Samuel Bernard otworzył swą kasę tak szeroko, że po roku położył rynek ljoński szalonom, 40 miljonowem bankructwem. Kiedy umierał, interesy jego były jednak uporządkowane i rozwijały się pomyślnie: za królewskie pochlebstwa i bankierskie pożyczki zapłacili Francuzi.

Rządy finansjery Tron musiał się poniżyć wobec potentatów finansowych. Potęga to nie nowa, dzieje jej we Francji można śledzić począwszy od Jakóba Coeur, w w. XV, poprzez Briçonnet'ów i Poncelet'ów w XVI, Paulet'a za czasów Henryka IV, Herwart'a i Fouquet'a u boku Mazarin'a; najpotężniejszą stała się ona jednak po śmierci Ludwika XIV. Zwłaszcza w w. XVIII rządziła Francją, narówni z regentem, z Ludwikiem XV i XVI, podtrzymując zadłużoną monarchję, „jak sznur wisielca”. Nieprzerwany łańcuch tej rządzącej finansjery można śledzić od Turcaret'a, aż do zarania 1789. Bogacz Crozat, skromny urzędnik, wysunięty w Tuluzie przez skarbnika Languedoc, Pennautier'a, na czoło ogromnych interesów, błyszczący zbytkiem w swym pałacu na placu Vendôme, wydający kosztem dwóch miljonów za księcia krwi, hrabiego d'Evreux, swą córkę, nazywaną przez teściową, księżną de Bouillon, „swą sztabką złota”, właściciel Luizjany. Puszczął się on na „awantury morskie i bankowe”, podczas gdy Bouillon, „brał”, na jego rozkaz, „przeszkodę mezaljansu”. Potem znów szkot Law, ten czarnoksiężnik długów królewskich, któ-

rego Regent upoważnił do otwarcia owego słynnego wodociągu złota i spekulacji, który na krótko tylko mógł zaspokoić Francuzów, ogarniętych gorączką gry. Wreszcie zaś ci, którzy system ten likwidowali; syn zręcznej karczmarki w Alpach i dostawca wojenny, Antoni Paris, strażnik skarbcza królewskiego, wówczas wypróżnionego, brat jego Paris du Ver-net, prosty gwardzista, wzbogacony na interesach z Kompanją Indyjską, później zaś na dostawach w czasie wojny z Niemcami, i ostatni z nich, Pâris de Montmartel, markiz de Brunoy, który wydał zamąż i urządził panią de Pompadour, finansował jej rządy, będąc wraz z nią istotnym władcą interesów francuskich w 1760.

Wtedy to rozpoczynała się w Paryżu karjera Necker'a, rodem z Genewy, urzędnika bankowego, później zaś współnika, który szczęśliwemi spekulacjami na walorach angielskich, ułatwionemi znajomością rokowań z r. 1763, zarobił w kilka lat grube miliony i utorował sobie drogę do najwyższych urzędów, przysługując się królowi swym kredytem a opinii publicznej pożyczkami, udzielanemi zwolennikom reform. Jednej i drugiej stronie przysłużył on się równie źle, jako kontroler generalny i publicysta, kiedy ogłosił w 1781 swoje sprawozdanie finansowe (*Compte-rendu des Finances*). Było to pierwsze wyliczenie skarbowe, złożone, za jego radą, narodowi ze strony władzy królewskiej, wyliczenie jednak tak dalece nieściste, że zamykało się nadwyżką, ukrywającą olbrzymi deficyt. Państwo nie mogło się już więcej podnieść z konsekwencyj popularności tego finansisty i jego rozpacz-

liwych wysiłków kredytowych. Możemy zakończyć słowami Mercier'a, autora paryskich „Tableaux”: „Bankierzy stali się panami Francji”.

O b y c z a j e, Gdyby tylko bankierzy, ale głównie spe-
zbytek i sztuka
w e F r a n c j i kulanci, dzierżawcy generalni, eskom-
w wieku XVIII terzy i lichwiarze, dostawcy wojskowi, popychający do wojen, z których ciągną korzyści, dający zgubny przykład swą rozrzutnością, zaraźliwą dla królów, ich faworyt, dworzan, rodzin królewskich, a nawet i dla samych królowych. Dla utrzymania niesłychanego zbytku swych mieszkań, swego stołu, swych metres, wielkich dam, aktorek i tance-rek, nie liczyli się ci nuworisze z żadnymi wydatkami. Naśladują zaś ich wszyscy, ministrowie, urzędnicy, wielcy panowie i wyższe mieszczaństwo, pisarze i artyści, Voltaire i Boucher, władca Ferney i aranżer wielkich festynów paryskich. Można by wiele wybaczyć im i ich współzawodnikom, gdyż ukochali wielce sztukę i inteligencję. W dziedzinie literatury i dobrego smaku wywierały ich rządy na Europę w. XVIII ten sam wpływ, co rządy Ludwika, inaczej jednak, zastąpiwszy wdziękiem i sprytem, porządek i majestat. Natomiast pod względem politycznym i społecznym, wpływ ich był dla monarchji jaknajbardziej zgubny i dokonał jej upadku, jak dowodził tego przykład Rousseau'a, którego satyry i wycieczki roznamiętniały naród, aż do końca tego wieku.

Obyczaje, które zaprowadzili w monarchji i u jej sług, nie odpowiadały obyczajom władców i ministrów, mających w swej pieczy politykę i rządy wiel-

kiego państwa. Nic nie zdawało się obchodzić ich bardzo, jak przyjemności, polowanie i gra, teatr, festyny i rozrywki wszelkiego rodzaju. Oddawali się im tem namiętniej, że wieczne gonienie za przyjemnościami dostarczało im czego tylko zadowolenia, a króla takiego, jak Ludwik XV, skazywało na nieuleczalne nudy. Jakżeż smutne są te słowa Ludwika XVI, wypowiedziane w Reims, w dzień namaszczenia, darzącego go koroną: „zawadza mi ona”, i ta zazdrość wyrażona wobec Malesherbes’a, składającego swój urząd, „czemuż i ja nie mogę porzucić mego stanowiska?” Czemuż przestali oni odczuwać rozkosz, którą dawała praca ich wielkiemu dziadowi, przy wykonywaniu obowiązków królewskich, jeśli nie dlatego, że wszyscy oni, królowie i królowe, Ludwik XV i Marja Antonina, nasiąkli przykładem tych ludzi, żyjących dla pieniędzy i dla zabaw?

Zanim się spostrzegli, poruszyło to jednak opinie publiczną, która zasiadła na opuszczonym przez nich tronie. Czyż mogła ona nie wiedzieć o szalonej rozrzutności książąt, takiego hrabiego de Clermont, w dwudziestym drugim roku życia, zadłużonego na wiele milionów, takiego ks. Orleańskiego, który mimo swego olbrzymiego majątku posiadał jeszcze więcej, bo 75 milionów długów, o bankructwie księcia de Rohan-Guéméné, o marnotrawstwie Polignac’ów, utrzymywanych z królewskiej szkatuły, o ambasadorku hrabi de Guines, o kardynale de Rohan, skompromitowanym oszustwami, w które zamieszane było imię Marji Antoniny? Skandaliczne losy tych fortun, powstających i rozsypujących się dzięki grze i spekulacji, obyczaj,

które uczyły Talleyranda wystawiania „słodczy życia”, wszystko to wyjawiało przyczyny rozpaczliwego stanu finansów królewskich. Bliską była chwila, kiedy lud, który pozostawiał królowi od tak dawna, z całym zaufaniem zarząd wspólnego majątku, posłucha głosu buntu i pójdzie w październiku 1789 do Wersalu po chleb i żywność, której mu zabrakło.

Skargi Francji i narzekania w „Cahiers” Czyż przyda się to na co, stwierdzać za wzorem niedawnego dzieła jednego ze współczesnych pisarzy, że ówczesna Francja nie była bynajmniej nieszczęśliwą, że przemysł jej i handel nie były nigdy w świetniejszym stanie, „w stanie pomyślności bez żadnej chmurki”, że wreszcie wielka część ludności daleką była jeszcze od kresu swej zdolności podatkowej? Pocóż zastanawiać się nad tem, czy lud nie byłby uczynił lepiej, gdyby zamiast buntować się, był się raczej poskarżył królowi i jego ministrom, niż malkontentom i zwolennikom nowostek? W istocie nie chodzi bowiem o ocenę i sąd retrospektywny, lecz raczej o poznanie zapatrywań tej właśnie ludności, płacącej podatki, której zdolności i zasoby poddaje się ocenie, i to po stu latach zgórą. O wiele cenniejszem jest dowiedzieć się, o ile to możliwe, od nich samych, o tych skargach na przesadne ciężary, którymi obarczała ich władza królewska, wydana na łup rozrzutności dworaków, ich zbytłownych zachcianek i uciążliwych warunków bankierów, na ciężary, które wreszcie sprzykrzyło się Francuzom znosić samym. Po przyznaniu przez Brienne’a, w 1787, bankructwa finansów królewskich,

po daniu, dn. 5 lipca 1788, w imieniu króla, obietnicy rychłego zwołania, na nowych podstawach, Stanów Generalnych, po postanowieniu, podyktowaniem dnia 3 stycznia 1789, Ludwikowi XVI przez Neckera, wezwania wszystkich Francuzów do wyboru deputowanych, usłyszano poraz pierwszy w naszych dziejach głos Francji całej, już nie tylko tej uprzywilejowanej, pytanej dotąd jedynie o zdanie, lecz Francji miast, gmin i wiosek, głos wyrażony pod postacią wypisywanych życzeń.

Twierdzono często, że głos ten był tylko echem słów rozsiewanych jak burza po całym państwie, przez agitatorów, członków i przywódców łóż masonskich, związków literackich i politycznych, polityków, teoretyków i nowatorów. Czyż Brienne nie zwracał się istotnie do „wszystkich osób poinformowanych w państwie” o udzielenie rządowi swego zdania i porady? Zaraz też wystosowali listy ogólne nadużyć i reform Voltaire w Ferney, Thouret w Rouen, Mirabeau w Aix, Robespierre w Arras, ks. Sieys w Paryżu, Camille Desmoulins, i Target. Wiele też musiało istnieć wzorów takich rozważań, zaleconych przez nich zebraniom wyborczym, a których myśli a może też i tekst zostały przyjęte i dostarczone tym zebraniom przez autorów zeszytów (cahiers), pochodzących z różnorodnych gmin, miast i zwierzchności.

Wiele z tych zeszytów odnaleziono i opublikowano, większość jednak pozostało niewydanych. W bieżącym stuleciu poświęcono wiele pracy odszukiwaniu ich po całej Francji oraz metodycznemu i szczeremu opublikowaniu. Z pełnem zaufaniem można czytać

publikacje takich m. i. uczonych, jak Boissonade'a dla Poitou, Bloch'a dla ziemi orleańskiej, Bligny'ego i Bondurand'a dla okolic Nimès, Sée'go i Lesort'a dla Rennes, Fourestié'go dla Quercy, Gandilhon'a dla Berry, Porée'go dla Sens, Le Moy'a dla Anjou, Pasquier'a i Galabert'a dla ziemi tuluzańskiej. Widzimy często, jak zgromadzona ludność wiejska odrzuca gotowe wzory, które jej zalecano, lub też przyjąwszy je, wyraża dodatkowo własne uczucia i własne zapatrywania. Słyszymy więc skargi, częste i bolesne, na nędzę, którą obywatele ci, tak długo skazani na milczenie, przypisują nie bez słuszności, zbyt wielkim podatkom i niesprawiedliwemu ich rozdziałowi, widzimy rozdrażnienia wieśniaków, którzy własną pracą stworzyli tę francuską ziemię, przeciwko bankierom i urzędnikom, którzy wzbogaciwszy się ich kosztem i kosztem króla, przywłaszczają sobie ziemię i prawa zrujnowanej szlachty, stając się „prawdziwymi tyranami dla gmin wiejskich, dorobkiewiczami, o wiele bezwzględniejszymi od dawnych panów”.

Nie rzadko lud ten zaniepokojony jest niebezpieczeństwem, które uważał za zażegnane, w 1774, przez wstąpienie na tron króla młodego i uczciwego, skłonnego do podjęcia tradycji dobrego króla Henryka, którego postać, ozłocona legendą, przywodziła na pamięć władcę, poświęcającego swą działalność dobru poddanych.

Lecz oto niebezpieczeństwo to zjawia się znowu, jeszcze groźniejsze: „wszyscy czują się zagrożonymi!” Jakież to niebezpieczeństwo, jakaż to groźba? Nie o ojczyznę chodzi tu jeszcze, zagrożoną najazdem obcych

najemników; a jednak istniało niebezpieczeństwo upadku wewnętrznego, bankructwa, wywołanego rozrzutnością społeczeństwa, w którym król stał się zakładnikiem i ofiarą zadłużonych wielmożów i bankierów, finansujących to marnotrawstwo, społeczeństwa, które pod wpływem zamięłowania do zbytku i upajania się przyjemnościami, straciło widocznie wszelką miarę tego, co możliwe i słusze. Groziła konieczność zlikwidowania długów, wynoszących, jak przyznał Calonne, trzysta milionów, przy budżecie, wykazującym 160 milionów deficytu a obarczonym 600 milionowymi wydatkami rocznymi, w czym szóstą część szła na Wersal, na dwór, na królewskie pałace i na pensje.

**Apel narodu
do króla**

Przodkowie ich żyli w rezygnacji, w ciągu długich wieków. Z własnej inicjatywy, czy też za poradą swego proboszcza lub prawników gminnych i zaściankowych, którzy zwykle wyręczali ich w pisaniu, postanowili oni teraz powiedzieć wszystko królowi. „Ach, gdyby król wiedział!”, jak boją się oni chwili, kiedy ofiary ich już nie wystarczą, kiedy zechce się sięgnąć do dna ich sakiewek, żądać ostatniego grosza oszczędności, które ukrywali, przesadzając swe ubóstwo. Na tej ziemi, dookoła której skupili całą swą pracę, całą swą oszczędność i dzięki wprost umiłowanie posiadłości, o którą musieli walczyć z trudem z kapryśną naturą, z ludźmi i z organami skarbowymi wielkich panów i króla, nie chcą oni już oddawać się rezygnacji, jakby czemuś nieuniknionemu. Czyż nie dałoby się uniknąć katastrofy przy pomocy króla, w którego jeszcze wierzą, byle

tylko jego słudzy, urzędnicy, czy dworzanie nie byli odtąd jedynymi panami losów tego ludu. „Wszystko składa się na to”, piszą Francuzi z Nîmes, „by nas zniechęcać i uciskać, a to w imię króla dobrotliwego, ojca swych poddanych. Lecz on usłyszy nasze skargi, rozumem swym i potęgą rozprószy on chmury, które zasłaniają blask najstarszej i najpiękniejszej monarchji”. Co do ich dziedzictwa, zagrożonego bankructwem, o które nie obwiniają swego władcę, koniecznem jest, by on się wmieszał sam, by ustalił udział każdego w likwidacji. Po separacji fizycznej, między osobą królewską a narodem, która dokonała się zwolna w Wersalu, zapowiada się oto, w 1789, separacja majątkowa: rozwód jest już bliski.

Król, parlamenty Przyspieszały go, poczynawszy od 1787, i **naród w 1788.** bunt parlamentów, które Ludwik XVI postanowił zwołać, za radą Turgot'a, z okazji szczęśliwego wstąpienia na tron. Pierwszy impuls wyszedł od parlamentu paryskiego, który wraz z Cours des Aides et des Comptes przeciwstawił ministrom naród, gorąco przezeń witany. Parlamenty z Pau, Rennes i Grenoble zmusiły, swym buntem, Ludwika XVI do odprawienia Brienne'a i powołania popularnego finansisty Neckera. Przyklasnął im cały naród. Wdzięczny im był przede wszystkim za to, że domagały się one zwrócenia się do narodu, za pośrednictwem Stanów Generalnych, zwołanych wreszcie 5 lipca 1788. Naród ufał tym urzędowi, powołanym przez króla do wymiaru sprawiedliwości, tej najwyż-

szej królewskiej funkcji. Słyszał często, zwłaszcza w w. XVIII, jak zносиły one do króla skargi narodu na złe prawa, na ministrów odpowiedzialnych za ich doradzanie lub wykonywanie, na nadużycia w sądach i w rządzie.

Z tych to skarg, częstokroć równie ostrych, jak interpelacje w wolnych społeczeństwach, dowiadywali się Francuzi, poczynawszy od 1750 o nadużyciach rządowych, spodziewając się ich reformy. Dumni z roli przedstawicieli dobra publicznego, upojeni stawianym przez się oporem, tak często zwycięskim, rebeljanci, oklaskiwani przez tłumy, uważający się za obrońców swobód publicznych, odwzajemniali się w ten sposób ci *pères conscrits*, parlamentarzyści, monarchji z czasów Frondy.

Nie trwało to długo, a Francuzi spostrzegli się, że i oni stanowią także warstwę uprzywilejowaną, która, pod pozorem przyjscia narodowi z pomocą w kłopotach i dolegliwościach, zmierzała do odebrania ministrom rządów nad państwem, po to tylko, by lepiej utwierdzać własne przywileje, piastowanie urzędów kupnych i dziedzicznych, wyjęcie z pod ogólnych ciężarów. Skoro Francuzi spostrzegli, że parlamenty w Paryżu, w Grenoble, w Dijon i w Besançon sprzeciwiają się zamierzeniom Neckera, uczynienia ze zgromadzenia narodowego czegoś innego, niż nowego organu sfer uprzywilejowanych, stracili ich z Kapitolu, na który zdawali się wstępować, na Tarpejską Skałę. Upadek ich dokonał się jeszcze szybciej, niż upadek monarchji, przeciwko której rozpętali naród. W walce o rządy nad Francją, między ministrami a organizacjami urzędni-

czemi, naród wzywany przez przeciwników na pomoc, stał się ostatecznie ich sędzią rozjemczym. Czemuż urzędnicy ci nie pamiętali o przykładzie swego słynnego przodka, owego sędziego z La Fontaine'a, mającego do czynienia z dwiema zwalczającymi się stronami! Naród dowiedział się, że liczyć może tylko na siebie samego i nabrał poczucia własnej siły.

W „cahier” z Alençon czytamy istotnie: „Jak i co umożliwiło podobny kryzys państwa, któremu nie brakło do tego, by było podobizną Raju?” Słowa te nie różnią się od powiedzenia jednego z naszych najstarszych ekonomistów, Montchrétien'a, za dzieciństwa Ludwika XIII: „najdoskonalsza organizacja narodowa, jaką słońce może oglądać od wschodu aż do zachodu, stanowiąca, możnaby powiedzieć, świat cały dla siebie”. Świat wydarty od wieków barbarzyństwu, zbiorowisko ziem, gór, lasów i pól, mórz i rzek, podległe woli wytrwałej i twórczej, która nabrała uświadomienia ostatecznego w 1789, po to, by przywiązać się silniej niż kiedykolwiek do swej narodowej siedziby, nazwanej przez Szekspira oddawna „najpiękniejszym ogrodem świata”.

Jeśli, dla uchronienia od upadku gmachu, wzniezionej pracą tylu pokoleń, potrzeba będzie nowego wysiłku, podejmą się go śmiało mieszkańcy wsi i miast. „Pokażą oni do czego są zawsze zdolni”, w tem skupieniu woli zbiorowej, która się urzeczywistni entuzjastycznej nocy 4 sierpnia 1789. Dążą oni zgodnie do tego, czego dokonała od czasu Henryka IV potęga monarchji, a czego teraz dokonać muszą własnymi siłami, skoro monarchja Burbonów zapomnia-

ła, w swej dumie i swej słabości, o nauce swego założyciela, o przykazaniu i prawie, rządzenie się zawsze rozumem.

Naród przeciw samowoli Zdrowy rozsądek narodu, kierowany przez pisarzy, wysłanych z mieszczaństwa, wykrył mu przyczyny zła, ujawnionego w rozrzutności i zbytku całej tej epoki, zła, przez naród najbardziej znienawidzonego, samowoli, skłonnej łatwo do kaprysu, broniącej niesłusznych i rujnujących przywilejów, niezdolnej do reform i prawdziwego porządku.

Jeśli istnieli gdzieś na prowincji intendentzi, posiadający wolę i możność naprawiania, w imieniu króla i w jego zastępstwie, skutków tej samowoli, własną gorliwością i poczuciem swych obowiązków wobec ludu, to wszystko co zrobili dobrego, tu i ówdzie, było tylko wypływem ich osobistej dobrej woli. Te dobrodziejstwa nie wystarczały w całości do usprawiedliwienia rządów, które nadały im tę władzę. Rządy to były nieuporządkowane, a Stanowi Trzeciemu, duchowieństwu w Beauvais, wydawały się, wprost nieistniejącymi: „anarchją”. O tę anarchję obwinia się wszystkich, którzy w niej biorą udział, ministrów, intendentów, trybunały, urzędników i dworaków. Zarzuca się im korzyści, które zdają się ciągnąć z upadku państwa, „te amfibja, żyjące z miecza i z Kościoła, a posiadające sekret dodawania do tego jeszcze i urzędowej szaty”. Absolutyzmowi królewskiemu, państwu, które od Filipa - Augusta służyło stworzeniu narodu, przeciwstawia się ten naród w 1789, oburzo-

ny tem, że stworzyło ono zeń „zaledwie zlepek niezespojonych z sobą części”. Szlachta prowincjonalna, wyrażając w „cahier” z Carcassonne, opozycję Francuzów przeciw rządowi Ludwika XVI, wypomina, wraz z nimi, królowi, źle obsłużonemu, błędy jego ministrów: nie umieli oni prowadzić dalej, w Wersalu, dzieła jego przodków, nie potrafili też dokonać zjednoczenia prowincyj, organizmów i warstw między sobą i z monarchją. Podobnie jak Jeanne d’Arc po wojnach angielskich a Henryk IV po wojnach domowych, wzywają oni monarchję do pozbycia się winowajców anarchji i chaosu, którzy dla interesów własnych i swych przesądów poświęcają prawdziwą jej przyszłość, będącą owocem długiej przeszłości.

Ów apel narodu, który wśród finansowego nieładu i walk domowych uświadomił sobie, czy też przypomniał własne przeznaczenie, wyraził się wówczas w nowej postaci, wynikającej, rzecz prosta, z ducha czasu. W „cahiers” z Beauvais, z Sézanne w Szampanji, z Auvernji i z Prowancji, czytamy: „konieczna jest jakaś niezmienna zasada we wszystkich działach administracji”, zasada niepodlegająca naginaniu do osób i miejsca, zapewniająca zupełną przejrzystość gospodarki finansowej, zabezpieczająca wszystkim obywatelom równe swobody, prawo własności i wolność sumienia, stanowiąca niezłomną zaporę dla bezprawnych i samowolnych poczynań ministrów i ich agentów. Zasady te wyrażano wówczas prawie wszędzie, w ten sam sposób: przeciw samowoli, *prawo*, przeciw nieładowi, *konstytucja*.

Powrót do rozumu i prawa Ileż to razy powtarzano nam, a i dziś jeszcze, w niedawno wyszłem dziele, że naród nie byłby zdobył się sam na te zamysły konstytucyjne i na takie ich ujęcie, gdyby nie były mu one zostały poddane i podyktowane z zewnątrz! W tem wszystkim należałoby się rzekomo dopatrywać wpływu małego tylko koła wtajemniczonych i oponentów, ludzi nauki, towarzystw liberalnych i wolnomularskich, czerpiących z krytyki i nauki filozofów w. XVIII, z niedoskonałej jeszcze wiedzy, romantyzmu natchnionego przez Niemcy i Genewę, którym pozwalała rozprzestrzeniać się wśród narodu współwinna czy też ślepa władza publiczna. Samowola królewska nie byłaby została, wobec tego, potępiona, gdyby się była umiała bronić.

Przedstawiając w ten sposób ruch umysłowy, który przekonał i oświecił Francuzów, w w. XVIII, zapomina się jednak nazbyt o przygotowaniu rozumowem w XVII, o dziele wspólnego wysiłku mieszczaństwa, myślicieli i pisarzy. W imię rozumu błagał Colbert króla, „by wymierzał wszystkim równą sprawiedliwość, w miarę ich zasług i czuwał nad wielką nędzą ludu”. A Bossuet, powodowany współczuciem i zmysłem politycznym, czyż nie wzywał, w 1675, Ludwika XIV, „by szukał środków zaradczych na wielkie niedomagania, zagrażające państwu, gdyż inaczej wszystko będzie beznadziejnie stracone?”. Jak groźne zapytania wysuwał znów La Bruyère, wobec tronu, pisząc w rozdziale o *władcy*: „Czy trzoda stworzona jest dla pasterza, czy też pasterz dla trzody? Wystawność i zbytek władcy, to pasterz w złotogłowie, obwie-

szony drogimi kamieniami, z złotą laską w dłoni. Pies jego złoty ma naszyjnik a uwiązany jest na smyczy ze złota i jedwabiu. Cóż pomoże trzodzie tyle złota, przeciwko wilkom?"

Monarchja Burbonów, w pojęciu tych wielkich ministrów i pisarzy, zalecona Francji w w. XVII, była rządami rozumu, nie zaś zachcianek i samowoli, pozbawionej praw słusznych i rozsądku. Pojęcie tak rozumne, troska o uporządkowanie urządzeń państwowych, dla poprawienia ich błędów i nadużyć, dla umożliwienia ich rozwoju, według tychsamych metod, które rozwijały i kształtowały francuską myśl i sztukę, dla czegoż miałyby one zaniknąć w duchu narodu, w wieku następnym?

Odmienne postępowanie następców Henryka IV i Ludwika XIV przyczyniało się, przeciwnie, do rozwoju tych pojęć. Już za czasów Frondy, wśród poruszenia wywołanego opłakaną gospodarką finansową, „szukano poomacku zasad”, mogących uporządkować życie narodu. I wówczas już spostrzegli się Francuzi, że naród nie jest prostem zbiorowiskiem ludzi, urodzonych na ziemiach królewskich lub pańskich, ani też samą ziemią tylko, zlepkim przypadkowym, powstałym ze zdobyczy lub dziedziczenia. Później jednak odwrócili się od tych myśli i zamilkli, z miłości do króla i do porządku, skłonni jeszcze wierzyć, wraz z Pascalem, że porozumienie króla z narodem, „dokonuje się lepiej w milczeniu”. W sto lat potem, milczenie to zostało jednak przerwane sporami Ludwika XV i jego ministrów z poddanymi, sporami religijnymi, parlamentarnymi i finansowymi, które uspo-

koili się zaledwie na lat kilka, za czasów Maupeou'a i Terray'a, by wybuchnąć na nowo jeszcze żywiej w 1755, w przededniu grożącej już rewolucji. W toku tych sporów, w gorącej dyskusji, wyjaśniały się warunki trwałego porządku, które jedynie mogły zabezpieczyć porozumienie między Francuzami, na ruinach rządów samowoli i przywilejów. Konstytucja, której zamierzali domagać się od Stanów Generalnych, wydawała się im ukoronowaniem narodowego dzieła, opartego w ciągu wieków na pracy wspólnej, nieświadomej, kierowanej początkowo, przez czas długi, nawyknięciem do monarchji i pokładaną w niej wiarą, odtąd zaś świadomością własnej przeszłości i przyszłości.

Przykład narodu angielskiego, rządzącego się własną wolą przy pomocy parlamentu i ministrów, z dniem każdym coraz bardziej przed nim odpowiedzialnych, nauki rewolucji amerykańskiej, oświadczenia amerykańskich mężów stanu, ustrój, który nadały sobie Stany zbuntowane i sprzymierzone przeciw Anglii, doświadczenia rządów republikańskich w Genewie, wszystko to dostarczyło, bezwątpienia, argumentów i wzorów, pisarzom politycznym i francuskiemu społeczeństwu w. XVIII, społeczeństwu europejskiemu, które uczyło się u nich i wraz z nimi. W ten sposób powstały pojęcia praw, niezbędnych dla istnienia narodów i ich pomyślności, dla uprawnień jednostek, podziału władzy w państwie, oraz dla ustrojów, opartych na porozumieniach, uznanych i przyjętych zarówno przez władcę, jak i przez obywateli.

W rzeczywistości jednak wszedł ten kryzys

w okres rozstrzygający wobec odezwania się całego narodu francuskiego, uwidocznionego jednomyślnie w owych „cahiers”, a skierowanego do tronu przeciw chaotycznej i rujnującej samowoli administracyjnej. Ludwik XVI słuchał tego głosu niezbyt łaskawie, wahając się i nie mogąc się zdecydować na wybór między własnem zapotrzebowaniem swych poddanych, a pomocą którą mu oni ofiarowali. Tym zaś, przeciwnie, było pilno z wynalezieniem praktycznych środków ku zapobieżeniu katastrofie, zagrażającej zarówno im samym, jak i ich władcy, a których nie chcieli użyć do rady królewscy. Szukali ich, idąc za głosem rozsądku, w dokładnem i szczerem zbadaniu wydatków królewskich i długów, w równym rozdziale ciężarów koniecznych do ich pokrycia, bez żadnych przywilejów ani różnic między prowincjami i stanami, we wspólnym wysiłku ofiarnym, dobrowolnym lecz i ustalonym zarazem, którego Francja dawała tylekroć przykład w chwilach krytycznych. Stany Generalne miały stać się widownią walki innej od tych w których broniły się one i utwierdzały przeciw obcym, walki jednak niemniej narodowej, prowadzonej przeciwko nadużyciom złych rządów, niesprawiedliwych i rozrzutnych, oraz sług ich upartych i ślepych, przeciw nadużyciom doprowadzającym do ruiny. By w walce tej zwyciężyć, uzbrajał się naród, idąc za nauką daną mu przez monarchję, ufając jedności, do której czuł się zdolnym, oraz rozumowi, który miał kierować Konstytucją i ustawami, koniecznemi dla jej zabezpieczenia.

Kiedy Bonaparte chwalił się raz, po bitwie pod Marengo, wobec Sieys'a, że swym genjuszem wojen-

nym stworzył *wielki naród*, odpowiedział mu tenże, nie chyląc się jeszcze wówczas kornie przed swym panem, z równą dumą, że jednak tak samo zasługą Konstytuanty i jego własną było stworzenie, dziesięć lat przedtem, *narodu*. Obaj współpracownicy w Konsulacie przeceniali swe zasługi. Pierwszy Konsul, przypisując sobie całą chwałę zwycięstw francuskich w Europie, zapominał zbyt o wartości i zapale armij republikańskich, którymi umiał się sam posługiwać tak dobrze w Italji i w Niemczech. Z drugiej zaś strony, czyż Sieys miał prawo, twierdzić, że stworzył naród? Ani od niego, ani od jemu podobnych, mimo całej ważności ich roli, nie zależało powołanie do życia tego narodu, gdyby nie był on już w pełni żył i działał, nie był istotą tak świadomą swej wielkiej przeszłości, swego genjuszu narodowego, swych sił i swych przeznaczeń, jak była nią Francja roku 1789. Dopomogli mu oni co najwyżej do ukształtowania się w formie legalnej i ustalonej, jakiej domagali się Francuzi od swych posłów i od swego króla, postanowiwszy nie uznawać odtąd między sobą, dla dobra ogółu i państwa, żadnych innych różnic, jak te, które stwarzała zasługa i cnota, żadnych różnic między pojedynczymi częściami swego historycznego dziedzictwa, żadnych niebezpieczeństw, grożących mu z zewnątrz czy z wewnątrz.

Przewrót narodowy r. 1789. Już w w. XVII, w pełni panowania Ludwika XIV, wypowiedział La Bruyère uwagę, która wydawałaby się bardzo śmiałą, gdyby nie brać pod uwagę jej istotnego znaczenia: „przy despo-

tyzmie niema ojczyzny". Trzeba było dopiero, by monarchja burbońska, która, mimo królewskiego absolutyzmu, nie była despotyczną, okazała skłonności i w tym kierunku, przerzucając na lud cały ciężar swych błędów oraz nadużyć swych rządów i swego dworu, by ten lud uświadomił sobie, że obalając ją, odbudowuje równocześnie francuską ojczyznę. Rzeczni-kiem tej świadomości stał się stotnie Mirabeau, dnia 20 czerwca, w sali Jeu de Paume, rzucając markizowi de Dreux - Brézé owe słynne słowa, przeciwstawiające wolę patriotycznego ludu królewskim bagnetom, użytym w obronie przywilejów. Ten sam Mirabeau był, w miesiąc później, takimże samym wyrazicielem przekonania ludowych w liście swym do mera Strassburgu, Dietricha, w którym stwierdzał konieczność i życzenie narodu, oparcia się o tron dla przewyższenia przywilejów i intryg arystokracji, a nawet kilku arystokracji, równie wrogich jednemu i drugiemu. Czyż i to także nie wyrażało wiernie tradycji politycznej, tak bliskiej Francuzom, nawykłym do wspólnych wysiłków króla i jego ministrów, — od Ludwika XI aż do Richelieu'go, Ludwika XIV i Turgot'a — w kierunku zmuszania do posłuszeństwa i narodowego zjednoczenia, często nie bez przesady, wielkich panów i miast, organizacyj i prowincyj, zakusów niepodległościowych i wszelkich przywilejów?

Od chwili otwarcia Stanów Generalnych, Ludwik XVI nie umiał, pod wpływem swych doradców, wybrać między narodem, dokonywującym swego ukształtowania poza nim, a otoczeniem, które, wraz

z królową, przykuwało go do formy rządów, niezdolnej do utrzymania, nawet przy jego współdziale. Myślał o usunięciu Zgromadzenia Narodowego ze sali des Menus, później zaś pogodził się z niem. Odprawił Neckera, później zaś przywołał go z powrotem, ustępując przed siłą rewolucji paryskiej 14 lipca. Jednomyślna niemal wola deputowanych, stworzenia nowej formy rządu, zgodnej z wolą ludu, nie potrafiła jeszcze, nazajutrz po 4 sierpnia, przewyciężyć w nim ukrytego pragnienia przeszkodzenia zmianom, przygotowującym się zewsząd a którym nie już nie mogło przeszkodzić. W chwili, kiedy usłuchał rady, by sprzeciwić się postanowieniom Zgromadzenia, pisał Ludwik XVI do arcybiskupa z Arles, dn. 5 sierpnia: „Nie udzielię mej sankcji dekretem, odzierającym moje duchowieństwo i moją szlachtę. Poddaję się prawom Opatrzności, nie podzielając entuzjazmu, który opanował wszystkie stany a który ledwie dotyka mej duszy”. Słowa to fatalne dla monarchji, słowa króla, który w tym decydującym momencie porzuca się, nie mając sił po temu, na utrzymanie urzędów, potępionych entuzjastycznie przez cały lud, przez wszystkie stany, i zaślepiony w wierze w misję bożą, której bynajmniej nie otrzymał, odważa się przeciwstawić się sam jeden jednomyślnej woli narodu nadania sobie praw, zgodnych z rozwojem politycznym i społecznym, a któremu mógł być się przysłużyć, stanąwszy na jego czele! Pod kierunkiem władcy i pod jego przewodnictwem byłby rozwój ten dokonał dzieła przekształcenia Francji. Wbrew niemu,

stał się rewolucją, a nie zwykłym buntem tylko, jak to sobie wyobrażał król i jego dworzanie. Rewolucja ta rozpetęła siły ludu, przeciwstawiając królowi i królowej w Wersalu, po rzezi ich obrońców, wściekłość zwycięskich mas przybyłych z Paryża, a których Lafayette, pewny powodzenia, nie umiał już powstrzymać. Ludwik XVI wracał 6 października do stolicy, jako więzień, przy okrzykach: „Niech żyje naród!”

Prawa narodu i jego zjednoczenie Te tragiczne sceny usprawiedliwiały aż nadto przewidywania Rousseau'a w swych *Discours sur l'inégalité*: „Nikt nie zapoznaje, jak niebezpiecznym jest w wielkim państwie czynnik anarchji i przewrotu, wyprzedzający z konieczności wszelkie nowe rządy, jak groźnem jest poruszenie ogromnych mas, stanowiących naród francuski. Któż potrafi powstrzymać taki wstrząs i przewidzieć wszystkie jego skutki?” Wstrząs okresu od 20 lipca do 6 października 1789, ogarnął z Ile-de-France, całe państwo. Nędzarze ze wsi i miasteczek palili rogiatki, zamki i dyplomy pańskie, Pod naporem motłochu, w obawie przed gorszymi jeszcze wykroczeniami, dokonywała się w łonie Zgromadzenia rewolucja społeczna i administracyjna, stwarzająca nową Francję, w duchu równości i wolności. To, co Rousseau uważał za niemożliwe, za tak dalece niebezpieczne, że, jak mówił „nie odważyłby się na to człowiek rozsądny”, zostało urzeczywistnione przez Francuzów, z konieczności czy też pod wpływem entuzjazmu. Znieśli oni dawne zwyczaje, zmienili dawne

zasady i nadali państwu formę odmienną od tej, do której je doprowadziły rządy monarchiczne. Kształtowały się wówczas do nowego życia raczej losy narodu niż państwa, stworzone powolną pracą trzynastu wieków, a wyrażone odtąd dewizą konstytucyjną, która miała być wypisana na nowym sztandarze ojczyzny: „naród, król, prawo”.

VI.

NARÓD FRANCUSKI W POSZUKIWANIU FORMY RZĄDÓW. MIESZCZAŃSTWO I DEMOKRACJA.

Rządy polityczne Francji od 1789 do 1875. — Francja bez króla: Varennes. — Rządy mieszczaństwa po r. 1789. — Administracja z wyborów. — Asygnaty i dobra kościelne. — Konstytucja cywilna i szyszma. — Emigracja i groźby wojny. — Zgromadzenie ustawodawcze a wojna. — Ojczyzna w niebezpieczeństwie i terror. — Konwent i republika patryotów. — Obrona jedności francuskiej i jej organizacja. — Zdobycze republiki. — Bonaparte i pokój wewnętrzny. — Centralistyczne poczynania Konsulatu. — Cesarstwo i czwarta dynastia. — Powrót Burbonów. — „Pays légal” i Karta. — Rządzący i rządzi. — Stanowisko i wpływ Paryża. — Nędza warstw robotniczych i ich żądania. — Doktryny socjalistyczne. — Rewolucja socjalna r. 1848 i głosowanie powszechne. — Rozwój gospodarczy Francji w w. XIX. — Polityka drugiego cesarstwa (1852 — 1870).

**Rządy polity-
czne Francji
od 1789—1875**

Upłynęło lat blisko sto pięćdziesiąt od chwili, kiedy naród francuski wyraził wobec monarchji swą wolę i swe prawo do kierowania własnymi losami, w duchu równości i wolności, opartej na prawie, odkąd rozentuzjazzmowanym obywatelom i Europie całej dał on obraz święta jedności, w Federacji 14 lipca 1790, będącej uświęceniem jego wiekowych wysiłków i symbolem nadziei na przyszłość. Od tego czasu dzieje jego szczególnie były urozmaicone, pełne tylu wypadków i nagłych zmian, że chronologiczne ich badanie musiało trzymać się nie lat, lecz miesięcy i dni pojedynczych. Historia to często tragiczna, lecz i bohaterska zarazem, historia szlachetnych porywów i krwawych okrucieństw, czynów chwalebnych oraz smutnych i zbrodniczych omyłek, niepokojąca i zdumiewająca przez swe cofania się wstecz i późniejsze nawroty. Próby, podejmowane przez Francję, w ciągu półtora wieku, z różnemi formami rządów politycznych, zarzucanemi i znów podejmowanemi na nowo, sprawiały wrażenie, że od chwili, kiedy Francja nazwała się panią swej własnej przyszłości, od 1791, przyszłość ta wymykała się jej z rąk. Początkowo monarchja konstytucyjna i rządy mie-

szczaństwa, oparte na cenzusie majątkowym, potem republika demokratyczna i samowładna przez trzy lata Konwentu, republika cenzusowa Dyrektorjatu i Konsulatu, z pięcioma przywódcami, później trzema, a wreszcie jednym, cesarstwo plebiscytowe Napoleona Pierwszego, monarchja konstytucyjna, później zaś parlamentarna, od Ludwika XVIII do Ludwika Filipa, i znów republika demokratyczna powszechnego głosowania, przerwana na lat ośmnaście plebiscytem cesarstwem, to samowładnem, to znów liberalnem, wreszcie pięć lat wahania się między monarchją, cesarstwem a republiką, od 1870 do 1875.

Z powodu tych zmian w formach rządu, wyprzedzanych rewolucjami i zamachami stanu, lub też do nich prowadzących, obwiniano Francuzów o brak przewidywania, ujawniający się w zburzeniu w 1792 dzieściowiekowego gmachu politycznego, bez powzięcia planu jego odbudowy, obwiniano ich o lekkomyślność, o niezdolność uspokojenia się i ustalenia. To jest ten wielki zarzut, wysuwany przez Burke'a i jego stronnictwo, przeciwko ludziom r. 1789. Wielu historyków i krytyków wydało ten sąd surowy o narodzie, który, oświadczywszy z końcem w. XVIII, że chce rządzić się sam, podobnie jak Stany Zjednoczone, upodobił się, rzekomo, w ciągu w. XIX, raczej do narodów południowo-amerykańskich, w swych ustawicznych wahanach się między rewolucjami i wojskowemi dyktaturami. Porównuje się chętnie awantury polityczne Francji z stałym i uporządkowanym rozwojem współczesnych instytucyj angielskich. Porównanie nie jest jednak jeszcze równaniem: właśnie przykład Anglii,

która potrzebowała całego wieku, od 1625 do 1745, od śmierci Jakóba I Stuarta, do nieszczęsnego przedsięwzięcia Karola Edwarda, by stworzyć, i to jeszcze niezupełnie, podstawy swych konstytucyjnych rządów, powinien był pouczyć krytyków i usposobić ich po-błażliwiej w stosunku do Francji. Zapomina się zbyt łatwo o ścięciu Karola I, by podnosić ścięcie Ludwika XVI, o protektoracie Cromwell'a i dyktaturze ks. Marlborough, by mówić tylko o Napoleonie. A ileż to czasu potrzebowały Niemcy, od wysiłków cesarza Maksymiljana, z początkiem w. XVI, w kierunku stworzenia rządów związkowych w cesarstwie, aż do połowy w. XIX, by osiągnąć „ogniem i mieczem” ową jedność Rzeszy, która przeżyła upadek dynastji niemieckich i Hohenzollernów, tych odległych spadkobierców Karola V! Dla czegoż przy wydawaniu sądu za wiek miniony, przypisywać jedynie narodowi francuskiemu, lubowanie się w sporach partyjnych i religijnych, zamachach i aktach gwałtu ludowego?

Francja bez króla: Czemże jest wiek jeden dziejów, w stosunku do długiej przeszłości narodowej, którą właśnie poznajemy i która jedynie może go wytlómaczyć? W ciągu tej przeszłości Francja powstawała zwolna, tworząc i wyzyskując swe terytorjum, uświadamiając sobie swe tradycje i swe dążenia. Powstawała ona w tak ścisłej łączności z państwowością Kapetyngów, przy tak ciągłej wymianie usług z tem państwem, że w chwili, kiedy ta ewolucja narodowa dokonywała się ostatecznie przez zniesienie przywilejów, nierówności stanowej i pro-

wincjonalnej, przygotowanej przez tychże królów i ich ministrów, Francja zaskoczona została znienacką świadomością i stwierdzeniem rozerwania tych wiekowych węzłów między sobą a monarchją. Zaskoczenie to objawiło się przestraczem i oburzeniem. Można dokładnie ustalić jego datę, zbiegając się z ucieczką króla do Varennes, 20 czerwca 1791, jego uwięzieniem i wynikiem stąd poruszeniem Francuzów. Nikt nie wierzył wówczas, by Francja mogła istnieć bez króla i ostać się w przyszłości przed wewnętrznymi i zewnętrznymi niebezpieczeństwami.

Dziś zostało to już ustalonym i godzą się na to historycy wszystkich szkół, że wówczas nie było jeszcze we Francji zdeklarowanych republikańców, zwłaszcza zaś republikańskiego stronnictwa. Po pierwszych przełomach r. 1789 i po debatach w Konstytucji, Ludwik XVI, mimo ciągłego oporu przeciw ustanowieniu nowego porządku rzeczy, pozostał nadal drogim dla swych poddanych, choć mienili się od-tąd obywatelami, może nawet droższym, niż przed temi decydującymi zmianami. Tron mógł uchodzić nawet za opiekuna i obrońcę dokonywanych reform. Mówiło się o wyprawieniu arystokratów na latarnie, lecz ochrony przeciw ich intrygom szukało się u króla. Węglarze witali go owacyjnie na pobrzeżu koło Luwru, gdzie lud oddawna odwykł od oglądania swych władców. Kiedy 14 lipca 1790 Ludwik XVI zjawił się z królową i Dauphin'em na Polu Marsowem, by złożyć przysięgę przed ołtarzem Ojczyzny, ten gest królewski i widok władcy wywołały w tłumie trzystu tysięcy widzów, przybyłych ze wszystkich stron państwa,

entuzjazm i zapał lojalności, które rozeszły się po całej Francji. Jeszcze w marcu 1791, zaledwie na trzy miesiące przed ucieczką do Varennes, kiedy Ludwik XVI zachorował, stwierdza Kamil Desmoulins, z żalem zresztą, wzruszające dowody sympatji ludu. Cała długa przeszłość wzajemnego zaufania i przywiązania została zniszczona, w kilku dniach, przez tę ucieczkę, na którą zdecydował się Ludwik XVI, za głosem złych doradców i na naleganie królowej! Czyż Francuzi mogli nie stracić orientacji wobec tak niepewnej przyszłości, i stracić ją na długo?

Rządy mieszczaństwa po roku 1789 W tem zamieszaniu rządy Francji przeszły z konieczności i wyłącznie na mieszczaństwo. Przygotowywało się ono do tej roli, od końca w. XVI, przez swą kulturę, doświadczenie w interesach i przez swe majątki, pomnożone zwłaszcza wskutek rozwoju gospodarczego w w. XVIII, zawsze jednak dotychczas na usługach króla. Pracowało dla tego mieszczaństwa Zgromadzenie Narodowe, w którym stanowi ono większość. Przy pomocy swych ustaw o własności, o związkach, o organizacji podatków bezpośrednich i pośrednich oswobodziło ich ono od wszelkich przeszkód, które przeszkadzały im w pracy i zbogacaniu się. Zastrzegło im ono udział w życiu publicznem, ograniczając prawo głosowania do obywateli, opłacających podatki w pewnej wysokości, obieralność zaś do tych, którzy byli właścicielami ziemskimi, opłacającymi podatek jedną markę srebrną, czyli około 50 franków. Dla tych Francuzów „wypłacalnych”, monopol wszystkich funkcji admini-

stracyjnych i sądowych oraz przywilej wydawaia ustaw, dla nich też, i tylko dla nich, prawo zbrojenia się, jako gwardja narodowa, dla ustaw tych wykonywania. Biedota, której pozwolono się odezwać przy wyborze Trzeciego Stanu do Stanów Generalnych, stała się znów „bierną”, tak, jak nią była w czasie całego trwania ancien régime'u. Odtąd nie miała już jednak pozostać w tej rezygnacji. Rewolucja dwóch pierwszych lat przywróciła naogół mieszczaństwu pierwsze miejsce w państwie; równocześnie obarczyła je ona ciężką odpowiedzialnością za nowy okres dziejów, rozpoczynający się dobrowolnem lub przymusem wykluczeniem arystokracji i odmową współpracy ze strony króla.

Przeciwnicy ze strony prawej czy też lewej prześcigali się w czynieniu zarzutów tej mieszczańskiej Republice, „która zajęła miejsce tronu i ludu, w imię suwerenności ludowej”, przywłaszczyła sobie władzę, urzędy i majątki, przeznaczone, stosownie do jej ustaw, dla narodu, przywłaszczyła sobie na to, by rządzić następnie tą nową Francją. Łatwo jest przerabiać dzieje, po myśli naszych współczesnych, na usługi ich namiętności i stronniczości. Przestają one jednak być dziejami, stworzonymi przez następujące po sobie pokolenia, ich idee, ich uczucia i ideały. Ludzie w. XVIII, nawet taki Rousseau, nie uważali istnienia rządów demokratycznych w kraju tak wielkim, jak Francja, ani za możliwe, ani też pożądane. Twórcy republiki w Stanach Zjednoczonych, tej młodej i bardzo słabej jeszcze demokracji, Waszyngton i Hamilton, wątpili sami o wartości swego dzieła. Konstytuanta zastrzegła sobie wła-

dzę nie z pobudek egoistycznych, dla pozbawienia ludu swych praw, lecz w obawie i niepewności, czy będąc tak długo pozbawionym władzy, potrafi ją wykonywać i zabezpieczyć nowy porządek. W walce z przywilejami, w której cały naród, z wyjątkiem samych uprzywilejowanych, pragnął zwycięstwa i istotnie je uzyskał, czyż Zgromadzenie i mieszczaństwo nie doświadczyli zaraz i niejednokrotnie tego, że król wspomagał ich wysiłki tylko pod naciskiem mas ludowych, których użycia i nadużycia obawiali się oni na równi z nim samym? Czyż sprawiedliwość nie wymagała uwzględnienia trudności zadania, dokonywanego w takich warunkach, oporu stawianego przez nich gwałtom mas, popychanych głodem i bałamuconych przez prasę, częstego odwoływania się od króla źle poinformowanego do króla pouczonego lepiej, ich wysiłków, mimo wszystko poważnych, by stworzyć Francję, dostępną, po ich myśli, wszelkiej inicjatywie, wszystkim zdolnościom? Mieszczaństwo to, nie było zresztą klasą zamkniętą w sobie, podobnie, jak i angielska gentry, której W. Brytania zawdzięcza swe swobody i swą potęgę. Dla siebie samego i dla innych obywateli, których chciało wychować, wierzyło ono w cnotę oszczędności, którą znało z doświadczenia, jako cnotę francuską. Słynne słowa Guizot'a, rzucone później przeciwnikom cenzusowego mieszczaństwa: „Wzbogacajcie się!”, gdyby nie zostały wykoszlawione w gwałtownych debatach, oznaczały w istocie tylko wezwanie do oszczędności, tej starej rasowej nawyczki, która chroniła przed rozrzutnością i chaosem finansów królewskich i pozwoliła narodowi na wejście do praworządnej spo-

łeczności. Niejedna rodzina francuska przyczyniła się w ten sposób, od r. 1789, swym własnym wzrostem do dobrobytu Francji i własnego.

Administracja z wyborów Dokonując swego, niezwykle trudnego dzieła, popełnili twórcy nowego gmachu bezwątpienia szereg błędów, tak co do swych obliczeń, jak i co do samego planu. Dla wykonywania ustaw, którym ufali, mimo ich nowości, i które nabierały wartości dopiero przez wykonanie, stworzyli oni w całym państwie ciała wybieralne, kierowani fatalną nieufnością do administracji zawodowej, ministrów i ich organów, nie przewidziawszy, że w chwilach tak przełomowych, tacy urzędnicy nie potrafią bronić porządku przeciw własnym wyborcom. Oburzali się słusznie na frymarczenie urzędami sędziowskimi, nie mniej niebezpiecznem było jednak powierzanie ich sędziom, wybranym przez tych, którzy mogli stać się sami podsądnymi. Armja, naruszona w swych kadrach przez emigrację, nie znalazła drogą wyborów, oficerów, którzy mogliby wystarczyć do utrzymania dyscypliny. Gminy i municypja, do których usług uciekała się w przeszłości władza królewska, przeciw feudalizmowi, a które poddała następnie, poczynawszy od w. XIV, rozkazom swych organów, przy pomocy ich własnych urzędników, odzyskały bardzo rozległe uprawnienia. Pod naciskiem miejscowych wyborców, miały one stać się potęgą, niezależną od rządu, umiejącą mu stawić opór, a nawet, jak to miało miejsce zwłaszcza w Paryżu, dyktować mu swą wolę. W chwili, kiedy zawiodła władza królewska, zmuszając naród

do stanowienia samemu o swych losach, znalazł się on pozbawiony środków działania, koniecznych do wymuszenia poszanowania dla swych zamysłów i swych ustaw.

**Asygnaty i do- Środki finansowe, których naród dostar-
bra kościelne** czyć chciał państwu, obejmując dobra duchowieństwa dla zażegnania deficytu gospodarki monarszej, stały się pod formą asygnat, długoterminowych zobowiązań, nałożonych na nabywców dóbr narodowych, niczem innym jak monetą kredytową, zdeprecjonowaną w chwili, kiedy przywrócenie kredytu publicznego okazało się niemożliwym. Jakżeż bowiem można go było przywrócić przy pomocy podatków, które w swej nowej postaci, jako wyłącznie niemal bezpośrednio, wpływały gorzej jeszcze niż w przeszłości? Rząd nie posiadał innych źródeł, dla zaspokojenia swych potrzeb, poza pomnożeniem asygnat. Inflacja nie przyniosła mu pożytku a zrujnowała jeszcze bardziej jego kredyt. Dobra duchowieństwa zubożyły tylko nabywców, którzy zapłacili za nie zdeprecjonowanymi papierkami. Koszt utrzymania wzrósł z korzyścią dla wieśniaków, którzy wstrzymywali środki żywności. Nędza wypędzała po miastach na ulicę tłum, gotowy do rabunku i do buntu. Nadzieje pomyślności, obudzone przez nową erę, zmieniły się w gniew przeciw zarządom społeczności narodowej, nieumiejącym, podobnie jak i rządy poprzednie, ochronić się przed bankructwem, obwinianym o chaos i anarchję. Kryzys polityczny zaostrzył się kryzysem gospodarczym i społecznym. Lud czy też

jego przywódcy, skarżący się na złe rządy, wywalczyli sobie w Paryżu, przez powstanie, prawo rządzenia się samemu i to rządzenia się lepiej.

**Konstytucja
cywilna
i szyszma**

Równocześnie z zagrożeniem interesów materialnych, zaniepokoił sumienia bardzo poważny konflikt religijny. Za poradą Talleyranda wyciągnął zrozpaczony naród, ręce po dobra kościelne. Będąc jeszcze naogół bardzo religijnym, nie myślał wcale o dotykaniu misji duchownej duchowieństwa. Sposób jednak, w jaki misja ta była wykonywana, od czasu ustanowienia konkordatu, za rządów monarchji chrześcijańskiej, która rozdawała biskupstwa i opactwa jednostkom uprzywilejowanym, młodszym członkom rodzin szlacheckich, przedstawiał się jako jedno z licznych nadużyć, potępionych przez Rewolucję. Mogło się to wydawać zupełnie naturalnem i logicznem, by zaprowadzić w królewskim Kościele to samo, co dokonało się w armji królewskiej, a mianowicie odebrać władcy prawo mianowania na godności kościelne i poddać je wyborom, na równi z innymi urządami, stworzyć w Kościele, podobnie jak i w armji, oficerów narodowych: biskupów i proboszczów. Stary ferment gallikański, istniejący we Francji od wieków, namiętne spory jansenistów z jezuitami, potępiane przez samego króla, wycieczki filozofów i pisarzy przeciw duchowieństwu, pozwalały Konstytuancie spodziewać się, że kraj cały poprze ją w tem przedsięwzięciu, a, po Ludwiku XVI, i papież Pius VI pogodzi się z jej dekretemi o cywilnej konstytucji duchowieństwa.

Wbrew temu oczekiwaniu, Stolica Święta nie upoważniła biskupów francuskich do poddania się, potępieniem przez nią ustawom. Odmówili oni z jej rozkazu złożenia przysięgi, wymaganej od duchowieństwa katolickiego na mocy dekretu z 27 listopada 1790. Zdecydowało to o szyzmie między Rzymem a Francją, rozpętała się wojna religijna: wierni podzielili się na zwolenników duchownych zaprzysiężonych i opornych. Religja stała się przedmiotem walki, zorganizowano prześladowanie wiary, zakazano obrzędów katolickich, pustoszone i łupiono kościoły i mordowano księży. Chcąc być republikaninem i patryotą, nie wolno już było wnet dawać wyrazu swej wierze.

W tych to warunkach, zgubnych dla jedności obywatelskiej i dla władzy mieszczaństwa, Ludwik XVI, oddawszy swą przyboczną kaplicę opornym duchownym i wywoławszy oburzenie gwardji przybocznej przez przyjęcie Komunii św. w dzień Wielkiej Nocy, postanowił ucieczkę swą do armji Bouillé'go. Puścił się on w nocy, ku tej granicy wschodniej, poza którą przygotowywali emigranci, od roku, u boku nadreńskich elektorów, zbrojną inwazję przy pomocy obcych. Za czasów Frondy uciekał i Mazarin do Kolonji, przed paryskimi buntownikami. Nie popełnił on jednak tego błędu, by zabierać z sobą Annę Austriacką i swego młodocianego władcę. Znużeni wymuszoną uległością wobec nowych, oburzających ich, rządów, nie przewidział ani Ludwik XVI, ani królowa, skutków tej tajemnej ucieczki, rozpacz i gniewu, jaki wywoła, oraz zgubnych dla dynastji konsekwencyj, które mieli z niej wyciągnąć przywód-

cy emigracji. Podczas gdy Francuzi uważali się, na wypadek utraty króla, za zgubionych i narażonych, w braku opiekuna i przywódcy, na waśnie domowe i wojny z obcymi, grozili im emigranci z Pillnitz i Koblencji, za potajemną namową królowej, koalicją władców Prus i Austrii, skierowaną przeciw ich niepodległości.

Groźba ta nie była czczą i platoniczną demonstracją sympatji dla losu Ludwika XVI i jego rodziny. Król pruski obiecywał sobie różne zdobycze, m. i. już wówczas Alzację. I byłoby doszło już wtedy do uderzenia na Francję, gdyby cesarz nie był odmówił swego udziału bez zapewnienia pomocy Anglii i Hiszpanji. Emigranci, eskontując ofensywę armij germańskich ze szkodą własnej ojczyzny, zapowiadali Francuzom z Mantui, ofensywę tę jako rzecz całkiem bliską, która każe im zapłacić drogo za zamach, którego pozwolili sobie dokonać przeciw dawnym rządóm i ich przywilejom. Wobec tajnego porozumienia się króla z emigracją i z zagranicą, nie pozostawało narodowi nic innego, jak chwycić samemu za broń, by być gotowym do nieuniknionej wojny.

Emigracja i groźba wojny Rady udzielane tak często narodowi przez Mirabeau, zmarłego w pełni popularności 2 kwietnia 1791, zwłaszcza najcenniejsza z nich, brzmiały, by, w czasie poczynañ reformatorskich, zachować za wszelką cenę pokój z resztą Europy: „Nie prowadzi się wojny nie mając rządu”. Zgromadzenie podzielało dotąd to zapatrywanie. Wpisało ono do Konstytucji uroczyste zobowiązanie zaniecha-

nie wojen dyktowanych ambicją, a, dla większej pewności, zastrzegło sobie prawo nadzoru nad dyplomacją, która pozostała jeszcze w rękach króla i jego ministrów. Nadzór ten wymykał się Zgromadzeniu wobec intryg monarchji z dworem wiedeńskim i z emigrantami. Okazało się ono niezdolnem do ochrony Francji nietylko przed temi poczynaniami, ale nawet przed wrogami Francji i rewolucji.

Nie pozostawało więc nic innego, jak ostateczny apel do narodu, do całej ludności, wezwanej do obrony swej ziemi i swych swobód. Za pośrednictwem stowarzyszeń ludowych w Paryżu i na prowincji, Jakobinów, Powróźników (Cordeliers) i skojarzonych z nimi klubów, za pośrednictwem prasy, municypjów i konstytucyjnego duchowieństwa, demokracja domagała się udziału w rządach Francji, i to udziału znacznego. Musiała go otrzymać, czy też zdobyć, z samej już konieczności zabezpieczenia bytu narodu. Zbrojna obrona granic oraz uczucia patrijotyczne, utożsamiały się odtąd, w oczach Francuzów, z obowiązkiem, nałożonym przez przywódców ludu, zabezpieczenia rządów ludowych, ustanowienia republiki demokratycznej, suwerennej, jednej i niepodzielnej. Wobec groźby wojny, przygotowywanej u jego granic knowaniami arystokracji i króla z innymi królami i z wojną jako taką, stanął naród francuski, troszczący się dotąd tylko o uporządkowanie form politycznych i administracyjnych swego nowego życia, w obliczu czegoś nieznanego.

Czy groźba wojny byłaby doprowadziła do jej wybuchu, w 1792, gdyby Girondyści nie byli jej wołali sami, za wolą Dantona a wbrew woli Robespier-

re'a, lgając radom Brissot'a, wszechwładnego wówczas w komitecie dyplomatycznym Zgromadzenia ustawodawczego, doradzającego jak się wyrażał „rzucenie groźby Europie”? Dziennikarz ten, powróciwszy z Ameryki z ustalonym planem nadania Francuzom tej Republiki, tak podziwianej przez się w Stanach Zjednoczonych, widział w zerwaniu pokoju, któremu opierała się Konstytuanta, sposób lepszego zdemaskowania knowań dworu i króla z emigracją i zagranicą, a tem samem i ich zgubienia. Rady jego zyskały przewagę u Girondystów, nazywanych początkowo Brissotynami, przejętych na równi z nim ideałem republikańskim i wierzących, dzięki swej młodości i uzdolnieniom, że Francji uda się urzeczywistnić ten ideał, własnymi siłami, w całej starej Europie.

Zgromadzenie Inna to kwestja, czy, mimo to, pokój
ustawodawcze dałby się był zachować, po Varennes,
a wojna dzięki postanowieniu cesarza Leopolda unikania wojny. Żeby w to wierzyć. trzeba by zapamiętać, w jaki sposób dokonywały się wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego, od czerwca do sierpnia i września 1791, jak silny był nacisk ducha demokratycznego, wywołany groźbą koalicji, organizowanej od wewnątrz i od zewnątrz. Zgromadzenie oparło się, co prawda, dla utrzymania tronu, skutecznie temu demokratycznemu naporowi, dn. 17 lipca 1791, przy pomocy Lafayette'a, zmuszając przywódców ruchu demokratycznego do zatajenia swych planów i nadziei. Nie mogło ono jednak przeszkodzić temu, że naród podejrzewał odtąd króla, że począwszy od

czerwca myślał o zbrojeniu się i, pragnąc pokoju, przyzwyczajał się jednak do myślenia o wojnie. W chwili kiedy Konstytuanta powstrzymała się od głosowania, deputowani wiedzieli i rozumieli, podobnie jak i ich wyborcy, że dla rozbrojenia arystokracji u granic, gdzie król próbował się z nią połączyć, będą musieli walczyć z swymi wrogami, sprzysiężonymi od czasu Pillnitz z rodziną królewską. Nie wolno również zaniedbać ustalenia odpowiedzialności za tę wojnę, z którą pogodzone się w połowie 1791 a której wkrótce pragnęła cała opinia. Wysłanie ultimatum do elektora trewirskiego, z którego strony oczekiwał wojny, postanowił Ludwik XVI, 14 grudnia, na królewskiej radzie ministrów oddanych monarchji, gdzie Narbonne odniósł przewagę nad ministrem spraw zagranicznych. „Wobec nieszczęścia wojny, gdy Francja będzie mogła znieść zaledwie połowiczną kampanję”, pisał on do Breteuil’a, „nie pozostanie narodowi nic innego, jak rzucić się w moje ramiona”. Ludwik XVI liczył na nieszczęście Francji, tymczasem przyspieszył swoje własne i upadek dynastji. Ultimatum królewskie z 14 grudnia, było zapowiedzią innego, którego domagało się od króla Zgromadzenie, tym razem przeciw samemu cesarzowi, oraz deklaracji z 20 kwietnia 1792, uchwalonej jednomyślnie.

Przez lat dwadzieścia trzy toczyła się ta wojna, prawie bez przerwy, między rewolucyjną Francją a Europą, najdłuższa od czasu wojny stuletniej, najbardziej zmienna początkowo ze wszystkich, które naród miał do zniesienia. Cztery inwazje, na początku i przy końcu, zawsze niemal groźne koalicje na lądzie

i na morzu. W pierwszych latach, najbardziej krytycznych, demokracja francuska stawiała opór sama jedna, bez króla, bez konstytucji, bez armji lub też z armją zaimprovizowaną, bez dyplomacji i bez sprzymierzeńców. Entuzjazm i obawa o „ojczyznę zagrożoną”, oto uczucia, które pierwszy raz zjawiają się w dziejach narodu, a w każdym razie znajdują po raz pierwszy swój wyraz. Dowodzi to samopoczucia, nabytego odtąd przez cały naród, poczucia swego istnienia, swych praw i swej siły. Dla stworzenia armji ochotniczej, owych „błękitnych kubraków”, rekrutowanych poczynawszy od 1791, a jeszcze liczniej i z większym zapałem, po lipcu 1792, stawiali się ze wszystkich stron Francji w obronie dziedzictwa wspólnego wszystkim, mieszczenie, wieśniacy, robotnicy, żołnierze dawni lub zaimprovizowani, którzy stworzyli sztaby generalne rewolucji; opuszczali oni swe pola, swe warsztaty, swe składy, biura adwokackie lub pracownie architektów. Obudził się duch żołnierski narodu, usypiany troską i potrzebą wielkich przemian wewnętrznych: stanął pod bronią naród cały, z energją, której król nie mógł oczekiwać, wprowadzając w większe jeszcze zdumienie książąt niemieckich i ich najemników.

Wódz tychże, książę brunszwicki, był przekonany, że łatwo ich pokona, grożąc im zgóry najcięższemi karami, egzekucjami na modłę pruską, zupełnem zawładnięciem ich osobami, ich majątkiem, ich stolicą. Udało mu się tylko przekonać ich, że muszą „zwyciężyć albo zginąć”. Amerykanin Morris tak określił wpływ tych gróźb na naród, który chwycił za broń

w obronie swego bytu i swych swobód: „Stańcie wszyscy przeciwko mnie i brońcie się dzielnie, bo nie ma dla was żadnej nadziei”. Jeszcze żywszy wyraz znalazło to w słowach hymnu narodowego Rouget de Lisle’a, śpiewanych przez konfederatów marsylijskich 30 lipca, przy wejściu do Paryża: „dla ojczyzny, wzywającej pomocy ich mściwych ramion”, dla walki z tą hordą niewolników, zdrajców i spiskujących królów, w obronie Republiki, ustanowionej w Tuilerjach 10 sierpnia, strasznej dla króla i jego obrońców. Terror w odpowiedzi na terror, wojna na śmierć i życie, wojna bez pardonu z wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi, „demokracja pod bronią, bezlitosna dla każdego, kto jej groził nieubłaganą zemstą.

Ojczyzna
w niebezpie-
czeństwie.
Terror.

Okropne rzezie wrześniowe, rozszalali bandyci, kaci pozujący na sędziów, zdzi-
czali rzeźnicy masakrujący starców i ko-
biety w Abbaye, księży u Karmelitów i dzieci w Bicêtre, wszystko to stanowiło pierwszy akt Terroru, nazywanego przez Dantona „sprawiedliwością ludu”, pierwszy akt przynoszący wstyd republice i zgubny zarówno dla niej, jak i dla jej wrogów. Napróżno Komitet nadzorczy, który przy udziale Passis’a, przyjaciela Robespierre’a, Desforgues’a, sekretarza Dantona, zwłaszcza zaś Marata, zarządził i organizował te mordy w gminie paryskiej, usiłował je usprawiedliwić w swym cyrkularzu z 3 września, wzywając prowincję do dalszych jeszcze zbrodni, w imię wymagań dobra publicznego, bezwzględnej konieczności „ochrony obrońców narodu, maszerujących przeciw wrogom, przed tysią-

cem drapieżnych spiskowców i zdrajców, ukrytych w murach kraju". Strach nie grał żadnej roli w oporze stawianym pod Valmy przez bataljony Kellerman'a, odnoszące zwycięstwo nad wojskiem najsłynniejszym w Europie od czasów Fryderyka II. Terror nie był też potrzebny wewnątrz kraju, by armja narodowa mogła odeprzeć ataki przeciwnika, zmuszonego do odwrotu: wystarczał zupełnie entuzjazm i potęga patriotyzmu Francuzów, uzbrojonych w obronie własnej ziemi i ku zwycięstwu nowej ery prawa i wolności.

Konwent i Republika patryjotów Zwycięstwo to, zdające się rozstrzygać o przyszłości narodu i całego świata, — przynajmniej według słów Goethe'go, zapisanych w pamiętniku kampanji, — przypadło na otwarcie Konwentu ludowego, który przejął odpowiedzialność za losy narodu.

Czyż krwawa przygrywka terroru była bardziej potrzebną dla osiągnięcia pomyślnych wyników zorganizowania demokracji, niż dla obrony republikanizmu i jego propagandy? Przywódcy Komuny, mówcy i agitatorzy sekcji paryskich, usprawiedliwiani a może też i pochwalani przez Girondystów i Montagnardów, popchnęli naród, przez rozpętanie najniższych instynktów tłumu, do tych rządów samowoli i mordów, które przez długi czas utożsamiały się w ich oczach z istotą Republiki. Terror wśród współobywateli stał się dla Francuzów okrutną nawyczką na zbyt długi okres czasu, jak długo trwała wojna przeciw wrogom zewnętrznym, przeciw arystokracji i duchowieństwu, przeciw tronowi i rojalistom, oskarża-

nym o współwinę w zdradzie lub podejrzanych o nią, przeciw Ljonowi i Wandcji, oraz ich dywersjom, zgubnym dla zagrożonej ojczyzny. „Podejrzany”: oto zbrodnia wszystkich tych ofiar, od Ludwika XVI aż do Girondystów, Hébert’a i Dantona. W październiku 1792 jeden z dziennikarzy paryskich wskazał na Tuilerje, jako na nowe więzienie nadające się do opróżnienia. I w styczniu 1793 odbył się sąd nad Ludwikiem XVI, który w przeświadczeniu jego sędziów, mimo swej uroczystej formy, nie miał więcej cech aktu sprawiedliwości, od wyroków trybunałów, zaimprowizowanych po więzieniach dn. 2 września. Był on zarządzeniem, podyktowanym racją stanu, wymogiem dobra publicznego, „aktem Opatrzności narodowej”, jak mówili Robespierre i Marat, „rzuceniem głowy królewskiej z wyzwaniem i groźbą dla władców europejskich”.

Następnie zaś, w regularnych niemal odstępach czasu, stworzenie w kwietniu trybunału rewolucyjnego, po klęskach w Belgji i buncie Dumouriez’a, proskrybowanie Girondystów i mimo ogromnego zwycięskiego wysiłku Republiki, zorganizowanego przez Carnot’a, tyranja, przyozdobiona, przez Robespierre’a, republikańskimi cnotami, która spadła na Danton’a, Kamila Desmoulins, Hébert’a, na Lyon, Nantes, Wandję, na całą Francję, i skończyła się w thermidorze obalwszy sama siebie. W rękach Jakobinów, małej garstki ludzi, samowolnych i zuchwałych, terror poddał rządowi samowoli tych samych Francuzów, którzy w 1789 wywołali Rewolucję, by się rządów takich pozbyć. Uciekali się wówczas do prawa, domagali się

konstytucji; ustawodawstwo wyjątkowe i takież wymiar sprawiedliwości, zarządzenia i dekrety wszechpotężnych komitetów Konwentu spowodowały jednak zawieszenie konstytucji i praw na lat dziesięć, dla postrachu wrogów wewnętrznych, spiskujących z groźną zawsze zagranicą.

Kiedy w 1795 nastąpiła reakcja na korzyść mieszczaństwa, które zawładnęło Dyrektoriatem, wojna, prowadzona dalej, już nie dla obrony, lecz dla rozszerzenia posiadłości narodowych, utrzymywała chwilami panowanie terroru: 18 fructidor'a przeciw deputowanym i rządcom, podejrzanym, jak Carnot i Barthélemy, wskutek swego umiarkowania, o pragnienie pokoju, a 30 prairial'a przeciw dyrektorom, podejrzanym o złe prowadzenie wojny. Czyż jeden z nich, Reubell, nie oświadczył: „jedno tylko zarzucałem Robespierre'owi, a mianowicie zbytnią łagodność”? Aktem terroru było również, za Konsulatu, stracenie ks. d'Enghien w rowach Vincennes, bez sądu, bez obrony, a po restauracji Burbonów haniebane rozpętanie przez samychże rojalistów „katowskiego miecza”, listy proskrybowanych i podejrzanych, układane przez Fouche'go, sądy doraźne i gwałty tłumu rojalistycznego na południu, cały ten biały terror, równie zgubny dla monarchji, jak zgubnym był dla republiki terror czerwony. Bunty, zamachy, proskrypcje, szafoty i rozstrzeliwania, gwałty i to najbardziej wyrafinowane, były następstwem tego wszystkiego i stały się na długo ciężarem dla narodu. Wśród takich to okoliczności obejmowała następstwo po monarchji demokratyczna republika, by stawić czoło Europie wyzwanej do walki na śmierć i życie.

**Obrona jed-
ności francu-
skiej i jej or-
ganizacja** Republika ta powstała jednak również przy huku armat z Valmy; potrafiła ona obudzić wówczas w narodzie przeświadczenie tego, że podczas jednego z najcięższych przewrotów w jego dziejach, umiała o własnych siłach podołać podwójnemu wysiłkowi przeobrażenia społecznego i politycznego, i obrony swych posiadłości. W mózgach i sercach swych wieśniaków, w inteligencji swych mieszczan, synów wsi i potomków rękodzielników, znalazła ona zasoby doświadczenia, energii i odczucia, złożone tam wiekową ciężką pracą około ziemi, podejmowaną przez ich przodków pod rodzi-
nem niebem. Mimo partyjnych wybryków i wykroczeń tłumu, stworzyła ona, za Konwentu i za Dyrektorjatu, rządy, których nazwę wahał się Bonaparte usunąć aż do r. 1804. Ustawami swych zgromadzeń, wiedzą swych prawników, pracą swych komitetów, przygotował republikański Konwent ustawodawstwo i urzędnienia nowoczesnej Francji. Nowa administracja, skupiająca to co było najlepszego w dawnych tradycjach i pośród sług ancien régime'u, istniała w zarodku w biurach Konwentu i po ministerjach Dyrektorjatu, na usługi państwa, które w miejsce instytucyj monarchicznych, miało, w ciągu wieku następnego, służyć nowemu społeczeństwu, opartemu na prawach i równości wszystkich obywateli. Kiedy pierwszy prezydent Konwentu, François de Neuchâteau, zarazem jeden z najlepszych ministrów Dyrektorjatu, witał, 21 września 1792, dojście do władzy demokracji, dał wyraz „swemu formalnemu życzeniu, utrzymania między wszystkimi czę-

ściami wielkiego państwa tej jedności, której wspólnym ośrodkiem i zachowawczym łącznikiem było oddat to dostojne zgromadzenie”.

Było to istotnie życzeniem całego narodu, życzeniem gorącym, płynącym z długoletnich wysiłków, które, poprzez wszystkie przełomy i wielkie chwile dziejowe, stworzyły jego dziedzictwo, jego poczucie i jego genjusz, życzeniem, które pozostanie świętem przykazaniem dla późniejszych pokoleń. W tej zasadzie, w koniecznym związku między losami Francji a jej jednością, leżyć będzie ich siła. Tłumaczy to państwowe zakusy nadmiernej centralizacji i pozwalało różnym rządóm rozporządzać Francuzami, wbrew ich własnej woli, często przez zawładnięcie „wspólnym ośrodkiem”, panującym nad głównymi organami i nerwami narodowego życia.

Trudno o coś ciekawszego, jak rada udzielona przez Gambettę, swemu stronnictwu, w walce podjętej przeciw rządóm cesarskim; by utrzymać, aż do dnia własnego zwycięstwa, formę rządów centralistycznych, których siła, użyta przez przeciwnika, opóźniała ich własne zwycięstwo. A czyż Burboni nie byli uszczęśliwieni, w 1815, z posiadania na swe usługi centralizmu, kiedy sprzymierzeni wydali im Francję? Silna administracja francuska, stworzona przez Konwent a dokończona przez Napoleona, stanowiła dla stronnictw, które w w. XIX walczyły między sobą o duszę narodu, w równym prawie stopniu pokusę co i podporę. Namienne pragnienie jedności, obejmujące sumienia i umysły, nawet kosztem swobo-

dy wierzenia i myślenia, jakżeż wielki wpływ miało ono na te stronnictwa, na ich powstawanie, ich zamiary, na gwałtowność i zaciętość ich walk wzajemnych!

Zagłębiając się w daleką przeszłość, od odwołania edyktu nantejskiego i sporów o bullę *Unigenitus*, aż do wystąpień Konwentu przeciw wyznaniu katolickiemu a za wyznaniem republikańskim, oraz prób Napoleona stworzenia cesarskiego katechizmu, musimy się zastanowić, czy ten „nadmiar pożądanego” jednności narodowej nie stanowił głównego źródła rozłamów, rozdzielających Francuzów, i powołujących ich pod broń z zagrożeniem tej właśnie jednności. Posługują się nim stronnictwa, będące u władzy, a dla zdobycia jej, wysuwają hasło wolności, z tą samą skłonnością nadużywania go ze swej strony. Dzieje walk partyjnych w w. XIX, dostarczają dostatecznych przykładów na to, co wycierpiała Francja pod tym względem, od czasów Rewolucji.

Z drugiej strony, ileż odporności moralnej i materialnej, w obronie swego bezpieczeństwa i swej potęgi, znajdowała ona, za czasów Konwentu, w armiach, złożonych z doskonałych członków armji królewskiej i nowych rekrutów, umiejących dostarczyć jej także największych generałów, w olbrzymim wysiłku ze strony kraju całego, rękodzielników, wielkich przemysłowców i uczonych, którzy oddali dłonie swe i móggi na usługi przemysłu wojennego! Bez ich pomocy byłaby Francja, mimo bohaterstwa swych obrońców, nie mogła ani się obronić, ani też zwyciężyć. Wielki mówca legitymistów, Berryer, którego nie można po-

dejrzwać o pobłażliwość dla autorów dzieła Dobra Publicznego, z którego naród był zawsze tak słusznie dumny, wołał w 1825 z trybuny Izby, pozbawionej litości i sprawiedliwości wobec republikanów: „Nie zapomnę nigdy tego, że Konwent ocalił mą ojczyznę!” Zawsze, aż do najświeższych wydarzeń Wielkiej Wojny, wypowiedzianej przez Niemcy, zastawała jedność francuska wszystkich Francuzów gotowych do zasadniczych i jednomyślnych ofiar. Dostarczała im ona, w razie potrzeby, niezawodnych zasobów odporności, siły i postępu.

Zdobycze Republiki Mimo całej chwały ówczesnych narodowych wysiłków, wojna trwała nadal, szkodząc Republice, w tym samym stopniu, co przedsięwzięcia wojenne ostatnich Burbonów szkodziły ich monarchji. W ostatnim roku Konwentu i pierwszym Dyrektorjatu, rząd republikański uświadamiał sobie konieczność ograniczenia, ukończenia tej wojny, której nerwu głównego, pieniędzy, mu brakło. „Uginamy się pod ciężarem naszych zwycięstw”, mawiał jeden z członków Dyrektorjatu. W Bazyleji uzyskała Republika pokój i przygotowała zawarcie przymierza z królem pruskim i hiszpańskim: mniej wrogów i więcej szans odniesienia zwycięstwa, mniejszym kosztem, nad innymi, nad Anglią i Austrią. Francja znużona była zwycięstwami, jej życie gospodarcze zatrzymane było od lipca 1789, ludność bez pracy i bez odbiorców, trapiąca nędzą i drożyzną środków utrzymania, mimo ustaw o cenach maksymalnych, a to wskutek wzmożonej ilości banknotów i ich deprecjacji, korzystnej tylko

dla aźjoterów a zgubnej dla państwa i narodu. Za Dyrektorjatu kończy się wiek XVIII tem samem, czem się rozpoczął za czasów Regencji: nędzą państwa, ludności i klas średnich, bezczelnym zbytkiem, szaleem przyjemności i rozrzutności agentów finansowych i dostawców armji. Co prawda budzi się i sztuka francuska, nawiązując do ducha i zasad sztuki Ludwika XVI, by przygotować pod batutą Davida, sztukę Konsulatu i Cesarstwa. Wobec zupełnego bankructwa finansów publicznych rządzi jednak w pierwszym rządzie finansjera, Perrégaux, Ouvrard, Hainguerlot, Récamier, ich żony lub ich metresy, a za ich przyczyną panoszy się przekupstwo szefów rządu i urzędników, do czego niemal przyznawano się w otoczeniu Barras'a. Jeszcze w wyższym stopniu nastają jednak rządy przywódców armji, generałów, „będących dla swej ojczyzny tyłuż finansistami, wyposażonymi w olbrzymie zasoby”, jak się wyraził jeden z posłów zagranicznych. Zasoby to niebezpieczne, zarówno dla rządu i dla Francuzów, jak i dla tych narodów, które generałowie ci postanawiają oswobodzić, z zastrzeżeniem dla siebie udziału w łupach. Sława darząca popularnością i bogactwami, wydaje Republikę z dniem każdym coraz bardziej na ich łaskę. Wydaje się, że zawarcie pokoju, oznacza jej zgubę.

**Bonaparte
i pokój wewnętrzny**

A pokój oddalił się, w 1796, wskutek zwycięstw w Italji Bonapartego, jedynie władnego do ustalenia warunków pokoju z Austrią, wskutek wyprawy egipskiej, która sprzymierzyła znów całą Europę przeciw Francji,

podczas gdy najlepsza jej armja przebywała w dali i wyczerpywała się na brzegach Nilu i w Syrii. Wobec groźby inwazji rosyjskiej i ruiny, spowodowanej niezgodą wewnętrzną i opłakany stanem finansów, zadłużonych, po zlikwidowaniu bankructwa królewskiego, kosztami wojen, wobec niepokoju sumień, dotkniętych prześladowaniami religijnymi, wobec poświęcenia ważnych interesów, intrygom partyjnym, potrzebował naród, podobnie jak i z końcem wieku XVI, szpady, umiejącej zwyciężyć obcych i matactwa wewnętrzne. Oto słowa Sieys'a, który żądał tej szpady od Joubert'a a przyjął ją z rąk Bonapartego, powracającego w 1799 z Egiptu, kiedy też zaofiarował mu ją 18 brumaire'a przeciw adwokatom z Dyrektorjatu i jego Zgromadzeń. Francuzi nie przypuszczali jednak, że powierzają los swój człowiekowi, którego ambitny genjusz przyczynił się najbardziej, jak się wyraził w 1796 jasnowidząco, jeden z ministrów, do rozszerzenia w Europie ich kosztem, „zarazka wiecznych wojen”.

Witali go entuzjastycznie po wylądowaniu w Fréjus. Kiedy oświadczył: „*Rewolucja skończyła się*”, wszyscy oni, rentjerzy, kupcy, robotnicy i wieśniacy, poświęcili mu po brumairze swe swobody. Było to w ich oczach zbawienną zapowiedzią rządów, dostatecznie silnych, by powstrzymać zapędy powrotu władzy królewskiej i ancien régime'u, w oparciu o rządy obce, by podyktować Europie warunki zaszczytnego pokoju, zapewniającego prawa narodu i jego granice, by zakończyć epokę gwałtu i prześladowań terroru. Odtąd nie rewolucja już, lecz pokojowa ewolucja

praw i obyczajów, pod ochroną bezspornej władzy, na podstawie nowych rządów równości i własności prywatnej, które zastąpiły, od 1789, rządy przywilejów i samowoli. Porządek w interesie wszystkich, prawa równe dla wszystkich: wszystko to, co w przeszłości stanowiło siłę monarchji i Francji, poprzez wszystkie przewroty jej dziejów, a co od czasu najgroźniejszego z nich, od 1789, stało się siłą narodu, doszło do pełnej dojrzałości.

Centralistyczne poczynania Konsulatu Instytucje zaprowadzone przez Konsulat, a oparte na centralizacji administracyjnej, miały opanować rychło chaos, spowodowany głównie stosowaniem wyborów przy dobieraniu i przy awansach urzędników państwowych. Prefekci, urzędnicy, oficerowie, agenci skarbowi, poborcy i żandarmi, odkąd zależni są tylko od władzy centralnej, stają się stróżami wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa państwa. Ponieważ jednak za nowych rządów państwem jest naród, brał Bonaparte swych urzędników ze wszystkich stronnictw i ze wszystkich warstw: administratorów *ancien régime'u*, jak Lebrun, Gaudin i Pasquier, dawnych członków komitetów rewolucyjnych, zwłaszcza zaś z kół miejszczańskich, jak czyniła to niegdyś monarchja. Byli oni nie tylko jego sługami, lecz i prawa. Kodeks cywilny, nadany przez pierwszego Konsula w 1804 r., po dwurocznych studjach, w których sam brał czynny udział, stał się prawem, które nikomu odtąd nie mogło być nieznanem, które zaprowadziła u siebie większość Europy. Czyż w budowie swej i w tekście,

zapożyczonych z prawa rzymskiego, zwyczajowego, rozporządzeń królewskich i ustaw rewolucyjnych, nie był on istotnym obrazem kolejnych epok francuskiej cywilizacji, od czasów najdawniejszych? Można zrozumieć, że dla mieszczaństwa francuskiego, które umacniało wówczas swe wpływy, Kodeks cywilny stał się na lat przeszło sześćdziesiąt przedmiotem prawdziwego nabożeństwa, zabezpieczeniem obywateli przed powrotem samowoli.

Narzuciła się konieczność odbudowania za wszelką cenę kredytu państwowego, skompromitowanego tyłoma kolejnymi bankructwami monarchji i rewolucji, niedbalstwem urzędników oraz nędzą płatników. Postarawszy się o to zapomocą różnych zarządzeń reparacyjnych i kontrolnych, stworzył Konsulat Bank Francuski, niezawisłe stowarzyszenie bankierów; nieposzanowanie tej niezawisłości było błędem Cesarstwa.

Bonaparte wreszcie zrozumiał błąd, popełniony przez Konstytuantę, przez to, że chciała stworzyć Kościół narodowy i ciało urzędników religijnych, obieralnych przez lud, podobnie jak i urzędnicy sądowi i skarbowi, a wszystko to bez zgody papieża, wbrew woli większości wiernych, domagając się od duchowieństwa i króla przysięgi na dekrety, burzące hierarchję kościelną. Pragnął on zatrzeć ślady walk religijnych, wywołanych tymi dekretami, przedewszystkiem zaś skutki wojny wydanej przez rząd republikański wierze, duchowieństwu a nawet i pomnikom i świątyniom tradycyjnej wiary Francuzów. Ta polityka uspokojenia wymagała porozumienia się z pa-

piezem, które nie trwało zresztą długo, bo sześć lat zaledwie. Powracając, dn. 18 sierpnia 1802 r., do Konkordatu, zawartego z Stolicą św. przez królów francuskich, dodał doń Bonaparte, z własnej woli, artykuły organiczne, bardzo podobne do Deklaracji z r. 1682. Skoro tylko uzyskał dla narodu zgodę papieża na sprzedaż dóbr kościelnych a dla siebie koronację w Notre-Dame na cesarza, zaczął traktować Piusa VII jak zwykłego biskupa swego państwa. Nie wyszedł on z pokolenia, ani też środowiska, mającego w poszanowaniu świętość lub święte osoby i dawał to papieżowi ciężko odczuć. Syna zaś swego, dziedzica dynastji, wyświęconego przez papieża, uczynił, kosztem Stolicy św., królem Rzymu.

Cesarstwo i czwarta dynastja Dzieło, stworzone przez Napoleona a opiewane z zazdrością przez Chateaubrianda, zawierało w sobie części trwałe, które odpowiadały życzeniom i potrzebom narodu i stanowiły dalszy ciąg rozwoju jego losów, pozatem jednak były w niem i kruche składniki, jak to przyznawała sama cesarzowa i otoczenie cesarza, składniki opierające się na przemocy tylko i gwałcie, na interesach rodziny parwenjuszów i na główce małego dziecka. Bonaparte zdawał sobie z tego sprawę; pragnął on założyć czwartą dynastję, po Kapetyngach, której założyciel był podobnie jak i on królem obranym tylko, lecz obranym przez siebie równych. Po Rewolucji, która zniosła wszelką arystokrację rodową i pieniężną, głosowanie ogółu ludności było dlań jedynem wyjściem. Plebiscyt trzech milionów Francuzów

nadał mu władzę pierwszego konsula, inny, jeszcze liczniejszy, potwierdził mu ją, w r. 1802, dożywotnio, z prawem wyboru następcy, trzeci wreszcie, wykluczający Burbonów na zawsze od tronu, stworzył Cesarstwo, uświęcone przez Piusa VII w sposób jeszcze bardziej bezpośredni, niż uczyniło to papieństwo dla Hugona Kapeta. Dla uzyskania zgody Francuzów na tę monarchję absolutną i dziedziczną uzasadniano jej prawomocność, suwerennością ludu oraz wyświęceniem, pochodzącem od Boga. W interesie swej trwałości powinna była ta monarchja nie zaznać nigdy żadnych klęsk a mieszczaństwo francuskie, znużone walkami partyjnemi i olśnione chwałą Marenga i Austerlitzu utracić zamiłowanie wolności politycznej i wyrzec się na zawsze korzystania z niej. Obie próby Napoleonów, posługiwania się w w. XIX plebiscytem jako formą rządzenia, doprowadziły, w przededniu Waterloo i Sedanu do tego samego wyniku, do powrotu monarchji konstytucyjnej i parlamentarnej, raz Aktem dodatkowym Benjamina Constant, drugi raz przez liberalne cesarstwo Emila Ollivier'a.

P o w r ó t W ciągu lat pięćdziesięciu, przedzielających
Burbonów cych obie te próby, tron francuski zajmowali na nowo Burboni, z linji starszej lub młodszej, osadzeni na nim, bądź z woli zwycięzców Napoleona, bądź też przez powstanie ludowe, które raz jeszcze, odniosło w Paryżu zwycięstwo, w 1830, nad Karolem X, który, podobnie jak jego brat Ludwik XVI, chciał bronić przeszłości, potępionej przez naród. Były to rządy Karty, oktrojowanej początkowo, a poprawio-

nej w 1830: lecz czy jako dar królewski, czy też jako poprawka z woli ludu, była ona uzależnioną od swego wstępu, od deklaracji z Saint - Ouen, gwarantującej Francuzom swobody i prawa, ogłoszone w 1791, oraz posiadłości, stopnie i majątki, nabyte od lat dwudziestu. Ludwik XVIII, Karol X i Ludwik Filip rządili od 1815 do 1848 na podstawie danych obietnic, lecz rządili w stopniu coraz mniejszym. W miarę oddalania się od gwałtów Rewolucji lub despotyzmu Cesarstwa, naród dopominał się coraz bardziej o swe prawa rządzenia samym sobą. Lub też raczej, odbierając te prawa królowi, pozostawiał troskę o ich wykonywanie w swem imieniu, arystokracji, zwłaszcza zaś mieszczaństwu. Epoka restauracji, trwająca aż do końca lipcowej monarchji, uświęciła w istocie, poprzez trzy kolejne panowania, rządy klas średnich.

„Tays légal“
i karta Czem był dla narodu, przed 1789, dwór i królewska administracja, tem stał się od 1815 t. zw. „pays légal”. Niewielka liczba Francuzów, posiadających prawo głosowania i wyboru, ze względu na posiadany majątek, początkowo ziemski i podlegający bezpośredniemu opodatkowaniu, zajęła się czynnościami publicznymi i zastrzegła sobie kierownictwo spraw zagranicznych, czy też wewnętrznych. Uderzającym jest, jak mała ilość wśród nich, przynajmniej, o ile chodzi o tych, którzy znajdowali się na pierwszym planie życia parlamentarnego i politycznego, należała do arystokracji rodowej: Vitrolles, ks. de Richelieu, Chateaubriand, hrabiowie de Villèle i de Serre, ks. de Broglie, markiz de la Ferronays, hr.

de Polignac i Lafayette. W zamian za to o tyle więcej jest mieszczan, nawet pośród najzagorzalszych prowodyrów królewskiej reakcji, jak Lainé, Corbière i Peyronnet. Spotykamy tu mieszczan, zdecydowanych rojalistów, jak Royer - Collard, Decazes, Martignac, kanclerz Pasquier, Molé, Guizot, Thiers, de Barante, baron Louis, urzędników, profesorów, finansistów, związanych ściśle z parlamentarzystami *ancien-régime'u*, lub też wychowanych przez administrację cesarstwa, dalej bankierów i przemysłowców, jak Delessert, rodziny Perier, Lafitte i Ternaux, wreszcie urzędników cywilnych i wojskowych Napoleona, jak Beugnot, Bignon, Mollien, Montalivet, Portalis, Gouvion - Saint - Cyr i generał Foy, oraz wszystkich marszałków, jak Marmont, Mortier, Victor, Soult, Sebastiani i Lefebvre, którzy swe świeże szlachectwo podpierali sławą Napoleona, by dać szybciej zapomnieć o swem parwenjuszowskiem pochodzeniu.

Większość tych mieszczan, którzy swe zdolności administracyjne, oratorskie i publicystyczne oddawali z kolei na usługi Rewolucji, Cesarstwa i monarchji, legitymistycznej czy też orleańskiej, na usługi wielu różniących się od siebie rządów, pragnęła usunąć możliwość powrotu samowoli monarchicznej czy cesarskiej, gwałtów i anarchji republikańskiej, rządów białych czy czerwonych. Poprzez wszystkie przewroty zewnętrzne i wewnętrzne, podjęli oni tradycje, przekazane im przez przodków, będących na służbie dawnej monarchji, rządząc Francją, tak, jak tamci pomagali w w. XVII rządzić Burbonom, narzucając tronowi i narodowi porządek publiczny, oparty na ro-

zumie, który określił w 1789 prawa i obowiązki Francuzów a za Konsulatu potwierdził i uporządkował ich własne uprawnienia. Starali się oni „unarodowić tron i ukrolewić naród”, niezdolny, ich zdaniem, do rządzenia się bez króla i bez nich. Pierwsza część tego zadania powiodła się im za Ludwika Filipa, dostarczając im zaszczytów, władzy i korzyści materialnych. Nie udała się natomiast część druga, i Francuzi pozostawiali im rządy i korzyści lecz nie wzruszyli się wcale upadkiem tronu, ani w 1830, ani też w 1848. Byliby dostosowali się do republiki już w 1830, dostosowali się zaś do niej w istocie, po raz pierwszy w 1848, pod warunkiem zapewnienia porządku, zabezpieczającego ich interesy, ich całość i ich majątki, przy spokojku wewnętrznym i zewnętrznym.

Rządzący i rządzeni Czyż można się dziwić, że naród, odsuwany w ciągu wieków od wszelkiego życia publicznego, okazał się nieprzygotowanym, a wskutek wspomnień rewolucyjnych także i niezbyt skorym do stworzenia politycznej formy rządzenia, odpowiadającej lepiej zasadom demokratycznym, które kierowały odtąd jego skłonnościami, zwyczajami i całą przyszłością? Naród ten stanowił w swej większości demokrację wieśniaczą, małych i średnich właścicieli ziemskich, zasklepionych w ciasnych ramach, w obrębie których toczyło się od wieków pracowite życie ich przodków, uprawiaczy winnic, rolników, robotników rolnych, a na wybrzeżu marynarzy i rybaków. Mimo obietnic szerzenia oświaty powszechnej, wyrażanych poczynawszy od 1789, mimo nauczania

przez braci Wiedzy Chrześcijańskiej i ustawy Guizot'a z 1833, mało jeszcze było pośród nich oświecenia, żadnego prawie u kobiet a rzadko tylko u mężczyzn, dzieci zaś uczyły się zaledwie czytać i rachować. Uprawy ziemi dokonywano na podstawie doświadczenia, chaty wiejskie zachowywały swój najdawniejszy wygląd, niskie, pokryte strzechą, części mieszkalne i stajnie często nie do odróżnienia od siebie. Rozrywek było bardzo mało, kilka świąt i uroczystości religijnych w parafji, przejazd dyliżansów na gościńcach królewskich a wędrownych kupców na innych, odwiedzanie jarmarków po sąsiednich miasteczkach, gdzie prowadzono handel zamienny. Widnokrąg życia ograniczał się naogół do zmian pół roku i do tradycyjnych jednostajnych zwyczajów, zmierzających jedynie do pracowitego wyzyskiwania odziedziczonej posiadłości i powiększania jej oszczędnością. Małe miasta, a nawet miasteczka i średnie osiedla stanowiły jedyne ośrodki orjentacyjne tego życia, związanego z nimi ściśle interesami i wymianą, gdzie spotykała się, przebywała czas jakiś lub załatwiała swe interesy szlachta ziemiańska i mieszczaństwo, umieszczające w ziemi swe oszczędności. Osiedla te, promieniujące na bardzo ograniczoną tylko odległość, odosobnione od siebie wskutek braku komunikacji, składały się z małych związków społecznych rywalizujących między sobą, zamkniętych jedne dla drugich, przeszkadzających rozszerzaniu się nowych idei i przekształceniu się obyczajów, z korzyścią dla postępu i ogólnego dobra, dla rozwoju życia publicznego. Wierny, choć ciemny często, obraz tych wsi, tych miast, ich mie-

szańców i ich obyczajów zachowała Francja w powieściach Balzaka.

Stanowisko i wpływ Paryża Ponad tem zbiorowiskiem, stanowiącem naród, nastawionem bardziej na przeszłość niż przyszłość, obojętnem na debaty polityków i parlamentów, ponad tym ludem, rządzoneym przez urzędników, będących na służbie warstw średnich, utwierdzało się, od zarania tego wieku, obok czynnika urzędniczego, znaczenie innego jeszcze czynnika, wynikającego, podobnie, jak i tamten, z francuskiej centralizacji: znaczenie Paryża, jako stolicy politycznej, umysłowej i artystycznej. W narodzie trzydziestomiljonowym, gdzie mało miast dochodziło wówczas do stu tysięcy mieszkańców, miasto o 700.000 mieszkańców było samo w sobie potęgą. Obszar jego nie był bardzo rozległy. Mury akcyzowe, wraz z swemi trzydziestu dwu rogatkami, sięgały dopiero po 1841 linji dziś burzonych fortyfikacyj. Wielkich ulic było mało a pałace bogaczy, położone rzadziej niż w w. XVII na „Marais”, pomieszczone były jeszcze w ciasnych uliczkach z wysokimi i wąskimi domami, gdzie gnieździli się kupcy, drobni mieszczanie i robotnicy. Ruch panował tam bardzo żywy, z wyjątkiem niektórych dalszych dzielnic, zajętych przez ogrody, napół miast, napół wsi, jak Grenelle, Monceau, Ménilmontant, Montmartre, Montrouge i Picpus. Różnica z monotonią miast prowincjonalnych była tak wielka, jakgdyby się było w innym kraju. Gorączkowy handel nasuwał obcym pytanie: „Któż kupuje tutaj, skoro wszyscy sprzedają?”

a szął zabaw, w 25 teatrach, restauracjach, kawiarniach i balach publicznych przyciągał rzesze mieszkańców z prowincji oraz obcych. Zamiłowanie w przyjemnościach, obok żądzy wiedzy, ściągało do wyższych szkół, jedynych, jakimi Konwent i Cesarstwo obdarzyły kraj, pozbawiony oddawna prawdziwych uniwersytetów, młodzież żywą, inteligentną, pochodzącą z całej prowincji.

Przez swych kupców, swe szkoły i swe salony objął Paryż dziedzictwo dworu, który nadawał ton i stwarzał fortuny za ancien régime'u. Za panowania Ludwika XVIII, chorowitego wdowca, za Karola X, bigota, zeszywniałego w dewocji, w tym samym stopniu, co hrabia d'Artois, ten „prince charmant”, w zabawach i intrygach, wreszcie za Ludwika Filipa, domatora z zamiłowania i dla zasad, stolica stawiała się coraz bardziej wyrocznią w świecie ducha, polityki, sztuki i zbytku. Odkąd odzyskała stanowisko, odebrane jej przez Wersal, utrwaliła ona panowanie własne, wchłonawszy w siebie przywileje tronu.

Zesrodkowywała się tu cała administracja po ministerstwach i zarządach, którymi zawładnęło mieszczaństwo, decydując o karierze urzędników a nawet i o losach deputowanych i panów, wydając rozkazy temu „pays légal”, który wychodząc z Paryża obejmował całą Francję. W stolicy tylko można było, stosownie do chwili, konspirować, albo też pisać i przemawiać przeciw tej władzy, wyposażonej we wszystkie środki, stworzone przez Napoleona, „robić politykę”, jak się wyrażało mieszczaństwo tej epoki, ludzie roztropni, nie lubiący ryzyka i hałasu. Poza Paryżem

mało było dzienników, któreby potrafiły dyskutować na temat kroków rządowych, tak, jak *Débats*, *Constitutionnel*, *Courrier Français*, *Globe*, *National* i *Réforme*. W Paryżu też, tylko w parlamencie, można było usłyszeć przemówienia polityczne, które mogły zaniepokoić ministrów, kiedy to podnosili swój głos wymowny i poważny, tacy ludzie, jak generał Foy, Royer-Collard, Chateaubriand, Lafayette, Manuel, Benjamin Constant. Polityki uczyć się mogła młodzież francuska tylko w Sorbonie i w Szkole Normalnej, gdzie profesorowie, jak Cousin, Jouffroy, Villemain, Michelet i Quinet, poddawali krytyce rząd, pod postacią zawołanych aluzji i zarzutów, kierujących dusze ku wolności.

Pozatem pozostał Paryż i nadal, podobnie jak za *ancien régime'u*, miastem salonów, w których pod egidą uprzejmych i wykształconych kobiet, odbywały się uczty duchowe, skupiające mężów stanu, pisarzy i artystów, stwarzające pod każdym względem ich reputację. Salony dzielnicy Saint - Germain, odwiedzane przez emigrantów, u księżny de Duras, hrabiny de Boigne lub księżny de la Trémoille, później salony księżny de Broglie i księżny Lieven; również rojalistyczne, lecz bardziej urozmaicone salony dzielnicy Saint - Honoré; salony przy *chaussée d'Antin*, finansjery u Lafitte'a i Rotszyldów, wielkiego przemysłu u Delessert'ów, Davilliers'ów i Perrier'ów, salony literackie, jak Nodier'a przy Arsenale a później pani de Girardin. Ileż wychowało się tam talentów, ileż intryg zawiązano i stoczono walk przeciw ludziom będącym u władzy lub też upodobaniom klasycznym i despotyzmowi regu!

Pośród narodu, ulegającego potulnie prawom swych większości parlamentarnych, w obliczu „pays légal” bronionego przez ludzi, ciągnących zeń korzyści, pozostał wreszcie Paryż siedzibą nowostek i śmiałych pomysłów, kolebką świetnego zastępu ludzi młodych, chciwych sławy i korzyści materialnych, żądnych czynu, bardziej niż ustalonego porządku, nastawionych na przyszłość raczej niż na przeszłość, wstrząsających niecierpliwie podstawami przestarzałych zasad, narzuconych im przez starszych, w polityce, sztuce, religii czy też niedowiarstwie, ludzi, wrażliwych na każdy powiew, użyźniający ich umysły.

Jakże różnił się ten Paryż r. 1825, 1835 i 1845 od starzejącego się i pełnego śmiesznośtek dworu Burbonów, od solidnego i burżuazyjnego dworu Ludwika Filipa, od roztropnej i uregulowanej administracji, służącej obu! Restauracji i monarchji lipcowej nie można sobie wprost wyobrazić, bez tego paryskiego wieńca wielkich pisarzy, genialnych artystów, świetnych mówców, i gorących polemistów, jakich nie miała może Francja nigdy dotąd w takim komplecie, wieńca bardziej urozmaiconego i bogatszego niż w jakiegokolwiek dawniejszej epoce. Chateaubriand, przywódca romantyzmu przemawiał do Villèle’a w ten sam sposób, co później, natchniony jego uczeń, Lamartine, do Guizot’a: na tej ziemi francuskiej, zajmowanej przez spokojne mieszczaństwo, oddające się interesom i pieniężnym spekulacjom, wyzyskujące swą władzę i skłonne, dla jej utrzymania, do uległości i spoczynku, wyczuwali ci wielcy myśliciele i działacze wstrząsy, właściwe „temu rewolucyjnemu terenowi

paryskiemu, podatnemu do nadzwyczajnych przeznaczeń". Szeroki powiew ideału, umiłowanie piękna, natchnienia i miłości ożywiał społeczeństwo paryskie, słusznie dumne z arcydzieł, którym dawało poklask a które roznosiły daleko chwałę narodu. Nie można osądzać ówczesnego mieszczaństwa podług ry-sunków i satyr Henry Monnier'a i Daumier'a lub wy-cieczek romantyków przeciw „filistynom". Nie można wyrażać się źle o środowisku, w którym znaleźli się Francuzi umiejący, mimo wszystko, oceniać i zachę-cać rozwój sztuk i nauk, o epoce, w której dokony-wało się przekształcenie smaku i jego zasad, dzięki liryzmowi i umiłowaniu prawdy.

Nędza warstw robotniczych i ich żądania Jednej rzeczy nie nauczył Francji Pa-ryż, władający nią, zabawiający i pou-czający, względnie, wystąpiła ona do-piero później. Było nią smutne położenie ludności miejskiej, rękodzielniczej, gorsze jeszcze może niż w epoce wyprzedzającej zniweczenie przez Rewolucję podstaw ich dawniejszej egzystencji. Mali posiadacze warsztatów przemysłu lokalnego, robotnicy, odosob-nieni jedni od drugich, tłoczący się po starych dziel-nicach miast i Paryża, gdzie zajmowali najwyższe piętra budynków, stanowiąc siódmą część całej lud-ności francuskiej, pracowali wówczas przeciętnie po czternaście godzin dziennie, za zarobkiem, zmniejsza-jącym się niemal stale, począwszy od 1800. Mimo chwalebnych wysiłków dobroczynności i filantropji, mimo kas oszczędnościowych i związków wzajemnej pomocy, cała ta warstwa ludności francuskiej wyda-

wała się być wystawioną na wszelkie niebezpieczeństwa swego zawodu, bezrobocia, nędzy, głodu i wy-czerpania. Balzak, umieszczając ich w swej Komedji ludzkiej, która tak często jest tragedją, przedstawia ich w czarnej nędzy, pod postacią żebraków, zapisanych w biurach dobroczynności, po szpitalach i na łasce prywatnego miłosierdzia. Między innemi warstwami społeczeństwa a robotnikami, zwłaszcza przemysłowcami, istniała jakgdyby przepaść, w którą nie lubieli zaglądać ludzie współcześni, przez obojętność lub też uważając ją za zło konieczne, choć groźne. Ten odłam francuskiej demokracji, najnieszczęśliwszy ze wszystkich, pamiętał jednak po swych tajnych stowarzyszeniach, nadzieje, obudzone przez Republikę. W osobach dawnych uczniów Babeuf'a, jak np. w Buonarrotim, w dawnych członkach karbonarskich dwudziestek znalazł on przywódców, którzy wzywali go do zrzeszania się, celem zdobycia środków ulżenia nędzy, przez potęgę liczbową i wpływ na ustawodawstwo.

Doktryny Wykształconą i szlachetną młodzież **socjalistyczne** mieszczańską obdarzył Saint - Simon, w 1826, nauką o postępie gospodarczym i społecznym przy pomocy wiedzy, nauką stanowiącą niemal religję. Pozyskał ją dla propagandy, potrzebnej dla poprawy fizycznego i moralnego losu najuboższej i najliczniejszej warstwy społeczeństwa. Jeżeli w pierwszych latach monarchji lipcowej wysiłki stronnictwa demokratycznego rozbiły się o opór mieszczaństwa i władzy publicznej, zastraszonej rewoltami w Ljonie

i w Paryżu, a uzbrojonej w ustawy z 1835, skierowane przeciw związkom republikańskim i prasie, to w połowie rządów tej monarchji rozwinęło się więcej systemów społecznych, niż w jakimkolwiek innym narodzie, po Saint - Simonie i Fourier'ze, Louis Blanc i Cabet, Pierre Leroux, a wreszcie Proudhon. Systemy te, w których ludzie wykształceni widzieli tylko utopje i niedoścignione marzenia, przenikały w środowiska robotnicze i uwodziły je w miarę znoszonej nędzy. Zjednywały sobie zrozumienie i serca demokratów i takiej George Sand, która stała się ich przyjaciółką i uczennicą. W kołach katolickich, czynne miłosierdzie uczniów Ozanam'a i odrodzenie religijne pod egidą Montalemberta i ojca Lacordaire przeciwstawiało się obojętności wybrańców losu dla biedoty warstw robotniczych, w środowiskach miejskich, zwłaszcza zaś w Paryżu.

Rewolucja soc. W pierwszych miesiącach rewolucji
jalna roku 1848 r. 1848, doszły warstwy te na chwilę
i powszechne do władzy i mogły mieć nadzieję, że
głosowanie do władzy i mogły mieć nadzieję, że
zdołają oprzeć swe prawa i swą władzę na głosowaniu powszechnem, na które zgodziła się początkowo cała Francja. Wymagania ich zastraszyły jednak kraj cały, nad którym spodziewały się one zapanować przy pomocy tej samej siły, której udało się już dwukrotnie obalić monarchję. Zgnieciono je w czerwcu 1849 a porozumienie mieszczaństwa, zaniepokojonego pogrozkami przeciw własności, z włościanstwem wrogiem „podziałom”, poddało warstwy te powtórnie władzy Zgromadzenia ustawodawczego. Pozbawiono je ich ustawo-

wej broni, demokratycznego prawa wyborczego i poparcia stronnictwa republikańskiego, rozbitego i prześladowanego przez Księcia - Prezydenta, który po zamachu stanu 2 grudnia 1851, ustanowił dyktaturę i cesarstwo, za jednomyślną niemal zgodą całej ludności wiejskiej, przywiązanej do wspomnień pierwszego cesarstwa i broniącej, w swem przekonaniu, porządku przeciw anarchji.

**Rozwój gospo-
darczy Francji
w wieku XIX**

W chwili, kiedy rozwiewały się te nadzieje, dokonywała się jednak głęboka przemiana w życiu gospodarczym narodu. W połowie tego wieku rozwinął się we Francji wielki przemysł, zwłaszcza na północy i w Alzacji, mnożąc ośrodki miejskie i łącząc je kolejami żelaznymi, których budowa, opóźniona zresztą znacznie w stosunku do krajów sąsiednich, szła w szybszym tempie. Łatwość i szybkość transportu pobudzała handel, ściągając kapitały i uruchamiając majątki mieszczaństwa w przedsiębiorstwach przemysłowych i finansowych. Dawna Francja, jej wsie, miasteczka i miasta, które zachowały dotąd, podobnie jak ich mieszkańcy, rysy przeszłości, nabrała w pierwszych latach Cesarstwa nowego wyglądu. Pragnąc, by Francuzi zapomnieli o swych swobodach, zachęcały rządy cesarskie, ze względów politycznych i z zamiłowania, wszelką inicjatywę twórczą w dziedzinie nowych czynników bogactwa, zyskując w zamian popularność, płynącą z ogólnego dobrobytu. Wszystko to było jednak nie tyle dziełem tych rządów, ile wynikiem nowych wysiłków narodowych, w kierunku wykorzysta-

nia swych zasobów, wysiłków dokonywanych uporczywie i rozumnie od tylu wieków. Widok tego rozkwitu energii narodowej natchnął Balzaka już w 1883 do listu, pełnego głębokich uwag i wniosków, którymi wyprzedził swą epokę: „Jeśli pokój i pomyślność tych rządów potrwać i za następnych, trudno będzie przewidzieć jaki stopień dobrobytu i materialnego szczęścia osiągnie ten kraj szczęśliwy, o ile okoliczności nie przeszkodzą naturalnemu rozwojowi, który okazał dlań tyle macierzyńskiego umiłowania”.

Polityka drugiego Cesarstwa Drugie Cesarstwo nie zważało na przeszkody, których obawiał się Balzak,

a prowadząc politykę wojenną, zrujnowało się samo, pociągając za sobą ruinę kraju. Konflikty europejskie, krwawe starcia między mieszczaństwem a światem robotniczym, którego położenie nie polepszyło się przez rozkwit przemysłu, walki klasowe a często także i spory o zasady i wierzenia, dzielące Francuzów aż po dzień dzisiejszy, wszystko to paraliżowało Francję. Rozwój naturalny i postęp narodowy doznawały tem jednak tylko opóźnień, nigdy zaś nie były zupełnie załamane.

Renan mówił w 1887: „Istnienie narodu, jednej z tych wielkich wspólnot, mających służyć wspólnemu dziełu cywilizacji, polega na codziennym plebiscycie, podobnie, jak i istnienie jednostki jest ustawicznym stwierdzaniem życia”. Ten mistrz francuskiego myślenia, który apetytom rasy germańskiej przeciwstawił, w 1871, z oburzeniem protest praw narodowych, pogwałconych nad Renem, umiał, wobec bolesnego

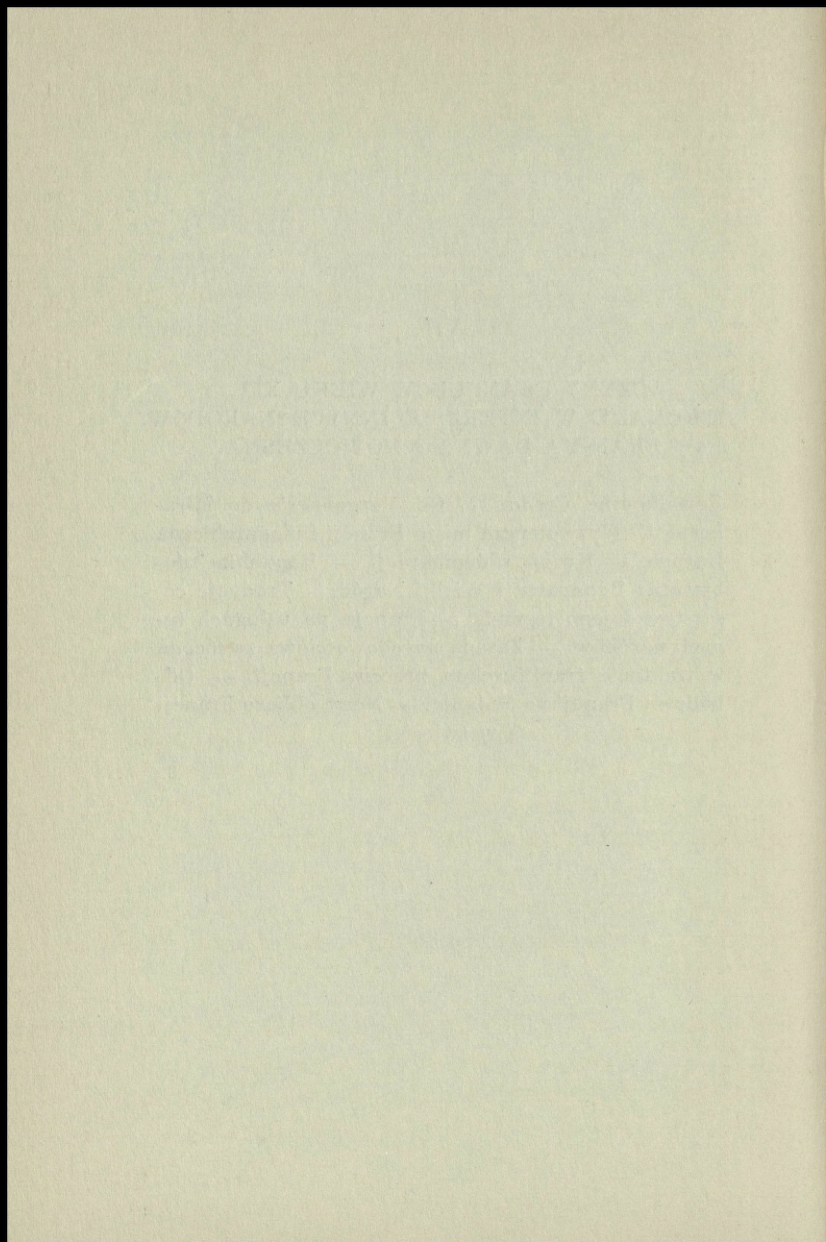
obrazu okaleczonej ojczyzny, dać piękny wyraz wiekowym francuskim dążnościom: plebiscytu życia zbiorowego, w interesie cywilizacji, dokonywanego od czasów najdawniejszych, powtarzanego w chwilach decydujących. Powtórzył się on, w chwili ostatnich doświadczeń, przez zdumiewające zawsze wrogów zjednoczenie serc i umysłów w obliczu inwazji, po odparciu zaś inwazji, przez narzucone zwyciężonemu najeźdźcy zespolenie w jedno odrodzone i nietykalne ciało wszystkich prowincyj.

Ale to należy już do historii współczesnej. Mimo, że zapewnia niewątpliwie przyszłość i uzasadnia wszelkie co do niej nadzieje, nie jest to już jednak przeszłością, przynajmniej dla autora tej książki, który, począwszy od swej młodości i panowania Napoleona III, był świadkiem i uczestnikiem tylu pełnych i nagłych przeobrażeń swego kraju, obyczajów i warunków życia swych ziomków. Przebywanie w samym ośrodku owego wiru, w którym zeszło jego życie, oraz brak pewności, dokąd zanieśie jego współczesnych prąd, który uniósł ich przed pół wiekiem zgórą, niechaj go usprawiedliwi, jeżeli pozostawia następnym pokoleniom troskę o zajęcie się jego epoką i ustalenie jej dziejów. Lepiej od niego odkryją one silny związek, łączący dzieje chwili obecnej z długim okresem przeszłości, kiedy to powstawała materjalna i moralna jedność Francji.

VII.

CZYNY FRANCUZÓW WIEKU XIX, DOKONANE W INTERESIE INNYCH NARODÓW. FRANCJA DAWNA I NOWOCZESNA.

Rewolucyjne Credo. — Od Vergennes'a do Mirabeau. — Wyzwoleńcza misja Francji i monarchiczna Europa. — Krucjata demokracji. — Republika zdobywca: Bonaparte i Wielki Naród. — Tradycje cesarstwa i jego legenda. — Francja na usługach innych narodów. — Zasada narodowościowa zwrócona w traktacie frankfurckim przeciw Francji. — Odbudowa Francji po Sedanie. — Nowe oblicze Francji w świecie.



Od Valmy aż do Marny i Verdun, po przez wiek cały wysiłków, poświęconych przez Francję dokonaniu jedności materialnej w obrębie swych granic, jedności politycznej i moralnej, przez równość wszystkich i swe ustawodawstwo, wykazał naród, że potrafi strzec o własnych siłach swej własności, „swego państwa”, jak mówiono za Konwentu. Rewolucja, która królestwo francuskie zastąpiła francuskim narodem, osobą prawną zwierzchność terytorjalną, która dopomogła do zwycięstwa zasad i form demokratycznych nad nawychkami i pozostałościami rządów feudalnych, stworzyła również ostateczne podstawy ojczyzny, na których ta oparła się zwycięsko i utwierdziła. Mimo swych skłonności do formalizowania i teoretyzowania, spowodowanych odebranem wychowaniem, uważali się jednak rewolucjoniści za patryjotów francuskich i byli nimi w istocie. Chwycili za broń i bili się bohatersko w obronie ziemi narodowej, którą ogłosili za niepodzielną, przekazując demokracji, jako najważniejsze przykazanie, spełnianie obowiązku wobec zagrożonej ojczyzny.

Rewolucyjne credo Nie tylko dla francuskiej demokracji pragnęli oni jednak zwycięstwa w tych chwilach tragicznych. Badając, w 1885, dla czytelników *Revue des Deux Mondes* wielkie dzieło Taine'a

Origines de la France Contemporaine, zaznaczył Brunetière w swej krytyce, natchnionej gwałtownem i szczerem umiłowaniem prawdy, główne braki tej historycznej syntezy, tylekroć od tego czasu krytykowanej lub podziwianej. Zarzucał on jej zapoznawanie tego oblicza Rewolucji, które zaznaczyło się może najwyraźniej ze wszystkich, owej formy posłannictwa, przeznaczonego dla całej ludzkości, zwiastującego szczęśliwość na ziemi a wojnę przeciw nadużyciom, samowoli i społecznym krzywdom, tego apelu o religijnym niemal charakterze. Kończy on temi słowami: „było to nie tylko Rewolucją, lecz prawdziwą rewelacją”. Któż nie podzielałby tego zdania, odczytując odezwę skierowaną przez André Chénier do Francuzów, w 1790, z okazji obchodu święta Federacji, tak gorącą jeszcze, mimo upływu czasu i tak znamioną w swym zapale i entuzjazmie: „Rewolucja, dokonująca się pośród nas, jest brzemioną losami świata. Jeśli się powiedzie, losy Europy ulegną zmianie. Ludzie odzyskają swe prawa a ludy odebraną im suwerenność. Wolność rozprzestrzenia się i rozszerza. Imię Francji błogosławionem jest po wszytkiej ziemi”. Język to apostoła, wierzącego, a wkrótce też i krzyżowca, natchnionego wiarą w demokrację.

Od Vergennes'a i Mirabeau

Przez cały przeciąg w. XVIII, nazywanego przez historyków pruskich, w ślad za Oncken'em, wiekiem Fryderyka II, Francja, dokonująca swej jedności terytorjalnej w Lotaryngji i rozszerzająca swe idee i swą sztukę po całej Europie, mogła bardziej jeszcze dzięki temu niż przez swe chlubne

zwycięstwa i nie budząc zawiści u sąsiadów, uważać się za ośrodek kultury i propagatorkę postępu, podobnie jak i w wieku poprzednim. Nie z północy i nie z nad brzegów Szprewy przychodziło to światło, cokolwiekby mógł powiedzieć o tem Voltaire, w chwili, gdy Hohenzolernowie, Romanowowie i Habsburgi rozdzielali Polskę, pod pozorem uczenia jej tolerancji, i przyjmowali komunję z ciała tego nieszczęsnego narodu, „jeśli nie dla dobra swych dusz”, jak mówili, „to przynajmniej dla dobra swych państw”. Vergennes, po powrocie ze Stockholmu, gdzie udało mu się przy pomocy Gustawa III wyrwać z ich szponów Szwecję, powołany na ministra przez nowego króla Francji, Ludwika XVI, który, mimo intryg dworu i królowej, słuchał jego rad aż do śmierci, doradzał swemu władcy, by odwrócił się od zasad gwałtu i niesprawiedliwości, praktykowanych przez współczesnych mu władców, a nawet jego szwagra Józefa II. Podobnie, jak niegdyś Richelieu, przemawiał on doń jak „dobry Francuz”, w którego interesie leżało odtąd stać się i „dobrym Europejczykiem”, a nawet przyjść z pomocą Amerykanom, zbuntowanym przeciw tyranji brytyjskiego parlamentu. Mówił mu:

„Sire, królestwo twoje jest najpiękniejszym w świecie: ziemia urodzajna, cenne środki żywności, bez których nie mogą się obyć inne narody, liczna ludność. Państwo to musi wziąć górę nad innemi, dzięki swej *doskonałej formie i położeniu w środku Europy*. Ma ono prawo wywierać swój wpływ na wszystkie ważne sprawy. Władca tego państwa, podobny do najwyższego sędziego, może uważać tron swój za trybunał, usta-

nowiony przez Opatrzność dla zapewnienia poszanowania jej prawom. Jeżeli W. Kr. Wysokość przekona świat, że będąc zadowolonym z swych posiadłości i nie pragnąc żadnych zdobyczy, dąży tylko do sprawiedliwości i porządku, przykład ten dokona więcej, niż siła zbrojna. Sprawiedliwość i pokój zapanują w świecie a Europa powita z wdzięcznością te dobrodziejstwa”.

Szlachetne słowa człowieka wierzącego, podobnie jak André Chénier, pozatem jednak zapatrywanie ministra, który nie był ani mistykiem ani ideologiem! Przy sprawowaniu swego urzędu, w swem umiłowaniu sprawiedliwości i wielkości Francji, wraca tu Vergennes, czerpiąc z najdawniejszych źródeł, do zasad, dzięki którym monarchja Kapetyngów zyskała szacunek i poważanie Europy, dla dobra jej i własnego. Zasady te odpowiadały, pozatem, w w. XVIII, stanowisku, zajętemu przez myślicieli francuskich, począwszy od La Bruyère'a, co do niewystarczalności zdobyczy i ambicji monarchicznych do uszczęśliwienia narodów. Przygotowując przyszłość instynktownem nawiązywaniem do tradycyj królewskich św. Ludwika, Vergennes uzupełnił dowody sprawiedliwości i rozumu tego wielkiego króla w. XIII-go, programem, który w trzy lata po jego śmierci, znalazł się w dekrete Konstytuanty z 22 maja 1790 a następnie wciągnięty został do Konstytucji, przyjętej przez Ludwika XVI, we wrześniu 1791: „Francja wyrzeka się wszelkich wojen, podjętych w celu zdobyczy... Naród nie użyje nigdy swych sił przeciw wolności innych ludów”. W tych latach doradcą narodu był Mirabeau. Mówił mu on, podobnie jak Vergennes swemu królowi: „sam wpływ pokoju

i dobrej konstytucji zapewni nam decydujące znaczenie wobec rządów europejskich". Oto siła przykładu, w miejsce przykładu siły, najlepsza nauka, prawdziwa podstawa trwałej wielkości, udzielona Francji u zarania nowej ery wolności i prawa.

Wyzwoleńcza misja Francji i monarchistyczna Europa W swem szczęściu i zadowoleniu z nowych warunków, z praw, które nadali sobie, by stać się narodem, którego przyszłość byłaby, dzięki gwarancji tronu, godną jego przeszłości, zapragnęli oni rychło, przez solidarność i dumę z własnego dzieła, i dla innych narodów udziału w szczęściu nowego porządku sprawiedliwości i pokoju. Życzyli sobie dalszych rewolucyj narodowych. Od tego życzenia krok jeden tylko do wezwania, skierowanego przez Kamila Desmoulins do Brabantczyków, zbuntowanych przeciw Józefowi II: „Zwołamy”, mówił Volney do Zgromadzenia, „zgromadzenie wszystkich narodów”. Wiara Francuzów w doskonałość swych nowych urządzeń nie byłaby szczerą, gdyby nie byli postępowali, tak, jak to Joad uczył izraelitów, niszcząc w Europie bałwanów dawnego monarchistycznego kultu, wraz z krwawymi ofiarami, wymaganiami od ludów, a po zniweczeniu tego kultu, „zaprzestając waśni i wojen”. Napróżno wydrwiwał Mirabeau „ten fanatyzm nadziei”, nadziei i miłości, zwłaszcza zaś wiary. Słusznie porównywał Toqueville do starożytnych religij tę nową, gotową do zalania świata swymi żołnierzami, swymi apostołami i swymi męczennikami!

Kiedy naród dowiedział się, w 1791 o koalicji władców europejskich w Pillnitz, podobnej do po-

przedniej, z 1772 i następnych, z 1793 i 1795, skierowanych przeciw Polsce, przygotowywał się na jej odparcie, nie bez obawy o ojczyznę, zagrożoną opuszczeniem jej przez króla i inwazją obcych. Żywił on równocześnie nadzieję, podsyconą przez Girondystów, że stawiony przezeń opór nie tylko ocali go samego, lecz przysłuży się sprawie wszystkich narodów, wyswabdzając je z pod tyranji ich władców. To był ten bliski „dzień chwały”, zwiastowany przez Rouget de l'Isle'a patriotom, porwanym dźwiękami Marsyljanki. Czyż nie jest to znamienym objawem, że autor tego hymnu wolnych narodów, stworzył, będąc nieznanym jeszcze oficerem, *Rolanda w Roncevaux*, poemat na cześć bohatera pierwszej francuskiej pieśni, wzywającego Boga i aniołów, by „Francja nie ucierpiała z jego winy”, tego rycerza Karola Wielkiego, i pierwowzoru krzyżowca? W twórczości Rouget de l'Isle'a spotykają się po przez wieki hymny obu francuskich krucjat, chrześcijańskiej i republikańskiej!

**Krucjata
demokracji** Zwycięstwo odniesione z pożytkiem dla chrześcijańskiej cywilizacji nad niesprawiedliwością, gnębiącą chrześcijan w Ziemi Świętej, czy też odparcie jej pod Valmy, przez prawo zwyciężające pruskich najemników, oto „wielkie epoki dziejów świata”, jak mówił Goethe, w których Frankowie i Francuzi zaznali rozkoszy ofiar poniesionych dla triumfu wiary i wolności, bohaterstwa i chwały. Chwała oswobodzenia jednostek i narodów Europy od tyranji przeszłości porywała tych podziwu godnych żołnierzy Republiki i dodawała im sił w walkach

z koalicją, w roku I nowej demokratycznej ery, z władcami niemieckimi, zespolonymi z sobą złotem Pitta, tak jak ów zdrajca Ganeglon, złotem króla Marsiljusza. Maszerowali oni w łachmanach często, bez butów, z zwycięskim śpiewem na ustach, wzbudzając podziw ludności, maszerowali drogami Mozy i Renu, pod przewodnictwem zaimprovizowanych wodzów, „atakując nieprzyjaciela, atakując go bez przerwy, codzień, rano i wieczór”, jak brzmiał rozkaz Carnot’a do Hoche’a, Jourdan’a, Kléber’a, Marceau’a i Desaix’a, plejady bohaterów, przekonanych, podobnie jak i ich żołnierze, o doniosłości swej misji. Było w tem coś z epepei, w każdym zaś razie z krucjaty.

Republika zdobywcza By podobieństwo z ową krucjatą na Wschód było tem większe, nie zabrakło i tym razem, i to bardzo rychło, mniej bezinteresownego wykorzystywania przygód i okazji, a nawet przedsięwzięć, przynoszących materjalne korzyści. Początkowo zmuszony był do tego Konwent z konieczności, nie będąc w stanie utrzymywać armji oswobodzicielskich, o ile same narody nie przyczyniały się do tego. Danton i Cambon głosili mu, że Francja nie jest „tak bogatą, by oswobadzać narody bezpłatnie”. Wydawano więc dekrety i posyłano komisarzy, dla zebrania, drogą konfiskat, czy też innymi sposobami, środków potrzebnych do dalszych zwycięstw. Przypominając sobie nauki z czasów monarchji, wskazujące na Ren i na Alpy jako na naturalne granice, rozmieszczała Republika podświadomie armje swe po terytorjach, które potem zaczęła uważać za niezbędne dla wielkości

Francji. Widziała ona w tem słuszną nagrodę za poniesione przez się ofiary, za niebezpieczeństwa, na które się narażała, za zwycięstwa odniesione po tylu przeciwnieństwach losu. W czasie jednego z tych przeciwnieństw, kiedy Francja była zagrożoną zdradą Dumouriez'a, oświadczył Danton Francuzom, 13 kwietnia 1793: „Nadeszła chwila, by oczyścić wolność z wszelkich entuzjasmów, dla lepszego jej utrzymania”. Potem zaś Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, w którym rządził Robespierre, wezwał wszystkich generałów do zaniechania wszelkich wywodów filozoficznych, którymi się posługiwano dla uzmysłowienia narodom obcym wartości i korzyści wolności, i polecił im wzbogacać Republikę łupem zdobytym na krajach, którym kazano przedtem żywić własnym kosztem jej armje. „Wojujemy tak, jak za dawnych pięknych czasów rzymskich”, wyrażał się członek Konwentu Baudot, „zwyciężyć wroga a potem żyć jego kosztem, to podwójne zwycięstwo” (12 marca 1794). Politycy austriaccy przypuszczali całkiem słuszenie, że w środku Europy powstanie wkrótce „Republika wojskowa i zdobywcza”.

Bonaparte i Wielki Naród W dwa lata później, obdarzył los Bonapartego austriacką częścią Italji, dostarczając jego armji nowego, i to bardzo bogatego terenu do szerzenia rewolucji i dokonywania zdobyczy. Zdobycza Republika znalazła swego wodza i pana, w osobie zwycięzcy z pod Rivoli, z pod piramid, Marengo i Austerlitz. Republikanie w Dyrektorjacie, zwłaszcza zaś Carnot, usiłowali napróżno położyć tamę jego am-

biej, tak sprzecznej, zwłaszcza wówczas gdy dzielił się z Austrią, Wenecją, „naszym republikańskim zasądem, o niepodległości narodów”. „Wybitne i chlubne zasługi Bonapartego trzymały ich na uwięzi”. Naprawdę wahali się też pozwolić mu na zabranie do Egiptu żołnierzy i wodzów, chlubnych bohaterów wojen o wolność, na wyprawę, która nie miała nic wspólnego z wolnością. Lecz czyż nie było to prowadzeniem wojny „jak za pięknych rzymskich czasów” i po to, by z Egiptu, podobnie jak niegdyś z Galji powrócił Cezar, okryty chwałą i zgubny dla Republiki?

Przy zawieraniu traktatu w Amiens, który stał się między Francją i Anglią, wojującymi z sobą od lat dziesięciu, podziałem zysków i zdobyczy, Francja „cieszyła się, dzięki dyktaturze wojskowej taką potęgą, chwałą i znaczeniem, że najbardziej ambitny umysł nie mógł pragnąć więcej dla swej ojczyzny”. Tak mówił Talleyrand, podczas gdy Francuzi, niepomni szlacheckich porywów, które kazały im walczyć na usługach innych narodów i sprawiedliwości, oddawali się, wraz z monarchją, wzniesioną ich zwycięstwami, namiętności chwały i walk, przelewającej się, podobnie jak za Ludwika XIV, na całą Europę. Wydawało się im, że chwałą pokonania koalicji powiększają chwałę przeobrażenia swym wysiłkiem starej Europy, nadania Zachodowi, podobnie jak ich dalecy przodkowie, nowych, cenionych przez siebie, praw i obyczajów, wprowadzenia u swych podbitych sąsiadów nowej ery, o którą walczyli tak bohatersko. W tem przekonaniu widzieli oni czyn propagandowy i wielkość, w odbudowaniu monarchji, nie tyle rzymskiej, co Karola Wiel-

kiego, tego legendarnego wodza cywilizacyjnych krucjat. Podobało im się, że Napoleon wyświęcony przez papieża, otacza się orszakiem bohaterów, których tytuły i otrzymane nadania, przywodziły na pamięć, przechodząc z ojca na syna, czyny ich własnego bohaterstwa, Wagram, Auerstädt, Albuferę, Montebello, Rivoli, Essling i Moskwę. Ufając genjuszowi i szczęściu swego cesarza, towarzyszyli mu we wszystkich jego wyprawach, szli do Lipska i do Waterloo, by rozbić się o opór narodów skojarzonych ze swymi władcami, od których chcieli ich oswobodzić. Władcy ci powoływali pod broń Niemców, Hiszpanów, Rosjan, Belgów i Italczyków, wysuwając ze swej strony prawa tych narodów przeciw zdobywczej Francji.

Tradycje cesarstwa i jego legenda Żaden inny naród nie dał odczuć Europie, w tym stopniu, nieraz trochę brutalnie, swej żywotności, co Francja między 1760 a 1815. Dzieje tych lat pięćdziesięciu dziwnie są bogate i urozmaicone, pełne dokonanych wyzwoleń i zdobywczych poczynań, w których upodobała sobie, jeszcze na dalszych lat pięćdziesiąt, miłość własna narodu. Z tych wielkich wspomnień czerpali Francuzi pobudki swego działania, swych dążeń i zapatrywań, które odwracając ich często od bezpośrednich interesów, zaciążyły silnie na losach ich polityki wewnętrznej i na stosunkach z Europą. Oddziaływując przez tak długi czas i tak silnie na Europę, zwyciężając, jak sądzili, tylko dzięki własnym siłom, użytym na usługach prawa i wolności, uległszy bez własnej winy i przez zdradę, przywiązali się do tej swej rzekomej

misji w świecie. Wszystko zdawało się uprawniać ich do tego: widok cesarza, zdradzonego przez Marmont'a, uwięzionego na Św. Helenie, przez Anglików, którym zaufał, głosy rozpaczyny nadchodzące z wyspy, na której umarł uwięziony ten wielki samotnik, podyktowawszy dla nich swój testament i swe wspomnienia, ustawiczne, od 1791 trwające, usiłowania sprzymierzonych władców narzucenia im Burbonów, zwłaszcza przy pomocy traktatów wiedeńskich, tych pomników niesprawiedliwości i zachłanności, przeklinanych przez Francuzów i narody, „którym, dla poskromienia lwa, obiecywały te wilki”, jak wyraził się Byron’ „swobodę, na to, by ją odebrać z powrotem”.

Nie tylko Byron był autorem tego hymnu rozpaczyny. Śpiewali go wszyscy poeci ówczesnej Francji, Hugo, Vigny, Lamartine, ten pieśniarz popularny, przed którego sławą pochylał się Chateaubriand, Berenger, wzywający świętego przymierza narodów przeciw przymierzowi królów, i przebudzenia się cesarskiej Francji. Powstał kult cały, z swymi świętymi obrazkami, epicznymi sztychami Janinet'a, Charlet'a, zwłaszcza zaś Raffet'a, inteligentnego i wzruszające biografa żołnierzy republikańskich i starych wilków gwardji, kult, który nie dotyczył wyłącznie człowieka choćby tak wielkiego, tak nieszczęśliwego, od Austerlitz aż do św. Heleny, lecz francuskiej chwały na usługach wolności. Zapomniano o dyktatorze, myśląc tylko o tym człowieku wyjątkowym, który poza chwałą stworzenia nowoczesnej Francji, marzył dla niej o zaszczycie przekształcenia pod swą egidą Europy, w której wszystkie ludy, wyzwolone z więzów feudalnej przeszłości miały

się zespolić w wolności i postępie, dla wzajemnego szczęścia i chwały „narodu francuskiego, który tak ukochał”.

Tak więc legenda przędła dalej nić dziejów, które Francuzi chcieli stworzyć, a doznawszy niepowodzenia, nie tylko co do siebie samych, ale i co do innych narodów, nie zrezygnowali nigdy z swych zamierzeń. Prawdziwa to legenda, mająca swego głównego bohatera w osobie małego kaprała, w kapeluszu trójkątnym na głowie, długiej szarej kapocie, rękoma splecionymi z tyłu, oczyma utkwionymi w przyszłość, tymi oczyma ze stali, które tak onieśmiały pannę de Staël. Legenda mająca swych męczenników, Ney’a, Clauzel’a, i ks. Reichstadt, to cesarskie dziecię, wtrącone przez matkę do Metternichowego więzienia, swych bohaterów, defilujących na scenie, w dioramach wynalezionych przez Daguerre’a i w patetycznych obrazach, zawieszanych na murach wiejskich oberży, jak śmierć dzielnego Poniatowskiego, tonącego w Elsterze. Kiedy zaś Ludwik - Filip, poświęcający, dla zadowolenia opinii publicznej, sale wojskowe Wersalu „francuskiej chwale”, sprowadził w 1840, pod naciskiem tej opinii, prochy cesarza do Inwalidów, otrzymał kult ten także i swe relikwie, „powierzone straży obrońców ojczyzny, w pomniku, równie trwałym, jak pamięć o bohaterach”.

Francja na usługach innych narodów Wiara ta, stworzona legendą i poszanowaniem dla własnej przeszłości, łączyła z sobą przez czas długi wszystkich Francuzów, bez różnicy przekonań politycznych i wieku.

Republikanie wspominali chętnie te czasy, kiedy to, do wolności i jedności wszystkich ludów i do walki w jej obronie, wzywał naród dawnych towarzyszy broni, oficerów i żołnierzy Napoleona, lub ich dzieci. Młodzież z czasów obu Restauracyj, protestowała w ten sposób przeciw klęsce, z którą nie mogła się pogodzić, przeciw uciskowi, narzuconemu po 1815, przez sprzymierzonych, innym narodom, belgijskiemu, polskiemu, hiszpańskiemu, greckiemu i italskiemu. Zdawało się im, że wywołując wspomnienie cesarza, przed którym drżeli królowie Prus i Austrii, oraz car, sprzymiężeni na jego zgubę i sprzymierzeni, w 1813, ku ponownemu ujarzmieniu ludów, utwierdzają się w wierze w własną misję, odziedziczoną po przodkach, dla dobra wszystkich narodów i własnej chwały.

Rządy, następujące po sobie kolejno w Paryżu, a dążące do zapewnienia Francuzom, po tak ciężkich doświadczeniach, korzyści pokoju, usiłowały napróżno ochronić ich od nęcących ich złudnych obrazów, od niebezpieczeństwa wygrażania władcom i politykom, takim jak Mikołaj I lub też Metternich, gotowym zawsze do sprzymierzenia się przeciw Francji, do rzucania za Ren swych armij i swych ludów, równie dobrze w 1840, jak i w 1815. Z niecierpliwością znosili oni tę politykę umiarkowania, rozumu i wyrachowania, którą la Ferronays i Rayneval, uczniowie Vergennes'a, ubierali w 1829, wobec Karola X, w te same słowa, co ich mistrz wobec Ludwika XVI, a którą Ludwik-Filip wprowadził w życie, między 1830 a 1840, za cenę swej popularności. „Między przesadnymi uroszczeniami władcy, które sprowadziły na naszą ojczyznę tyle nie-

szczęść, a rezygnacją, do której została ona zmuszona przez te klęski, istnieje złoty środek, od którego nie wolno się oddalać: jest nim wywieranie wpływu, umiarkowanego jak sprawiedliwość, a potężnego, jak rozum. Nasz rozum, wpływ naszych obyczajów, położenie naszego kraju, wszystko to nadaje nam takie stanowisko: należy je wypełnić. Pomyślność wszystkich państw zależy wzajemnie od nich samych. Francja stanowi, pod pewnym względem, ich ośrodek, ich wspólne centrum. Potrzebuje ona pokoju sama, a pokój jej”.

Mimo tych wskazań, dyktowanych wysokim rozumem, naród marzył uporczywie o innej roli. Nawet wojna nie odstraszała go od jej wypełnienia. Obie rewolucje, w 1830 i 1848, dokonane były częściowo dla utorowania drogi dla demokracji, częściowo też w zamiarze zaprezentowania Europie trójkolorowego sztandaru wolności. „Oglądaliśmy się mniej na Saint-Cloud, niż na Ren”, powiedział Cavaignac w 1830. Ówczesna Francja nie słyszała zirytowanych słów Metternicha, wypowiedzianych w Wiedniu: „Wszystko dla Francji i przez Francję, oto słowa, które brzmią mile dla ucha francuskiego, lecz rozdzierają wszystkie inne”. Kiedy Francuzi dowiedzieli się, w 1840, że kanclerz austriacki porozumiał się z Palmerstonem i carem, celem podpisania bez nich traktatu londyńskiego, oburzali się i omal nie chwycili za broń, na rzecz Mehemet-Alego, „tego syna Rewolucji”, spadkobiercy napoleońskiego dzieła w Egipcie, a uciskanego przez Europę. Ucieszyli się, zato, gdy ich wysiłek demokratyczny r. 1848 położył kres rządowi Metternicha i przywró-

cił nadzieje narodów. Legenda napoleońska, wyrażająca ich nadzieje własne, usposobiła ich przychylnie do odbudowy cesarstwa przez Napoleona III. Przykładem odwetowi bratanka cesarskiego nad carem. Wzięli udział w jego poczynaniach, celem zniszczenia traktatów wiedeńskich, oswobodzenia Italczyków od austriackiego jarzma, stworzenia niepodległości Rumunji i poczytywali sobie za chwałę, że w interesie innych narodów, dokonali przez zjednoczenie italskie i skupienie Niemców dokoła Prus, dzieła zbrojnej propagandy, do której czuli się, w ciągu tego wieku, powołanymi i godnymi.

**Zasada narodo-
wościowa prze-
ciw Francji**

Wypadki r. 1870 zadały cios gwałtowny tym złudzeniom, całej polityce interwencyjnej. W skutkach swych wzbudziła ona dla narodu francuskiego więcej zazdrości niż sympatji u innych narodów, zaniepokojonych posunięciami, krzyżującymi ich obliczenia, zagrażającymi ich interesom lub ambicji. Runęły ponownie rządy cesarskie a Sedan stał się twardem przypomnieniem Waterloo: naród ujrzał się w swem nieszczęściu opuszczonym przez całą Europę, wydanym na łaskę zwycięzcy. By odrzucić go poza Ren, powoływały się Prusy na te same prawa narodów, które głosiła Francja w 1789, lekceważąc sobie jednak zasadnicze postanowienia tego prawa, zapytanie o swą wolę Alzatzczyków, oderwanych zwycięstwem pruskim od swej ojczyzny. Krucjata w interesie narodów, te poczynania polityki zewnętrznej, szlachetne w swem założeniu, lecz często hałaśliwe i zbyt żadne chwały w swem urzeczywistnia-

niu, miały więc gorsze jeszcze skutki niż traktat wiedeński: pokój w Frankfurcie okaleczył Francję, odrywając od niej dwie prowincje i cofnął jej granice poza Metz, który od trzech zgórą wieków, był francuskim. Odepchnięcie w tył o trzy wieki, za kilka klęskowych miesięcy, cóż to za straszna groźba, groźniejsza może jeszcze dla fruncuskiej jedności, wobec bezwzględnej obojętności Europy! Wśród obu kierunków, zajętych pod wpływem Rewolucji przez demokrację francuską, dążącą w myśl dwójakiej tradycji narodowej do dokonania na wewnątrz swej jedności moralnej i materjalnej, a na zewnątrz do rozpowszechniania swych wierzeń i przekonań, wybór był bardzo niebezpieczny, konieczność dokonania jego wprost okrutną. Niestety r. 1871 przywiodło na pamięć słowa Dantona, wyrzeczone w Konwencie 13 kwietnia 1793, kiedy to aljanci, zebrani w Antwerpii przygotowywali inwazję i rozbiór Francji: „gestem energicznym wydaliście dekret, zapewniający opiekę ludom, chcącym stawić czoło uciskowi tyranów. Przedewszystkiem jednak trzeba będzie myśleć o utrzymaniu naszego własnego politycznego organizmu”.

Odbudowa je- Po r. 1871, Francuzi, pouczeni doświadczeń jeszcze boleśniejsem, nie myśleli, aż do końca tego wieku, o niczem innem, jak o tej właśnie konieczności. Nie będąc w stanie przywrócić tak rychło utraconą jedność swych ziem, oswobodzili je przynajmniej, splącając jaknajśpieszniej zwycięzcy nałożony haracz, odbudowywali swą armję i stawiali fortece na granicach

wschodnich, starając się o zdobycie potrzebnych na to wszystko środków przez wyzyskanie swych zasobów materialnych, uzgodnienie swych urządzeń z duchem demokratycznym, wychowanie ludności i postęp w dziedzinie wiedzy.

Lecz i to także nie należy do przeszłości, którą jedynie chcieliśmy tu odtworzyć. Dzieło odbudowy dokonywało się, w tempie gorączkowem, za naszej własnej młodości, wychowanej w żałobie i pośród grożących niebezpieczeństw, nie tracącej jednak nigdy ufności w przeznaczenie „jednego z najwybitniejszych organizmów narodowych, jakie przedstawia nam historia”, według słów naszego mistrza, Ernesta Lavisse’a. Historia pozwoli nam może uwypuklić rysy zasadnicze tego dzieła, by zachować je w naszym poszanowaniu.

**Nowe oblicze
Francji
w świecie**

Rysy te stworzyłyby jednak, same w sobie, obraz niezupełny jeszcze, niedorastający do wielkości pierwowzoru. Generał Mangin lubiał mawiać nader trafnie: „Nie wolno nigdy zapominać, że Francja jest narodem stumiljonowym”. Zdala od starej Francji, jej ziem europejskich, gdzie kształtowały się jej losy i jej indywidualność, jest jeszcze Nowa Francja, która nosiła to imię, zgórą trzysta lat temu, kiedy to Champlain, Richelieu i Colbert zakładali w Kanadzie, według słów własnych, kolonję. Wspaniałe to odgałęzienie francuskiego narodu, stworzyło naród nowy, naród znający się na użyźnianiu puszczy leśnych, tak jak niegdyś ich przodkowie w macierzy, umiejący bronić nowej ojczyzny w chwilach tragicznych, tak jak i tamci, wiarą swą i umiłowaniem wolności.

Gotujemy się do obchodzenia w Algierze, w roku przyszłym, stulecia przeszłości nie tak odległej, mniej smutnej, lecz stanowiącej już również poważną część historii. Dzieło dokonane tam przez naród, to trzecia Francja afrykańska, stworzona na trwałych podstawach, pośród świata muzułmańskiego, promieniuje energją i siłą przyciągającą na całą Berberję. Ile - de - France możnaby nazwać ten ośrodek pierwotny jedności francuskiej, wśród mórz i pustyni, między cywilizacją a barbarzyństwem.

Te ugrupowania francuskie, atlantyckie czy śródziemnomorskie, latorośle Ameryki czy Afryki, wyrosły nie tyle z ziemi francuskiej, uprawianej przez naszych przodków, ile z wybrzeży, zwróconych jednym obliczem ku Zachodowi, drugim zaś na Południe, bogatych w porty rybackie i handlowe, wielkie i małe. Dunkierka i Dieppe, Hawr, Saint-Malo, Nantes, Rochelle, Bordeaux, Bayonne, Cette i Marsylja, to ogniska, świadczące o wspaniałej energii narodowej, poświęconej *przygodom morskim*, jak je nazywano, i dalekim wyprawom.

Długo wahali się Francuzi, od czasów Champlain'a, między morzem i nowym światem a starym kontynentem, na którym rozgrywały się ich losy, między „oborą” a „przygodami”. Padali oni ofiarą t. zw. kontynentalnego przesądu, stanowiącego jedną z tradycyj narodowych, bynajmniej nie najlepszą. U samego zarania poczynañ kolonialnych, wymowny często głos zdecydowanych pionierów, jak Champlain, Pontreincourt, de Razilly, nie wzruszał wcale ich ziomków,

zatwardziałe szczury lądowe, lękające się ryzykowej żeglugi i wypraw. Głos ten mógł być jednak porywać serca: „Francjo, dawna karmicielko nauk, obrońco uciśconych, matko najdroższa, koniecznem jest stworzenie związku, naśladowującego bieg słońca! Oby twa sprawiedliwość, twa miłość przenosiła się ustawicznie, za pośrednictwem twych dzieci, na nową Francję! Prowincja ta będzie godną ciebie córą”. Montchrétien podaje nam, w 1615, przyczyny tej obojętności, która doprowadzała do rozpaczki ludzi wiary i czynu, m. in. samego Brantôma. Dziś jeszcze, po trzech wiekach, musimy uznać ich słuszność: „Tym, którzy żyją wygodnie, bardzo jest trudno narażać się na podejmowanie dalekich podróży morskich, zwłaszcza, jeżeli doznali już jakichś niewygód na morzu. Przedewszystkiem, zaliczam do tych przyczyn upodobanie sobie w miejscu, gdzie przyszliśmy na świat, oddalenie od morza, przyzwyczajenie do miłego i zdrowego powietrza, wyszukaną kuchnię i piwnicę. Przyzwyczajenie i wygoda powodują, że mało puszczaliśmy się na morze”.

Od tego czasu mieliśmy jeszcze krytyki Sully'ego co do tych „zaśnieżonych hektarów” kanadyjskich, poniechanych później tak łatwo mimo bohaterstwa Montcalm'a, gwałtowne ataki parlamentarzystów i prasy na monarchję lipcową i jej algierską politykę, ataki, które ponowiły się przeciw tunezyjskim i tonkińskim projektom Jules Ferry'ego. Ileż to razy podwarzano zaufanie, które cały naród powinien był żywić do przedsiębiorczości swej nadmorskiej ludności, do odwagi i genialności swych odkrywców, ludzi wiary, wiedzy i czynu, do ich dzieła, które miało na celu w przeszło-

ści, raczej prawdziwy interes narodowy niż przygody, raczej szerzenie cywilizacji, niż szukanie zdobyczy.

Kiedy, po r. 1871, nieprzewidziany los odrzucił umęczony i zaniepokojony naród poza Wogezy, otworzyła się przed nim, oto, nowa era, przynosząca obietnice zasadniczego wynagrodzenia, jeżeli potrafi ocenić lepiej, niż dotąd, jej znaczenie. Była to epoka, kiedy nowe kontynenty, jak Afryka i Azja, otwierały się przed przedsiębiorczością Europejczyków, zmuszonych rozwojem swego przemysłu do szukania dlań ujścia, kontynenty przybliżone postępowem, dokonanym w dziedzinie transportu kolejowego, liczne i nowe rynki zbytu i surowców. Na innych kontynentach, zajętych przez nich już dawniej, powstawały nowe narody i państwa, potomstwo Europy dorosłe, pełnoletnie, niepodległe i bogate, jak Stany Zjednoczone Ameryki czy Australji, ludy kanadyjskie i afrykanderzy, narody południowo-amerykańskie, połączone odtąd z sobą krótszymi węzłami Oceanów. Narody, dawne i wielkie, zapomniane jak Chiny, zwłaszcza zaś Japonja, budziły się na nowo, starały się zmodernizować, otwierały dostęp dla handlu, wpływów i nauk cywilizacji zachodniej, podczas gdy na Wschodzie Rosja i Anglja rozprzestrzeniały sąsiadujące z sobą i rywalizujące posiadłości kolonialne, aż do bram Turkestanu i Afgani-
stanu.

Ważną datą w dziejach świata, ważniejszą niż Jena czy Sedan, stał się rok 1869, kiedy to, po raz pierwszy, otworzyła się przed marynarkami europejskimi, w Suezie, droga od Atlantyku i Morza Śródziemnego do Pacyfiku, nad którego brzegiem, generał

Grant, prezydent amerykańskiej Unji, założył pierwszy próg kolei transkontynentalnej, tej wielkiej drogi lądowej, skierowanej w kierunku odwrotnym, od Pacyfiku do Atlantyku.

Ciekawość, jaką budziły we Francji, pośród uczonych i młodzieży, wypadki o doniosłości nieznanej od końca w. XVI, przygotowywały nową przyszłość. Zamorskimi punktami oparcia pozostały jeszcze dla Francji: Algier, zajęty aż po Wielką Oazę, Senegal, gdzie Faidherbe rozpoczął penetrację Afryki, Egipt, gdzie Lesseps doprowadził do zwycięstwa dobroczynną inicjatywę naszej ojczyzny, wreszcie Kochinchina, przynęta bogatego w obietnice terenu, stworzona mimowoli przez rządy cesarskie. Wszystko to tymczasowe podwaliny wielkiego gmachu, który można było wznieść, czy też odbudować, gdyby Francuzi tego chcieli.

Wahali się jeszcze, niejednokrotnie, czyto z powodu, odziedziczonych po przodkach, czy też z obawy, by ta wielka przedsiębiorczość, do której zdawały się ich zachęcać Niemcy, nie okazała się zasadzką, dla osłabienia ich siły odpornej na Wogezach, lub też po różnieniu ich z narodami morskimi. Po zaciętych często sporach, które mogły były odwieść jeszcze naród od swej przyszłości, ustąpiło to wahanie się, bohaterstwu, duchowi apostołskiemu, ofiarności i genjalności wszystkich tych ludzi wiedzy i wiary, sumienia i odwagi, których Gestes'y miały prowadzić w dalszym ciągu misję cywilizacyjną, odziedziczoną po przodkach. Wśród nich, Joffre, Gallieni, Lyautey, Mangin, Gouraud, stwarzając tą nową Francję, przygotowywali się

do wzięcia udziału, przy pomocy jej zasobów, w decydującej chwili, w dziele ocalenia Francji, zaatakowanej nad Renem.

Wysiłki tych ludzi czynu wspomagali wobec narodu ludzie myśli i badacze, rozumną i gorącą propagandą. Tego właśnie domagał się m. in. Vidal de la Blache, od wiedzy geograficznej, by prowadziła Francję ku przeznaczeniu, otwierającemu się przed nią w świecie, rozszerzonym aż po granice planety, badanym bez wytechnienia przez jej najdzielniejszych, najszlachetniejszych synów.

Na wstępie niniejszej pracy, dotyczącej przeszłości Francji, powołałem się na wiedzę tego mistrza. Pracę moją zatrzymuję świadomie u progu okresu, kiedy to on sam poświęcił się geografji, by jej nas nauczać, kiedy z dawnej Francji, badanej i opisanej przezeń z miłością i metodą, miała odrodzić się nowa Francja, stosownie do jego nadziei i życzeń.

Od niego też zapożyczam sobie, na zakończenie, piękne rady, zastosowane na szczęście przez naród i jego przywódców, poczynawszy od r. 1880, rady, których udzielał im nieustannie, aż do 1914, do doświadczeń decydujących o bezpieczeństwie i wielkości Francji:

„Czyż Francja, zahypnotyzowana swą granicą wschodnią, miałaby istotnie zdecydować się na ową dantejską *wielką rezygnację*? Czyż naród, który od czasu swoich klęsk wykazał tyle żywotności i tyle zdolności do odradzania się, mógłby, nie narażając się na formalną sprzeczność, zacieśnić się w takiej wstrzemięźliwości, którą możnaby tłómaczyć jako wyznanie słabo-

ści? W tak zwanej polityce kolonjalnej chodzi o kwestje pierwszorzędnej wagi. Wysoka kultura naukowa i gospodarcza Francji, jej wytwórczość przemysłowa, jej kapitały potrzebują ujść, które byłyby jej własnością. Jest to dla niej koniecznością zapewnić sobie taką sytuację terytorjalną, któraby dawała jej swobodę ruchów i umożliwiła swobodne poruszanie się. Konkurencja pośród wielkich narodów wytwórczych jest tak gwałtowna, że chwilę słabości musiałaby Francja opłacić niewolą ekonomiczną, mniej lub więcej zamaskowaną...”

„Państwo kolonjalne zasługuje na skupienie uwagi i wysiłków nietylko kilku specjalistów, lecz całej Francji. Ucieleśnia ono naszą przyszłość w świecie”.

„Już nie prowincja jedna”, powiedział już Champain, „nie jedno królestwo, lecz świat cały, piękny w swej doskonałości”.

Tem jest, w istocie, Francja dzisiejsza, która, począwszy od w. XIX, uzupełniła dawną.



